ELIZA ORZESZKOWA.

NA PROWINCYI.

POWIEŚĆ.

Część piérwsza.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Swiat Nr. 39.
1884.

[Po raz pierwszy powieść była druk. w Tygodniku Mód 1867 r.; potem osobno w r. 1870]

Дозволено цензурою.

Варшава 27 Февраля 1884 года.

„Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie:
Serce boli, myślą goni,
Aż i bić przestanie.“

„Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy,
Czyś bogaty, czyś ubogi
Smierć cię w grób zatoczy.“

„Różne sprychy w mojém kole,
Różne życia chwile:
Różne szczęścia, różne bole
Ucichną w mogile.“

(Pieśń Kołodzieja.)

CZĘŚĆ I.

„Ci, którzy dowodzą, że bez pracy i trudu dojść do czegokolwiek można, podają ludziom truciznę.“
(*Benjamin Franklin.*)

I.

Niedaleko brzegów Niemna, w żyznéj i leśnéj okolicy, położone były obszerne dobra hrabiny X. Bogata pani oddawna mieszkała za granicą, lub w wielkich miastach krajowych, a majątki swe oddawała w dzierżawę zamożnéj sąsiedniéj szlachcie.

W jednym z majątków tych, Adampolu, mieszkał dzierżawca pan Jerzy Snopiński.

Obszerny dwór Adampolski, z domem nie okazałym, ale wygodnym, z mocno postawionemi i starannie utrzymanemi budowlami, widniał z daleka pomiędzy wieńcem gęsto sadzonych topoli włoskich. Wysoki parkan z desek, gładko wyheblowanych i porządnie spojonych, obejmował dziedziniec i ogrody, prze-

dzielając je z rozległemi łanami, które roztaczały się daleko, aż pod stopy lasu, tworzącego wązki i ciemny zarys między sklepieniem nieba, a krańcem gładkiéj i szerokiéj równiny.

Jednego z ciepłych i słonecznych dni Kwietnia, około południa, drogą między polami, wiodącą do dworu, toczyła się zwolna, parą koni zaprzężona, bryczka. Na niéj siedział niemłody mężczyzna, z mocno szpakowatemi włosami i wąsami, z pogodném spojrzeniem szarych oczu, ocienionych gęstą siwiejącą brwią, z postacią krzepką i dobrze zbudowaną, lubo nieco pochyloną przez wiek, a może i przeniesione trudy życia. Owinięty był szarym sukiennym płaszczem, a na głowie miał czapkę, oszytą siwym barankiem.

Wkoło pola zieleniły się gęsto wschodzącém zbożem; pogodne, choć blade jeszcze, słońce wiosenne, gdzie niegdzie rzucało złotawe po zagonach smugi, a, jakby zwabione blaskiem i ciepłem jego, skowronki, wzlatywały z pomiędzy nizkiéj, lecz bujnéj runi i, wznosząc się prostopadłym lotem, śpiewały srebrzyste piosenki. W dali, pod lasem, szarzało kilkanaście pługów, orzących ziemię pod wiosenny zasiew, a od strony dworu, ukazującego się z pomiędzy niezupełnie jeszcze okrytych liśćmi drzew, dochodziły tłumione przestrzenią głosy i rozmowy, krzątających się zapewne koło dworskiego gospodarstwa ludzi.

Podróżny z zajęciem rozglądał się po okolicy.

Zmęczone długą snać drogą, konie, postępowały zwolna; powożący chłopak, z zaspaną fizyognomią, ani myślał o ich napędzaniu; bryczka toczyła się powoli białą, ubitą drogą, między dwoma rzędami starych wierzb i jarzębin.

W dali na polu ukazał się człowiek, szybkim i raźnym krokiem, idący wązką śród zagonów miedzą i zręcznie przeskakujący rowy, dla ścieku wody wykopane gdzie niegdzie. Dążył ku drodze i po chwili, przeskoczywszy ostatni rów między polem a drogą, znalazł się tuż koło bryczki.

Był to smukły i piękny młodzieniec, w szarém myśliwskiém ubraniu, w długiém myśliwskiém obuwiu, ze strzelbą na ramieniu, w małéj czworograonéj czapeczce z czarnym barankiem.

Ujrzawszy nadchodzącego, podróżny jadący bryczką zawołał na furmana:

— Stój, Jakóbku!

Konie stanęły, a niemłody mężczyzna uchylił nieco czapki i, wskazując ręką dwór o kilka stai położony, zapytał z grzecznością:

— Panie łaskawy, wszak to jest majątek hrabiny X., Adampol?

— Tak, panie — odpowiedział młodzieniec z lekkim ukłonem.

— A w tym dworze mieszka pan Snopiński?

— Tak, panie.

— Bóg zapłać — rzekł podróżny i, skłoniwszy się młodzieńcowi, zawołał na furmana:

— Ruszaj, Jakóbku, a żywo!

Bryczka oddaliła się, a młody myśliwy popatrzył za nią przez chwilę i rzekł do siebie:

— Kogoż to Pan Bóg prowadzi do nas? zdaje mi się, żem kiedyś widział już tego pana... ktoby to był? To ciekawe, słowo daję: at! niech sobie tam zresztą ojciec przyjmuje gościa, ja pójdę jeszcze postrzelać trochę. Oj, gdyby to gdzie kota nadybać, tobym palnął z fuzyjki! Szkoda, że nie wziąłem z sobą chartów.

Tak do siebie mówiąc, zdjął strzelbę z ramienia, obejrzał nabój, pogwizdując, i poszedł daléj brzegiem drogi. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy na jednéj z wierzb, po-nad drogą stojących, z głośném krakaniem usiadła wrona. Młodzieniec spojrzał w górę, uśmiechnął się i wziął fuzyą do oka. Wrona, nie przewidując grożącego jéj niebezpieczeństwa, przechyliła się na gałęzi, podniosła dziób i wciąż krakała, jakby rozmawiając sobie z promykiem słońca, który igrał na jéj czarnych piórach i zaglądał do otwartego dzioba. Nagle strzał rozległ się i wrona nieżywa spadła z gałęzi. Młodzieniec poskoczył, podniósł ją, umocował przy torbie myśliwskiéj i poszedł daléj, gwiżdżąc jakiegoś marsza tryumfalnego, niby zwycięzca, obciążony zdobytemi trofeami.

Tymczasem bryczka z podróżnym wjeżdżała na obszerny dziedziniec Adampolski. Tuż przed bramą

zerwało się z przed koni stado gęsi i, z wielkim krzykiem wzleciawszy nad ziemią, osiadło nieopodal obok niemniéj licznego stada indyków. Przewodnik ostatnich, olbrzymi jendor, spojrzał na wrzaskliwe sąsiadki, rozpuścił ogon i zabełkotał z pogardą. Jednocześnie z za domu wyskoczyły dwa psy kudłate i poczęły ujadać zawzięcie, podskakując ku bryczce. Na te wszystkie odgłosy, które z towarzyszeniem turkotu kół napełniły dziedziniec, przez jedno z otwartych okien domu wyjrzała naprzód głowa kobieca i wnet się schowała; jakby wywołana przez nią, ukazała się w inném oknie głowa męzka i także natychmiast zniknęła. Po chwili dopiéro, otworzyły się drzwi domu i na ganek wyszedł mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, średniego wzrostu, otyły, z potężną łysiną śród posiwiałych włosów, z twarzą rumianą i poczciwą, ale nacechowaną szczególném jakiémś zafrasowaniem. Znać było, że tylko co włożył czarny surdut, który miał na sobie, bo jeszcze poprawiał i ociągał poły, co chwila niosąc téż rękę do krawata, którego węzeł, z pośpiechem zawiązany, już się był prawie rozwiązał. Każdy-by się domyślił, że dzierżawca Adampola robił umyślną a pośpieszną toaletę in gratiam przybywającego gościa.

Gdy bryczka stanęła przed gankiem, podróżny rzeźko z niéj wyskoczył i gospodarz domu postąpił na jego spotkanie. Spojrzeli na siebie i głośny wykrzyknik wyrwał się z ust obudwóch.

— Andrzéj! — zawołał dzierżawca, a w głosie jego była prawdziwa i serdeczna radość.

— Jerzy! — odpowiedział przybyły.

I, rzuciwszy się sobie w objęcia, poczęli całować się głośno a długo.

— Kopę lat, kopę lat! — wołał w przestankach całowania pan Jerzy. — Zkądże Pan Bóg prowadzi? jakim szczęśliwym dla nas trafem zawitałeś w nasze strony.

— A dawno, dawno nie widziałem cię już, koleżko! z dziesięć już latek pono — odpowiedział pan Andrzéj, uwalniając się w końcu od energicznych całusów dzierżawcy — no, ale widzisz, góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem to i niespodziewanie zejść się może.

— Ależ, że niespodzianie to niespodzianie! pójdźcie do chaty! żona przecie nie wié, kto to do nas zawitał!

I wziąwszy pod ramię gościa, jak widać wielce mu miłego, poprowadził go dzierżawca Adampolski we wnętrze domu. Z ganku obejrzał się raz jeszcze i zawołał do stojącego nieopodal parobka i z otwartemi ustami przypatrującego się pańskim powitaniom:

— Konie wziąć do stajni i dać im obroku! Furmana zaprowadzić do kuchni i niech mu tam obiad dadzą!

W godzinę niespełna po tém serdeczném powita-

niu, w obszernym pokoju, który urządzeniem swojém przypominał izbę szlachecką, ale okazywał zarazem i pretensyą do salonu, siedzieli oboje państwo Snopińscy i gość ich, pan Andrzéj. Przed nimi stały na stole różne wiejskie przekąski i wódeczki, a z odsuniętych talerzy i opróżnionych kieliszków znać było, że funkcya gastronomiczna ukończoną już została.

Gość i gospodarz siedzieli obok siebie. Obaj jednego wieku i patrzący wzajem na siebie z serdeczną przychylnością, różnili się jednak wielce między sobą nietylko przez to, że pan Andrzéj był słusznego wzrostu, barczysty, muskularny, ale nie otyły, a pan Jerzy nizki i niepospolitéj tuszy; nietylko także przez to, że ostatni miał łysinę, a piérwszy jéj nie miał, ale główną i uderzającą między nimi różnicę, stanowiły cechy ich fizyognomii. Czoło pana Jerzego było gęsto pomarszczone, ale zmarszczki jego układały się wszerz, jak zwykle u ludzi, zaprzątniętych głównie i jedynie troskami materyalnemi, ciągłém wywalczaniem powszedniego bytu; zmarszczki zaś pana Andrzeja, także liczne i głębokie, rysowały się na czole jego podłużnie, a najgłębsza z nich była między brwiami, jak to bywa u ludzi, pochłoniętych umysłową pracą i dręczonych często ciężkiém rozmyślaniem o szerokich ogólnych sprawach. W oczach gospodarza domu był wyraz dobrodusznéj poczciwości, z za któréj wyglądał frasunek, niby z nałogu już w nich osiadły; spojrzenie gościa było pogodne i życzliwe, ale, gdy

przestawał mówić i zamyślał się, można w niém było dostrzedz odcień smutku. Niekiedy szare i ogniste, mimo wieku, oczy jego, odbiegały najbliższych przedmiotów i zdawały się patrzéć gdzieś daleko, obejmować jakieś szerokie przestrzenie i widnokręgi, a wtedy właśnie bywały najsmutniejsze.

Przyjrzawszy się pilnie obudwom rówieśnikom, łatwo było odgadnąć, że pan Jerzy był człowiekiem, któremu całe życie przeszło śród pracy na kawałek chleba, bez innéj myśli, jak o zasiewach, zbiorach i młóceniu, bez innych cierpień, jak nieurodzaj lub gradobicie, bez innych radości, jak niegdyś za młodu wesele z ukochaną Anusią, potém urodziny syna, a potém jeszcze lata, w których zboże dawało dziesięć kop z morga. Pan Andrzéj zaś musiał był koniecznie jednym z ludzi, którym królestwo ducha we władanie oddaném zostało, których myśl rada w tém królestwie mieszka.

Naprzeciw dwóch mężczyzn siedziała pani Snopińska, czterdziestoletnia kobieta, chuda, blada, z twarzą nic nieznaczącą i olbrzymim pękiem kluczów przy pasie. Na niéj więcéj jeszcze, niż na jéj mężu, znać było gospodarowanie całego życia, nieokraszone ani jedną szczyptą poezyi, nie ogrzane ani jednym promieniem szerszéj, ogólniejszéj myśli. Sery, masło i mąka, wypiętnowały na twarzy pani Snopińskiéj prozaiczną i oschłą cechę, a postać jéj, przybrana w czarny wełniany wązki szlafroczek i w biały czepe-

czek, który nie zupełnie zakrywał rudawe, gładko uczesane włosy, wyglądała tak, jakby wnet miała zmienić się w długi, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz do śpiżarni.

— No, kochani Państwo — odezwał się pan Andrzéj, — teraz, gdyście mię podróżnego nakarmili już i napoili, czas mi powiedziéć, w jakim celu przybyłem do was i zkąd mi się wzięło na odbycie tak dalekiéj podróży.

— To prawda — przerwał pan Jerzy — choć z duszy i z serca rad jestem cię widziéć, toć jednak oddziwować się nie mogę, zkąd się tu wziąłeś. Jak z nieba spadłeś, dalipan, boć to mil chyba z pięćdziesiąt do twego majątku, w którym mieszkasz.

— Blizko tego, ale co to znaczy dla takiego zucha, jak ja? — mówił, uśmiechając się, pan Andrzéj. — Wszakżeż tą samą bryczką, którą tu przyjechałem, temi samemi dwoma końmi i z tym samym furmanem, Jakóbkiem, przed dwoma laty odbyłem podróż do Warszawy, ba! aż za Warszawę, bo pod same Karpaty.

Oboje gospodarstwo zawołali z podziwem:

— Czyż być może?

— Ot, choć krewniacy mi jesteście, nie wiecie jeszcze o moich dziwactwach. A właśnie z powodu téj mojéj ciągłéj po świecie wędrówki, niektórzy zowią mię dziwakiem i mają może słuszność, jeśli dziwactwem godzi się nazwać takie zamiłowanie czegoś

bez granic, że dla miłości, jaką człowiek w sercu czuje, gotów największe ponieść trudy. Otóż ja, kochani państwo Jerzowie, mam w sercu miłość taką dla nauki i natury. Jerzy zresztą pamiętać to musi od szkolnych jeszcze czasów...

— O tąk, tak — powiedział Snopiński — pamiętam, że w szkole ja byłem zawsze hultajem, a ty najlepszym z uczniów.

— Ale miałeś zarazem złote serce i dla tego, nie licząc już związków pokrewnych, polubiłem cię tak, że stosunków naszych nie zerwał ani czas, ani różnica usposobień. Otóż lubiąc nad wszystko książki w dzieciństwie i piérwszéj młodości, w wieku dojrzałym zacząłem je sam pisać.

— Wiem, wiem o tém — zawołał pan Jerzy — i zawsze szczyciłem się z tego, że krewny mój kolega pisze tak uczone książki, że ja i zrozumiéć ich nawet nie mogę!

Zaśmiał się pan Andrzéj z tego naiwnego wyznania dzierżawcy i mówił daléj:

— Wiész pewnie i o tém, Jerzy, że specyalne studya, jakim się oddaję, mają za przedmiot nauki przyrodnicze: kocham naturę, szukam jéj wszędzie, jeżdżę po świecie dla zbadania jéj różnych objawów, a potém piszę, com widział i czegom się w wycieczkach moich nauczył. Te-to były cele, które zawiodły mię między Karpaty i nad Wisłę; w tych celach pojadę może w roku przyszłym daléj jeszcze; w tym także

celu przybyłem tutaj. Postanowiłem zbadać wszechstronnie Florę krajową i dla tego zwiedzam kraj nie koleją żelazną, ani pocztą, ale swemi powolnemi konikami, aby módz jechać zwolna, zatrzymać się, gdzie zechcę, i na każdém miejscu być panem mego czasu. Gdym przeszłéj zimy postanowił zwiedzić tutejsze strony, miałem naprzód zamiar zainstallować się na kilka letnich miesięcy w waszém gubernialném mieście, ale przypomniałem sobie, że mieszkacie tutaj kochani państwo Jerzowie i umyśliłem założyć u was kwaterę, tém bardziéj, że dla natury moich badań korzystniejszém będzie, jeśli zamieszkam na wsi. Nie będę ciągłym waszym gościem, bo mam do odbycia mnóztwo wycieczek w różne strony waszéj prowincyi, ale jeśli pozwolicie, będę ztąd wychodził i tutaj powracał; co więcéj, będę tu znosił wszystkie swe zdobycze, *alias* pęki ziela różnego rodzaju, albo też rysowane przeze mnie portrety drzew i kwiatów. Gdyby to jednak nie było wam zupełnie miłe i dogodne....

Nie dał mu skończyć pan Jerzy, bo pochwycił go w ramiona i zawołał:

— A! niech ci Bóg zapłaci za twoję myśl poczciwą! Bądź pewny, że rad ci jestem z całéj duszy, a choć nie znajdziesz u nas zbytku ni przepychu, toć jednak czém chata bogata, tém ci serdecznie rada. Będę miał przynajmniéj sposobność odwdzięczenia ci, choć w części, tego, coś uczynił dla nas...

— Nie wspominaj o tém, Jerzy! — zawołał pan Andrzéj.

— Gdybym i chciał, zapomniéć nie mogę — odparł żywo Jerzy. — Wszak pamiętasz, Anusiu, — dodał, zwracając się do żony—jak to tam na onéj dzierżawie, którąśmy pod Kownem trzymali, grad wybił zboże, bydło wypadło na zarazę, stogi siana spłonęły na łąkach, a dziedzic nie miał względu na nasze nieszczęścia i chciał nas za nieopłacone pieniądze do sądu skarżyć; wtedy, Andrzeju, gdyby nie twoja pomoc, poszlibyśmy z torbami...

Przy tych słowach łza zaćmiła poczciwe, lecz zawsze zafrasowane oczy pana Jerzego, a nawet fizyognomia jego żony rozświeciła się, jakby iskierką rozrzewnienia.

— Pamiętam dobrze tę wielką biedę naszę i pomoc pana Andrzeja — rzekła — to téż bądź pan pewny, że z całego serca radzi jesteśmy, iż pan u nas czas jakiś przepędzisz, a témbardziéj, jeśli to panu ma pomódz do napisania książki.

Widać było, że pani Jerzowa czuła się dumną z posiadania w domu swoim gościa, który książki pisze, a jeszcze, jak rzekł mąż jéj—tak uczone, że onaby ich nawet zrozumiéć ani potrafiła.

Po kilku jeszcze oświadczeniach i przypomnieniach dawnych czasów, z których pokazywało się widocznie, że pan Andrzéj niejednokrotnie bywał w prze-

szłości dobroczyńcą państwa Snopińskich, pan Jerzy zapytał:

— Powiédz-że mi, Andrzeju, jak tam u ciebie idzie gospodarstwo, kiedy tak ciągle jeździsz po świecie?

Uśmiechnął się pan Andrzéj. Pomyślał pewno, że co u kogo w głowie, to i w mowie.

— W majątku gospodaruje średni syn mój — odpowiedział. — Wiecie o tém, że najstarszy jest inżynierem, najmłodszy jeszcze w Akademii kształci się na doktora, a z trzeciego zrobiłem rolnika. Skończył on agronomiczną szkołę i od dwóch lat zwaliłem na niego cały ciężar gospodarstwa i przywiązanych do majątku interesów, a sam bez przeszkody oddaję się nauce i ulubionym po kraju wędrówkom.

— Szczęśliwy jesteś, Andrzeju, że masz syna, który cię w pracy wyręcza, przynajmniéj na starość odpocząć możesz! — rzekł pan Jerzy z westchnieniem, a wyraz frasunku, który był normalną cechą jego fizyognomii, zwiększył się przy tych słowach.

— O! tak — rzekł pan Andrzéj — mam prawdziwą pociechę z synów. Wychowałem ich tak, aby, oprócz majątku, jaki otrzymają po mnie, każdy z nich posiadał zawód, którym-by i ogółowi był pożyteczny i sobie byt niezależny własną pracą zapewnił.

Szybko jednak ocknął się z myśli swych pan Andrzéj i, jakby sobie coś nagle przypomniał, zawołał:

— A gdzież jest twój jedynak, Jerzy? Widzia-

łem go, kiedy miał lat ośm, czy dziesięć, i pamiętam, że ładne i roztropne to było dziecko. Gdzież jest teraz? czego się uczy? na co go kierujesz?

— A zaraz go zobaczysz — odpowiedział pan Jerzy — poszedł zrana ze strzelbą, ale pewnie zaraz nadejdzie.

— Jakto? więc jest w domu — zapytał pan Andrzéj. — Czyż-by był na wakacyach? Ależ to nie wakacyjna pora.

— Gdzie tam na wakacyach! — rzekł pan Jerzy, a frasunek zwiększył się w jego oczach — już cztery lata skończyło się, jak wrócił ze szkół do domu.

— Tak wcześnie skończył szkoły? to czemuż nie oddaliście go do jakiego wyższego zakładu naukowego, snać ma ogromne zdolności!

— Gdzie tam skończył szkoły! Przeszedł cztery klasy, a że nię chciało mu się uczyć, to i wziąłem do domu.

— I cóż on tu robi u was, tak młodo osiadłszy w domu? — zapytał pan Andrzéj.

Frasunek zwiększył się na twarzy pana Jerzego.

— Pomaga mi gospodarować — rzekł z cicha — ale wyraz jego oczu, smutny i zakłopotany, zadawał fałsz słowom.

— Hm! — rzekł pan Andrzéj i zamyślił się.

— Proszę pana — ozwała się pani Snopińska — chłopiec ma rodziców i kawałek chleba, pocóż mu było cudze kąty po jakichś tam szkołach wycierać?

Pan Andrzéj ze zdziwieniem na nią spojrzał.

— Zapewne — odrzekł — sami najlepiéj wiecie, jak kierować losem waszego syna; mnie się jednak widzi, szanowna pani Jerzowo, że kto za młodu tych cudzych kątów, o których pani mówisz, nie wyciera, ten potém na własny kąt zapracować sobie nie potrafi.

Pani Jerzowa brzęknęła kluczami i odpowiedziała:

— Toć już my dość napracowali się przez całe życie na to, aby nasze dziecko miało własny kąt i kawałek chleba bez pracy.

— Bez pracy... bez pracy... — powtórzył jakby do siebie pan Andrzéj, a oczy jego znowu utkwiły w przestrzeni i stały się smutne.

Pan Jerzy westchnął.

— At — rzekł — już téż i ja wolał-bym, aby chłopiec zajął się czémkolwiek, zamiast strzelać do wron po polach od śniadania do obiadu, a potém spać od obiadu do kolacyi. Ale cóż robić, kochany Andrzeju? u nas, harujących na kawałek chleba, jak chłopiec czytać, pisać, a rachować umié, to i chwała Bogu, a zresztą byle była ochota do pracy... byle była ochota...

— Ale czy będzie on miał tę ochotę, jeśli zaprawi się z młodu do bezczynności?—zagadnął pan Andrzéj.

Pana Jerzego oczy bardzo zafrasowały się, ale pani Jerzowa rezolutnie brzęknęła kluczami i rzekła, kiwając głową:

— Et, byle poczciwie żył a Pana Boga umiał chwalić, to na co mu tam szczególniejsze mądrości

i rozumy? Ot przynajmniéj mamy pociechę, że dziecko jest przy nas, między ludźmi żyje i świata się uczy. A chwała Bogu nie powstydzić się za niego rodzicom! Pan Andrzéj sam zobaczy. Jest czego posłuchać, kiedy mówi, i znaléźć się między ludźmi tak pięknie potrafi, że i hrabiątko jakie może się przed nim schować. To téż łapią go tu w sąsiedztwie, na rękach noszą...

— Zresztą — przerwał żonie mowę dzierżawca— zresztą widzisz, Andrzeju, syn mój będzie miał jaki taki fundusz, niewielki wprawdzie, ale zawsze to coś znaczy. Ja żadnego nie miałem po rodzicach, którzy sami całe życie chodzili po posesyach i wszystko, co kiedy mieli, na starość stracili. Jak żeniłem się z Anusią, trzymałem pięć chat w dzierżawie, a mieszkałem w kurnéj nieledwie chałupie. A ot, przy pomocy Bożéj, wylazło się z biedy i uciułało trochę grosza dla jedynaka. Jemu więc łatwiéj pójdzie, bo będzie miał za co ręce zaczepić, a ja nic nie miałem...

— Aleś miał ochotę i przyzwyczajenie do pracy— przerwał pan Andrzéj.

— To, to prawda — potwierdził pan Jerzy.

— A musiał miéć ochotę do pracy! — zawołała pani Jerzowa — bo jakby jéj nie miał, toby marł z głodu. A nasze dziecko nie umrze z głodu i bez pracy, to niech sobie za młodu świata użyje, zamiast ślęczéć nad książkami, albo harować przy gospodarce, jak parobek.

Pan Andrzéj nic już tym razem nie odpowiedział, ale zamyślił się i spuścił głowę na piersi, a pan Jerzy, spojrzawszy w okno, zawołał:

— Ot i Oleś powraca!

Spojrzał i pan Andrzéj, i zobaczył idącego przez dziedziniec tego samego młodzieńca, którego był spotkał na drodze, zbliżając się do Adampola.

— A, — rzekł — tośmy się już widzieli z panem Alexandrem; spotkałem go, jadąc tutaj, i rozmawiałem nawet z nim trochę; ale któżby w nim poznał teraz tego małego Olesia, którego przed dziesięciu widziałem laty!

— Wyrósł chłopiec, jak dąb — rzekł pan Jerzy, a żona jego uśmiechała się z widoczném zadowoleniem.

— Jużto, proszę pana — rzekła do gościa — choć jestem matką Olesia, ale śmiało powiedziéć mogę, że w całéj okolicy niéma piękniejszego kawalera. To téż panienki szaleją za nim; gdyby chciał, mógłby choć dziś z każdą ożenić się! — dodała ciszéj i z figlarnym wyrazem, który dziwnie odbił się na jéj chudéj i oschłéj twarzy.

— Ożenić się! tak młodo! — zawołał ze zdziwieniem pan Andrzéj — toć myślę, że ma zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwudziesty piérwszy kończy, ale i cóż to szkodzi, że młody? wszak przysłowie mówi: że kto rano wstał i wcześnie ożenił się, ten nigdy nie żałował.

— Przepraszam was, kochana pani Jerzowo — rzekł pan Andrzéj z uśmiechem — ale po staréj zna-

jomości ośmielę się powiedziéć, że przysłowie w drugiéj swéj części głupstwo mówi.

— Dla czego? — zawołała gospodyni domu.

— Bo człowiek, nim się ożeni — zaczął pan Andrzéj, ale przerwał mu pan Jerzy.

— Już to, co do żeniaczki — rzekł — i ja jestem za tém, aby Oleś jak najprędzéj ożenił się. Jak przybędzie familia, to próżnować odechce się i niestatki z głowy wylecą.

— A jak nie wylecą? — spytał pan Andrzéj — a pani Jerzowa nie rada, że mąż powiedzeniem swojém dał do zrozumienia o jakichś niestatkach syna, szepnęła z niezadowoleniem:

— Niestatki! niestatki! jakie tam niestatki! niéma żadnych niestatków!

W téj chwili otworzyły się drzwi pokoju, w którym rozmawiano, i wszedł syn gospodarza.

Urodziwy to był chłopak, w całém znaczeniu tego wyrazu. Smukły i kształtny, czoło miał białe, gładkie, foremne, oczy błękitne jak niezabudki, włosy niepospolitéj piękności, złociste, kędzierzawe. Policzki jego, opalone nieco od wiosennego wiatru, pokryte były piérwszym puchem młodzieńczym, a nad ponsowemi ustami porastał drobny, jasny wąsik. Gdy patrzył, iskry zdawały się sypać z jego wzroku; gdy uśmiechał się, pokazywał zęby białe i równe, jakichby nie jedna pozazdrościć mu mogła kobieta. Pięknéj twarzy téj nie brakło nawet wyrazu pewnego sprytu i roz-

garnienia, a także tryskała z niéj niezmierna pełnia młodzieńczego życia, które zdawało się szukać sobie ujścia na zewnątrz i wybuchało każdém spojrzeniem oczu, każdym ruchem fizyognomii.

Gdy wszedł do pokoju, w myśliwskiém ubraniu, bez torby tylko i bez fuzyi, pan Jerzy zwrócił się do gościa i, wskazując młodzieńca, rzekł:

— Mój syn, kochany Andrzeju—a potém dodał:— Olesiu, oto pan Andrzéj Orlicki, o którym nieraz od nas słyszałeś, krewny nasz i dobroczyńca.

Z wyrazu twarzy młodego człowieka można było domyślić się, że ostatni wyraz niemiłe na nim sprawił wrażenie. Śpiesznie jednak postąpił, podał rękę panu Andrzejowi i ukłonił się zręcznie i z elegancyą, tchnącą jednak troszkę prowincyonalnością. Potém wziął krzesło i, rezolutnie stawiając je obok gościa, usiadł i ozwał się swobodnie:

— Wszak to pana dobrodzieja właśnie miałem przyjemność spotkać przed dwiema godzinami na drodze do Adampola?

— Ależ bo długo byłeś dziś na polowaniu, Olutku — rzekła pani Jerzowa.

— Ho, ho, moja mamo! — zawołał młody człowiek — co to dla mnie znaczy? gdyby mi się jeść nie zachciało i gdybym nie pośpieszał, aby powitać pana dobrodzieja, choć go znać nie miałem honoru—dodał z eleganckim znowu i przesadzonym ukłonem—jeszczebym godzin ze dwie popolował. A co w domu robić?

I zwracając się do pana Andrzeja, zawołał:

— Ach, nie przedstawisz sobie pan dobrodziéj, jakie tu u nas życie nudne! gdyby nie fuzyjka, koń wierzchowy i...

— No, a cóżeś tam zabił dzisiaj? — przerwał pan Jerzy, w którego oczach frasunek rósł ciągle od wejścia syna; — czy będzie przynajmniéj z tego twego polowania pieczyste na kolacyą?

— Gdzie tam! — odparł Alexander — teraz zwierzyny na lekarstwo nie znaléźć! Trzy wrony zabiłem i po wszystkiém. Ale gdyby téż papo widział, jak to było zabawnie. Idę sobie drogą, wtém widzę: wroną siada na wierzbie; ja fuzyą do oka, a ona dziób do góry podniosła i kracze, jak gdyby kogo z pod obłoków wołała. Ja paf! ona benc! gdyby tchnęła, ale tak na miejscu i upadła nieżywa. Tak aż trzy zgładziłem dziś ze świata.

— I panu to zabijanie nieszkodliwych ptaków przyjemność sprawia? — spytał pan Andrzéj, którego zmarszczka między brwiami głębszą się stała.

— Cóż robić? panie dobrodzieju — rezolutnie odparł Alexander; — trzeba jakkolwiek czas zabijać. W sąsiedztwo nie zawsze można pojechać, w domu papa gospodaruje, mama gospodaruje, a mnie, panie dobrodzieju, co robić? chyba umrzéć z nudy!

Frasunek w oczach pana Jerzego wzmagał się coraz w czasie mowy syna; pani Snopińska wyszła, wy-

wołana do jakiéjś gospodarskiéj sprawy, a pan Andrzéj, po chwili milczenia, odezwał się żartobliwie:

— Uważam, panie Alexandrze, że panu bardzo często wraca na usta wyraz: nuda.

Alexander obu rękoma uczynił gest rozpaczliwy i odrzekł:

— A, pan dobrodziéj przybywasz zapewne z wielkiego świata i nie wiész, jakie to u nas życie na prowincyi! Człowiek np. wstaje zrana, zjé śniadanie i obejrzy się wkoło siebie. Cóż widzi?

Papa w stodole, mama w śpiżarni, parobki młócą, kury kwokczą, gęsi gęgają i koguty śpiewają. Wszystko to, razem wzięte, przyzna pan dobrodziéj, nie jest wcale zabawném. Więc człowiek chodzi z założonemi rękoma z kąta w kąt, z dziedzińca do ogrodu, z ogrodu na dziedziniec i czeka obiadu jak zbawienia duszy, nie dla tego, żeby się jeść chciało, ale dla tego, że to zawsze jakaś rozrywka, urozmaicenie czasu, który wlecze się, jak wóz naładowany po błocie. Przychodzi obiad, a po obiedzie, panie dobrodzieju, znów to samo, co i przed obiadem; człowiek czeka kolacyi, a po kolacyi to jeszcze gorzéj: papa idzie spać, mama idzie spać, czeladź idzie spać i następuje brzęczenie i kąsanie komarów. Ot, jakie to nasze życie! a zimą to jeszcze gorzéj... Ale po co to panu dobrodziejowi mówić? pan sam pojmiesz, co to jest, kiedy młody człowiek tak zagrzebie się na wsi.

Westchnął ciężko i potrząsnął głową dla odrzucenia z czoła opadających włosów.

Pan Andrzéj przypatrywał mu się bacznie i nieznaczny wyraz ironii przebiegł po jego ustach.

— Hm — rzekł — więc dla rozweselenia tego życia, które pan w niepowabnych malujesz barwach, nic innego pan znaléźć nie możesz, jak polowanie na wrony?

W głosie pana Andrzeja drżał dźwięk smutku i szyderstwa, dosłyszał go snać Alexander, bo spuścił oczy i rzekł ciszéj:

— Cóż robić?

Pan Jerzy milczał, w czasie rozmowy syna westchnął parę razy i, splotłszy dłonie, dwoma wielkiemi palcami rąk kręcił młynka z zafrasowaniem.

W drzwiach ukazała się pani Snopińska i zaprosiła na obiad.

Przy stole dzierżawca i gość jego rozmawiali o dawnych czasach, starych swych z sobą stosunkach i wspólnych znajomych. Jerzy stał się rozmowniejszym, zagrzany snać starym miodem, podanym do obiadu, i obecnością człowieka, którego widocznie serdecznie lubił; za to pan Andrzéj mniéj coraz mówił, spoglądał często na Alexandra, a potém zamyślał się i oczy jego stawały się smutnemi.

Do stołu zasiadła także młoda panienka, jakaś sierota, przez miłosierdzie trzymana w domu państwa Snopińskich. Nazywano ją Antosią, pani Snopińska posyłała ją wciąż z kluczami; nie brzydka była, ale

blada i mizerna, ubogo ubrana, a oczy trzymała ciągle spuszczone wpół ze smutkiem, wpół z pokorą. Siedzący obok niéj Alexander pochylał się często ku niéj i prawił jéj coś półgłosem. Widać było, że z niéj żartował, bo śmiał się ciągle, a żarty te nie musiały być miłe, bo Antosia rumieniła się co chwila po uszy, coraz smutniéj spuszczała oczy, a gdy raz, zawołana przez panią Snopińską, podniosła je z nad talerza, były w nich łzy.

Młoda, rumiana i przystojna dziewczyna, ubrana wpół po wiejsku, przynosiła półmiski i odmieniała talerze. Alexander zerkał na nią często, parę razy uśmiechnął się i mrugnął do niéj oczyma na znak jakiegoś porozumienia.

Zresztą mieszał się często do rozmowy rodziców z gościem, wypowiadał zdania swoje śmiało, mówił głośno a śmiał się jeszcze głośniéj.

Wtedy dopiéro spostrzedz można było, że wraz z wrodzonym sprytem i ciągłemi wybuchami wezbranego życia, twarz młodzieńca nacechowana była, rażącą przy tak młodym wieku, śmiałością i pewnością siebie. Graniczyło to niekiedy z rubasznością, bo rozpierał się na krześle, z pretensyonalnym gestem gładził mały wąsik, jadł za dwóch, pił za czterech; zaraz u wstępu obiadu wychylił dwa kieliszki starki, a potém dolewał sobie miodu co chwila.

Pan Andrzéj patrzał na to wszystko i zamyślał się coraz bardziéj.

— Kogoż tu macie w sąsiedztwie? — spytał pana Jerzego, gdy służąca podawała ostatnią potrawę.

— Najprzyjemniejsze są dwa domy — odrzekł wnet Alexander, nie dopuszczając ojca do odpowiedzi i odwracając się od Antosi, zarumienionéj po uszy od konceptu, który snać tylko co jéj powiedział; — o, są tu dwa domy bardzo przyjemne—mówił daléj.—W jednym z nich mieszkają państwo Siankowscy z dwiema córkami. Śliczne dziewczęta, słowo daję! Panna Ludwika blondynka, a panna Józefa brunetka. Na ostatniém zebraniu, które było u nich w czasie świąt wielkanocnych, panna Józefa cały wieczór tylko ze mną tańczyła, dała mi nawet na pamiątkę tego wieczoru gałązkę mirtową...

Pani Snopińska nachyliła się do gościa i szepnęła:

— Mówiłam panu, że panienki głowy za nim tracą! — a zwracając się do syna, dodała głośno:

— A pokaż-że nam, Olutku, tę gałązkę; czy masz ją przy sobie?

— A jakże, moja mamo! spoczywa na mojém sercu! — zażartował Alexander i, wyjąwszy z kieszeni kamizelki malutki elegancki pugilares, wydobył zeń uschłą gałązkę i podniósł ją w dwóch palcach z miną tryumfującą.

— A co? — szepnęła gospodyni domu do gościa i zachichotała po cichu.

— Drugie przyjemne sąsiedztwo nasze jest majątek Piaseczna — mówił znowu Alexander.— Mieszka

w nim pani Karliczowa, wdówka, no, już nie piérwszéj młodości, ale cudo kobietka, słowo daję! wesoła, żywa i bardzo grzeczna, choć bogata. A oczki jakie ma! oh! o! w tych oczach wiele jest sekrecików, tylko dobrze przypatrzéć się trzeba. O jednym z nich ja wiem; bardzo miły sekrecik, słowo daję.

I uśmiechnął się ze znaczącą miną.

— To tylko pewna — ozwał się żartobliwie pan Andrzéj — że gdybym był kobietą, nigdybym panu nie dał żadnéj pamiątki, ani powierzył żadnego sekretu.

— A to dla czego, panie dobrodzieju? — zawołał Alexander.

— Bo pamiątki pan pokazujesz, a o posiadaniu tajemnicy głośno opowiadasz. To trochę kompromituje damy.

Alexander spuścił oczy i zarumienił się mocno; w téj saméj chwili wstano od stołu.

W pół godziny po obiedzie pan Andrzéj rzekł do gospodarza domu:

— No, kochany przyjacielu, ponieważ dość długo mam tu u was pozostać, przeznaczyłeś mi zapewne osobny kąt jaki. Zaprowadź-że mnie do niego, bo chcę odpocząć po długiéj podróży i list napisać do syna.

Pan Jerzy poprowadził gościa przez kilka pokojów ze szlachecką przybranych prostotą, a nawet po części gospodarskiemi zarzuconych gratami, aż weszli na wązki kurytarz z obu stron którego było po parę drzwi.

— Wybrałem dla ciebie, Andrzeju — rzekł gospo-

darz — najustronniejszy pokój; bo choć nigdy nie zajmowałem się pracą książkową, wiem jednak, że wymaga ona cichości i odosobnienia.

Do wszelkiego gospodarskiego ruchu ztąd najdaléj, bo z jednéj strony kurytarza są składy, a z drugiéj pokój twój i Olesia. Ale, ale — dodał nagle — muszę téż zobaczyć, czy chłopiec mój jest u siebie i powiedzieć mu, aby cicho się sprawował, bo będzie miał ciebie sąsiadem.

— O, proszę cię, Jerzy, nie krępuj dla mnie swego syna! — zawołał pan Andrzéj; ale gospodarz otworzył już drzwi pokoju Alexandra. W pokoju tym było kilka drewnianych stołków, pod ścianą stała tokarnia, daléj leżały różne przyrządy stolarskich robót, gdzie indziéj kilka rozpoczętych koszyków z farbowanéj łozy, pod oknem był stolik, a na nim okrągłe lusterko i dwie wypróżnione butelki od wódki czy piwa. Między oknami, naprzeciw drzwi od kurytarza, stało łóżko, a na niém leżał Alexander, z twarzą zwróconą do sufitu. Oczy miał zamknięte i spał tak mocno, że słychać było nawet lekkie chrapanie.

Pan Jerzy spojrzał, machnął ręką z niezadowoleniem i drzwi zatrzasnął. Potém wprowadził gościa do przeznaczonego mu mieszkania.

— Powiedz mi, Jerzy — zapytał po chwili pan Andrzéj — co znaczą w pokoju twego syna te wszystkie tokarskie, stolarskie i koszykarskie przyrządy, które tam widziałem?

Snopiński znowu machnął ręką i odpowiedział:

— Et, kleci on tam coś czasem, toczy, hebluje albo splata; ale to, Boże odpuść, zdarza się raz w rok, około święta Wielkiéjnocy.

— Czy ma zdolności do rzemiosł?

— I jakie! — rzekł pan Jerzy — jeżeli weźmie się do czego, to istne cacko zrobi, tylko że... at!...

Nie dokończył i oczy jego zafrasowały się mocno.

— To dziwna — rzekł pan Andrzéj — a do nauki zdolności nie miał?

— Gdzie tam! i do nauk miał zdolności, on do wszystkiego zdolności ma, tylko... ot żal się Boże o tém mówić!

Jeszcze raz machnął ręką, westchnął i, z bardzo zafrasowanemi oczyma, pożegnawszy gościa, wyszedł.

Pan Andrzéj szerokiemi krokami przechadzał się po pokoju. Smutny był i jakby trochę gniewny.

Pocierał ręką czoło i mówił niekiedy do siebie:

— Ale cóż? zrana do wron strzela, po obiedzie śpi, na nudy narzeka, kobietom ubliża i nic więcéj! A zdolności jednak są, ale cóż po nich?

Westchnął i pokiwał głową smutnie.

II.

Szlachcic zagrodowy.

O trzy wiorsty od Adampola, tuż obok kopców granicznych, odznaczających grunta hrabiny X., dzierżawione przez pana Snopińskiego, zielenił się śliczny gaj brzozowy i dębowy, mający rozległości kilkanaście najwięcéj morgów. Gaj ten miał tę szczególność, że z obu stron swoich tworzył dwa pół-kola, jakby wielkie altany, otwarte na szeroko rozciągające się pola i łąki. W każdéj z tych altan, utworzonych przez naturę czy może ręką ludzką, stał dworek szlachecki z szarym domem o sześciu czystych oknach od frontu, z owocowym ogrodem, kilku gospodarskiemi budowlami i dziedzińcem, otoczonym porządnym płotem z ostrokołów. Dwa te dworki, rozdzielone z sobą całą przestrzenią kilkunasto-morgowego gaju, były tak podobne do siebie, jakby to jedna stawiała ręka. Cała różnica między niemi zachodziła w tém, że jeden z nich patrzył na północ, drugi na południe, i że

w jednym z nich, wyraźnie w tym, który ku południowi był zwrócony, budowle gospodarskie były nieco większe i ogród rozleglejszy, co oznaczało większą rozległość należącego doń folwarku. Gdyby poeta jaki, z myślą do zachwytu łatwą, został nagle przeniesiony w to miejsce, uradował-by się niezawodnie wielkiemi, choć skromnemi, pięknościami natury, które w niém panowały, mianowicie o wczesnéj wiosennéj porze roku.

Poważna, uroczysta cisza zalegała ledwie rozzielenione pola, a przerywało ją tylko brzęczenie owadów, które w licznych rojach unosiły się nad łąkami i kąpały różnobarwne skrzydła w potokach słonecznych promieni. Niekiedy z pomiędzy zagonów, zrywał się skowronek i, nucąc srebrną piosenkę, wznosił się prostopadle w górę, aż rozpłynął się pod niebem w ledwie dostrzegalny punkcik szary. Niekiedy także na wysokiéj kępie, sterczącéj śród łąki, albo na spróchniałym pniu dawno zrąbanéj wierzby, stanął pstrokaty bocian i zaklekotał donośnie, a klekotaniu jego odpowiadał, od strony któregoś z dworków, cichszy, bo stłumiony przestrzenią, klekot bocianicy. Pod zieloną ścianą gaju, białe, żółte i szafirowe motyle, jak skrzydlate obłoczki, podnosiły się z pomiędzy trawy, osiadały na młodziuchnych listkach brzozowych albo na gałęziach dębiny, po chwili zrywały się z listków i gałęzi, unosiły się wysoko aż do szczytów

drzew i spuszczały się znowu ku ziemi, łącząc się, rozdzielając, goniąc i opadając znowu w trawę.

Ale w gaju dopiéro, w saméj głębi jego, wrzało najgęstsze, najbardziéj rozbudzone i rozmaite życie natury. Roje ptastwa szczebiotały tam na wyścigi, dzięcioł wystukiwał sobie robaczki w konarze starego dębu, kukułka figlarnie odzywała się z zarośli, wiewiórki skakały po drzewach, puszystemi kitami wstrząsając gałęzie, u dołu zielony mech drżał, poruszany odbywającą się śród niego robotą mrówek.

Pomiędzy tém wszystkiém słońce, przeciskając się przez gąszcz leśną, rzucało gdzie-niegdzie szerokie smugi jasności, gdzie indziéj migotało wązkiemi nićmi lub oderwanemi iskrami światła, gdzie indziéj jeszcze zostawiało w pół-cieniu całe przestrzenie, osłonięte grubemi pniami i rozłożystemi gałęźmi, pokryte różowym wrzosem i zapełnione szelestem uścielających gniazda ptaków, brzęczeniem szukających pokarmu owadów i fruwaniem różnobarwnych motyli. A z góry, po przez szczyty drzew, zaglądały błękitne i białe kawałki obłoków, jakby ciekawe spojrzéć w tę głąb' cienistą, w któréj ruszały się miliony drobnych, śpiewających i kochających się na wyścigi istot, w któréj z pomiędzy trawy wykwitał blady nieśmiertelnik żółty, podnosiły się dzwonki liliowe, albo śród mchu ponsowiały lśniące grona żórawin.

Tą cichą, a jednak gwarną, prostą, bezdennie głęboką sielanką przyrody, otoczone były dwa dworki

szlacheckie, stojące w dwóch wklęsłościach gaju Patrząc na nie, jak nizkie, szare ale czyste stały tam między trzema ścianami zieleni i jedną stroną, niby wielkiém oknem, patrzyły na równinę pól i łąk, trzeba było pomyśléć, że mieszkańcy ich, wykołysani urokiem wiejskiéj i nieprzeinaczonéj sztuką natury, musieli koniecznie w sercach swych wyhodować również prostą a wdzięczną poezyą, również skromną w swych objawach, a pełną życia głębią uczuć.

Obok téj poetycznéj, znać jeszcze było wkoło obu dworków wysoko podniesioną praktyczną i realną stronę życia. Otaczające je grunta uprawne były wzorowo i z niezmierną starannością, nigdzie w okolicy nie dawały się widziéć zagony tak równo i pulchno zorane, rowy tak we właściwych wykopane miejscach, łąki tak oznaczone i oczyszczone z zarośli. Na łąkach tych pasły się trzody bydła i owiec, nieliczne wprawdzie, ale pięknéj rasy i wybornie utrzymane; a wiejskie wyrostki, co je pasły, nie miały wychudzonych i zaspanych twarzy, a na sobie brudnéj lub obdartéj odzieży, ale w czystém i całém ubraniu, z rumianemi policzkami i wesołym wzrokiem, biegały po łąkach, goniąc się i swawoląc. Nie jeden z nich siadywał na kępie i otwierał elementarzyk z malowanemi obrazkami, albo książkę do nabożeństwa i, spoglądając często na powierzone sobie stada, czytał półgłosem lub nucił pobożną piosenkę.

W ustroni téj, wszędzie, gdzie spojrzéć mogło oko

ludzkie, widać było jakąś rękę umiejętną i opatrzną, która rządziła wszystkiém. Od szarych, jednostajnych domów dwóch dworków, od twarzy ludzkich, które przesuwały się w ich pobliżu, aż do każdego zagona gruntu, do każdéj zrównanéj kępy na łące, wszystko tam tchnęło ładem, wdziękiem, starannością. Jak, przy piérwszém spojrzeniu na tameczną naturę, można było przypuścić, że dworki te posiadają serca poetyczne i głębokich uczuć pełne, tak, przyjrzawszy się panującemu tam porządkowi, trzeba było pomyśléć, że, oprócz serc poczciwych, musi tam być i umysł jakiś jasny a wytrwały, który pojął wysokie zadanie człowieka: udoskonalania wszystkiego z czém się styka, i choć-by z drobnéj otaczającéj go sfery, wyciągania wszelkich możebnych korzyści dla siebie i świata.

Pewnego kwietniowego ranka, z jednego z dworków tych, tego właśnie, który frontowemi oknami patrzył na północ, parę godzin przed południem wyszedł młody jeszcze mężczyzna. Zwyczajem pilnych gospodarzy, starannie zamknął za sobą wrota dziedzińca i poszedł drogą, wiodącą ku polom i obsadzoną młodemi topolkami. Potém zwrócił się na miedzę, biegnącą wzdłuż gaju, między zagonami bujnie wschodzącego żyta. Szedł z wolna, z rękoma w tył założonemi, w szarém ubraniu z prostego sukna, w gospodarskiém obuwiu i okrągłym słomianym kapeluszu; średniego wzrostu i szerokich ramion, twarzy ogorza-

łéj ozdobionéj ciemnym bujnym wąsem, z ubrania i powierzchowności wyglądał na zamożnego zagrodowego szlachcica.

Zaledwie uszedł na miedzy kilkadziesiąt kroków, gdy nagle, tuż prawie z pod stóp jego, zerwał się z zagonu skowronek, uniósł się parę łokci nad ziemię i zaśpiewał. Mężczyzna, jakby lękając się krokami swemi spłoszyć ptaszka, stanął i patrzył. Skowronek śpiewał ciągle i prostopadłym lotem wzlatywał coraz wyżéj, mężczyzna ścigał go wzrokiem. W końcu ptaszyna wzniosła się bardzo wysoko i zniknęła prawie pod obłokami, tylko śpiew jéj srebrzysty i donośny dochodził z dali do pól, pogrążonych w cichości, a człowiek, straciwszy ją z oczu, spuścił głowę i nie szedł daléj, ale stał z założonemi na piersi rękoma, pogrążony w zamyśleniu. Czyżby w zamyślenie to wprawił go widok i śpiew drobnego ptaszka? Ktoby jednak wnosił z prostego ubrania i niemniéj prostéj powierzchowności jego, przypuścił-by raczéj, że szlachcic, hreczkosiéj, myśli o tém, ile z każdego morga będzie miał tego żyta, śród którego stoi. Ale dla czegóż zadumał się on wtedy dopiéro, gdy z pod stóp jego wzleciała wiosenna ptaszyna i z pod obłoków słała mu wdzięczną piosenkę swoję? Zamyślenie to byłoż skutkiem głębokiego poczucia natury, nie przytępionego nawet codzienném z nią obcowaniem? Albo może odbiła się w nich rzewna poetyczność serca, okrytego szarém i grubém odzieniem?

Bądź co bądź, to pełne zachwytu przypatrywanie się lotowi skowronka, i to zapadnięcie w zadumę niepozornie wyglądającego mężczyzny, widział człowiek, który w téj saméj chwili wychylił się z za skraju lasu, stanął także i bacznie przypatrywał się, stojącemu śród pola, szlachcicowi. Był on czarno ubrany i trzymał pod ramieniem dużą tekę, jaką noszą ze sobą podróżujący uczeni lub artyści. Teka ta, okrągły popielaty kapelusz, całe ubranie, zastosowane do pieszych wycieczek, i posiwiałe włosy, wyglądające z pod kapelusza, nadawały mu w istocie postać poważnego turysty. Postąpił kilka kroków; szelest, jaki uczynił, obudził z zamyślenia człowieka w szarym surducie; podniósł on głowę i obaj spojrzeli na siebie: szlachcic z lekkiém zdziwieniem, turysta uprzejmie i życzliwie. Obaj machinalnie prawie podnieśli ręce do kapeluszy i skłonili się sobie wzajemnie.

— Przepraszam pana — odezwał się nadchodzący — czy nie możesz mi pan powiedziéć, jak daleko znajduję się od Adampola?

— O dobre trzy wiorsty, które nawet czterema nazwać-by można — odpowiedział szlachcic.

— A! — zawołał turysta z rodzajem zakłopotania — nie spodziewałem się odejść tak daleko, ale przypadkiem zbłądziłem!

— Pan pewno piérwszy raz jesteś w tych stronach? — spytał szlachcic.

— Tak — powiedział przybyły — przyjechałem

w te strony w celu odbycia kilku naukowych wycieczek i *locum standi* mam w Adampolu.

Gdy to mówił turysta, szlachcic powtórnie uchylił nieco kapelusza.

— A! — rzekł — dziękuję przypadkowi, który w ustroni téj dał mi poznać człowieka, podróżującego w tak szlachetnym i pożytecznym celu.

Słowa te i dźwięk, jakim były wypowiedziane, odbiły się od prostaczéj postaci szlachcica, nie mniéj dziwnie, jak uprzednia poetyczna zaduma, w którą go wprawił widok i śpiew skowronka. To téż mężczyzna z teką spojrzał nań z zajęciem i odrzekł:

— Uważałem przed chwilą, że i pan lubujesz się naturą, którą ja z naukowego badam stanowiska. Z taką przyjemnością zdawałeś się pan słuchać pieśni skowronka i patrzéć na lot jego!

Szlachcic nie zmieszał się bynajmniéj tém spostrzeżeniem przybyłego, uśmiechnął się tylko i odpowiedział z prostotą:

— Tak, panie, kocham naturę we wszystkich jéj przejawach, bo ona jest towarzyszką moją od lat dziecięcych aż dotąd. Ona była świadkiem wszystkich prac i pociech mego życia, a także i cierpień, których podobno żadnemu nie braknie człowiekowi. Każda pora roku sprowadza mi mnóztwo przypomnień, każdy kawałek pola, ptak, roślina, drzewo niemal każde, są mi znajome niby rodzeństwo, z którém się zhodowało pod jednym dachem. Pan zapewne uczysz się

poznawać naturę, a może i innych znajomości téj nauczasz; ja czuję ją i kocham.

Im więcéj szlachcic mówił, tém zwiększało się zdziwienie turysty. Przypatrywał się mu coraz uważniéj.

— Pan zapewne jesteś właścicielem jednego z tych folwarków, które się tu pod gajem znajdują? — spytał po chwili.

— Tak, panie, oto mój dom — odparł szlachcic, wskazując dworek, o kilkaset kroków odległy, i szybko dodał:

— Ale, jeżeli pan dziś opuściłeś Adampol, musiało to być chyba bardzo rano, a ponieważ błądziłeś, musisz być porządnie zmęczony. Może pan przyjmiesz u mnie gościnność, choć na godzin parę, dla wytchnienia i posiłku?

— Z przyjemnością przyjmuję uprzejme zaproszenie pana — grzecznie i z wyraźném zadowoleniem odrzekł turysta — tém bardziéj, że, badając roślinność stron tutejszych, rad téż będę poznać ich mieszkańców.

Szlachcic skłonił się lekko i już usunął się dla zostawienia gościowi swemu piérwszeństwa na wązkiéj miedzy, gdy ten wyrzekł żywo:

— Ale ponieważ miły dla mnie traf sprowadził nas tu razem i będę gościem pańskim, trzeba przecież, abyśmy wiedzieli wzajem, jak się nazywamy. Jestem Andrzéj Orlicki.

— A! — ze zdziwieniem i radością, zawołał szlachcic — więc pan jesteś tym znanym powszechnie i tak pożytecznie pracującym przyrodnikiem naszym, którego prace i nam prostakom pomagają znać i miłować naturę! Serdecznie, bardzo serdecznie witam pana na progu mojéj zagrody. Nazywam się Bolesław Topolski.

To mówiąc, jakby przez głębokie uszanowanie dla nauki i pracy człowieka, którego miał przed sobą, zdjął całkiem kapelusz i wyciągnął rękę ku swemu nowemu znajomemu.

W téj chwili dopiéro, gdy przez zdjęcie kapelusza odsłoniła się górna część twarzy zagrodowego szlachcica, pan Andrzéj mógł przyjrzéć się głównym cechom jego fizyognomii. Była to twarz, która, na piérwszy rzut oka, nie odznaczała się niczém, ogorzała i pospolitych rysów. Gdy nic nie mówił i oczy miał spuszczone, nikt-by ani chwili nie myślał mu przypatrywać się i tysiące osób mogły-by przejść koło niego, nie spojrzawszy nań inaczéj, jak mimochodem. Ale, gdy podniósł wzrok, zwracał na siebie koniecznie uwagę każdego, kto nań patrzył, bo miał takie spojrzenie, jakie rzadko spotkać można u ludzi jego stanu. W dużych szarych oczach jego była niepospolita głębia dobroci i myślącego spokoju, z za których wypływała chwilami nieokreślona jakaś rzewność, niby odblask tajonéj a może i nieświadoméj siebie poezyi serca. Czoło miał dość wysokie i bielsze od reszty

twarzy, włosy ciemne, krótko przystrzyżone, usta bardzo zwyczajne, trochę nawet za wypukłe i nie zupełnie kształtne, gdy milczał, ale gdy mówił lub uśmiechał się, nabierały one wyrazu téj saméj dobroci, jaką miały oczy, i układały się w pewne zagięcia, znamionujące moc i męzkość charakteru. Miał też niezwyczajny uścisk ręki, ciepły, silny i jakby nieco drżący. Kiedy w uścisk ten ujął rękę czyją, zdawało się, że mu w dłoń przechodziły tętna żywo uderzającego serca.

Wszakże oprócz spojrzenia, wyrazu ust i uścisku ręki, wszystko w powierzchowności jego było pospolite i bynajmniéj nie zajmujące.

Nigdyby powierzchownością swoją nie mógł zwrócić na siebie oczu pięknéj kobiety, a wszyscy, którzy go mijali, nie widzieli w nim najczęściéj nic, prócz poczciwego może prostaka. Ale niekiedy, nagle, jakby promień przesuwał się po jego twarzy i postaci, w oczach błyskała myśl, w uścisku dłoni zadrgało serce i każdy, kto go miał za prostego poczciwca, dojrzawszy promień ten, odstępował ze zdziwieniem i mówił sobie: „Nie spodziewałem się!”

Ten promień duchowy, przenikający niekiedy na zewnątrz przez oczy, uśmiech i uścisk ręki Bolesława Topolskiego, nie mógł ujść uwagi pana Andrzeja. Musiał także powiedzieć sobie: „nie spodziewałem się!”, bo z niezmiernem zajęciem przypatrywał się swemu

towarzyszowi, gdy, zszedłszy z wązkiéj miedzy, szli obok siebie drogą, ku dworkowi wiodącą.

— Jakąż wzorową uprawę pól widzę tutaj — rzekł pan Andrzéj, puszczając spojrzenia po długich, wązkich, wypukłych i jakby ręką ludzką usypanych zagonach! — Czy wiész pan, że rzadko w kraju naszym zdarzało mi się napotykać tak umiejętnie i starannie urządzone gospodarstwo. To istny holenderski ogród!

— W istocie — odpowiedział Bolesław — robię wszystko, co mogę i umiem, aby niewielki kawałek gruntu, jaki posiadam, podnieść do najwyższéj możebnie wartości. Czynię to i dla własnéj korzyści, i z przekonania, że każde pojedyńcze wysilenie, jakkolwiek odosobnione, każda praca, jakkolwiek w małym zamknięta obrębie, skoro tylko umiejętna jest i wytrwała, może choćby drobne ziarenko dorzucić do ogólnego pożytku.

— Dawnoż pan mieszkasz tutaj? — spytał pan Andrzéj, którego zajęcie wzrastało.

— Urodziłem się w téj zagrodzie — odrzekł Bolesław — a w dziedzictwie otrzymałem ją po ojcu przed ośmiu laty.

— A więc musiałeś pan już otrzymać po ojcu folwark ten w tak pięknym stanie?

— Nie zupełnie. Ojciec mój rzadko i tylko przy końcu życia swego w nim mieszkał, bo całą młodość i część dojrzałego wieku spędził na wojaczce, która

go prowadziła po odległych krajach. Był on we Włoszech, w Hiszpanii, na San Domingo i w Algierze, a gdy wrócił do ojczystéj zagrody, przywiózł z sobą bogaty w doświadczenie i wiadomości umysł, ale ciało osłabione ciężkiemi trudami, jakie ponosił, i niezdolne już do pracy fizycznéj, wymagającéj ruchu i energii.

Matka moja, święta domowemi cnotami, umarła wkrótce po jego powrocie; ja miałem wtedy lat piętnaście. Folwark nasz w niezmiernie opłakanym naówczas był stanie; znać w nim było wieloletnią nieobecność gospodarza. Ojciec mój w części tylko mógł temu zaradzić i tego tylko dokazał, że małą majętność naszę od zupełnéj uchronił ruiny, ale podnieść jéj i udoskonalić sterane nie dozwoliło mu zdrowie. Natomiast zajął się mną z całym zapałem duszy, nie ostudzonéj długiém tułaczém życiem, z całą miłością ojca, który pragnie w syna swego przelać samego siebie.

Uczył mię, a nauczyć mógł wiele, bo sam z otwartemi oczyma ducha po świecie wędrował; najbardziéj jednak, najusilniéj zaprawiał mię do pracy, do pracy rąk i myśli, ciała i ducha, bo, jak powiadał, obie są również cenne i pożyteczne i obie powinny być ciągłemi towarzyszkami życia prawdziwie uczciwego człowieka. Wpływał on na mnie niezmiernie, mocą swéj nieograniczonéj dla mnie miłości i urokiem męzkiéj, jędrnéj poezyi, któréj pełne było jego rycerskie serce, a która zwolna zdawała się sączyć

i przelewać w moje. Mając lat dwadzieścia, czynnie już zająłem się gospodarstwem; zrazu była to praca ciężka, mozolna, taka, która wymaga uczestnictwa własnych rąk, budzi przed wschodem słońca i zaledwie parę godzin wieczornych zostawia do porachowania się z własnemi myślami. Ale raźno mi było i ochoczo pracować pod ojcowskiém okiem, z myślą, że mu na stare lata daję opiekę młodego ramienia i byt wygodny zapewniam. Zdarzały się różne przeciwności, nieurodzaje, upadki bydła; ale wszystko to przeniosło się jakoś i naprawiło, dzięki Bogu, i miałem tę najwyższą pociechę, że ojciec mój ostatnie lata swoje przeżył w nowo zbudowanym i wygodnym, choć małym, dworku, który stanął na miejscu starego, na wpół rozwalonego, i że te ściany, w których prawdopodobnie życie całe przepędzę, słyszały jego dziękczynne i gorące błogosławieństwa, jakie przed zgonem na moję głowę zlewał.

Przestał na chwilę mówić Bolesław i twarz jego pokryła się szybko stłumionėm wzruszeniem. Jakby chcąc pokryć wzruszenie to, uśmiechnął się wesoło, spojrzał na pana Andrzeja swojém głębokiém, dobrém spojrzeniem i rzekł:

— Ale uważam, że wpadłem na tor opowiadania panu mojéj biografii. Daruj pan! to nie zajmujące. Przypominam sobie, że słyszałem, jak ktoś, który tu u nas w okolicy za bardzo uczonego uchodził, utrzy-

mywał, że nic bardziéj nudnego nie zna, jak wszelkie biografie.

Pan Andrzéj serdecznie na niego popatrzył.

— Od kilku chwil zaledwie znam pana — rzekł — ale wybacz mojéj otwartości, gdy powiem, że wzbudziłeś we mnie takie zajęcie, iż radbym, choćby przemocą, wedrzéć się w najdrobniejsze szczegóły twego życia.

Skłonił głowę z podzięką Bolesław.

— Pragnął-bym — odpowiedział — aby to zajęcie się mną pana obdarowało mię z czasem jego szacunkiem i życzliwością. Co do szczegółów mego życia, są one bardzo zwykłe i powszednie.

Folwark mój jest niewielki; jest to raczéj zagroda szlachecka, niż folwark. Prowadzę w nim czteropolową gospodarkę, bo taka najlepiéj przypada do natury gruntów. Na każdą zmianę mam po włóce ziemi, półtory włóki łąki i tyleż prawie lasu; oto i całe moje bogactwo. Miałem przywiązane do ziemi téj trzy rodziny poddanych chłopów, ale ich uwolniłem zaraz po śmierci ojca, w skutek ostatniéj woli jego, która się i z moją zgadzała. Odtąd zaprowadziłem parobczane gospodarstwo i przekonałem się, że takie, gdy tylko jest umiejętnie prowadzone, daleko więcéj przynosi korzyści gospodarzowi, niż przymusowa praca.

Dziś otrzymuję z Topolina dochód taki, jaki gdzie indziéj mają z majątków cztery albo i sześć razy większych od mego. Latem i jesienią pracuję bardzo

nad rolą, zimą i wiosną mniéj mam do czynienia z gospodarstwem, to téż zamykam się w mojéj szaréj kochanéj chacie i staram się nie zatracić tego, co mi z dziedziny wiedzy pozostawił mój ojciec, a może, przy pomocy Bożéj, i dorobić się przybytku moralnego dobra, tak, jak już dorobiłem się przybytku powszedniego chleba.

Kończąc to mówić, Bolesław wraz z swym towarzyszem znalazł się na ganku swego domu i uprzejmym gestem wskazał wejście gościowi.

Z widnéj, czysto wybielonéj i wymiecionéj sieni, pan Andrzéj wszedł do jasnego, o dwóch oknach, wychodzących na dziedziniec, pokoju.

Podłoga w nim była z prostych desek, niemalowana, ale gładko ułożona i czysto wymyta; pod ścianą, między oknami stała kanapa z żółtego jesionu, przed nią stół okrągły, pokryty serwetą pięknéj i delikatnéj roboty kobiecéj.

U okien były firanki z gładkiego białego muślinu, pod ścianami stały wyplatane żółte krzesła, na ścianach wisiało kilka niewielkich portretów znakomitych w dziejach ojczystych ludzi, w prostych drewnianych ramach, malowanych czerwono z czarnemi kantami. Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju widać było łóżko, ozdobione dużym, nieco spłowiałym dywanem, stolik z przyrządami do pisania i z kilku rachunkowemi oprawnemi księgami, kilka półek przy ścianie, napełnionych książkami różnych formatów, a nad

książkami zawieszony na haku pęk wielkich kluczy, od śpichrzów snać i stodoły.

Skromne było to szlacheckie mieszkanko, czyste, jasne i nieco surowe. Żadnych ozdób, nic w niém nie było miękkiego, wszystko tylko ściśle potrzebne, choć dostatnie. Klucze, zawieszone nad książkami, i książki, stojące pod niemi na półkach, zdawały się być symbolami mieszkania i żyjącego w niém człowieka.

Dwie tylko były tam rzeczy, drobne, ale stanowiące sprzeczność z surowością i pierwotną prostotą całego otoczenia: serweta na stole, wyraźnie kobiecą ręką pleciona z jedwabiu, jak z nitek pajęczych, i doniczka na oknie z pięknie kwitnącym białym narcyzem.

Te dwa przedmioty zdawały się mówić o kobiecie, tchnęły kobiecością, któréj zresztą śladów nigdzie więcéj nie było.

— Przepraszam pana, że opuszczę go na chwilę — rzekł Bolesław do gościa, gdy obaj weszli do mieszkania — pan jesteś głodny, a ja nie zapominam o tém, że jestem gospodarzem i że natrętnie prawie pociągnąłem pana do siebie. Rozkażę więc podać przekąskę, przyśpieszyć obiad i natychmiast służyć będę.

To mówiąc, wyszedł, a pan Andrzéj zaczął rozglądać się wkoło. Spojrzał w głąb' sąsiedniego pokoju,

którego drzwi na oścież były otwarte, a wiedziony ku książkom zamiłowaniem uczonego, zbliżył się do nich.

Półki, zawierające księgozbiór Bolesława, dzieliły się na dwie kondygnacye, przegrodzone podłużną deską. Po jednéj stronie były grube tomy, na których skromnéj czarnéj oprawie jaśniały imiona: Śniadeckich, Kołłątaja, Naruszewicza, Skargi, Lelewela i parę innych; po drugiéj stały powieści i poezye, nowszych czasów przeważnie, a między niemi parę tomów Kochanowskiego, Krasickiego i Reja z Nagłowic.

Pan Andrzéj czytał tytuły książek i przyjemne zdziwienie wzrastało na jego twarzy. Wypadkiem rzucił spojrzenie na bok i ujrzał na niewielkim stoliku, umieszczonym przy łóżku, parę gazet i illustracyi polskich; pomiędzy niemi stał lichtarz z niedopaloną świecą i można było odgadnąć, że nie dawniéj, jak dnia poprzedniego, Bolesław, przed zamknięciem do snu oczu, pisma te czytał. Leżały one nawet w nieładzie, świadczącym, że pilnie zajmowano się niemi..

Pan Andrzéj patrzył i zamyślił się, ale z zamyślonych oczu jego zniknął całkiem smutek, a ukazała się w nich błogość taka, jaką czuje człowiek, który widzi wcielającą się najulubieńszą ideę swoję.

W zamyśleniu zdjął z półki jednę z książek,—była to korespondencya Kołłątaja z Czackim.

Przerzucał ją pan Andrzéj machinalnie prawie, gdy z pomiędzy kartek wypadł kawałek cienkiego pa-

pieru. Podniósł go z podłogi i mimowolnie rzucił nań okiem; kilka wierszy drobném i wprawném pismem było na tym papierze. Pan Andrzéj sądził, iż są to notaty z poważnego dzieła, w którém się papier znajdował i przeczytał:

„Widziałem ją dziś, dobrą i piękną, jak Anioł. W oczach jéj było niebo dobroci, na ustach raj rozkoszy."

„Kobieta dobra i piękna, to dla mężczyzny źródło, z którego on co chwila czerpie szczęście i siły na surowe i pracowite życie.

„A taką jest *ona*.

„A *ona* będzie moją!"

Pan Andrzéj uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Nie potrzebniem to przeczytał, ale nie spodziewałem się, aby dwaj uczeni mężowie, Kołłątaj i Czacki, byli powiernikami marzeń miłosnych.

Włożył kartkę do książki i książkę postawił na półce. W téj saméj chwili ozwał się obok niego wesoły głos Bolesława.

— Uważam, że pana zajęła nieco biblioteczka moja. Połowa jéj, ta mianowicie, która składa się przeważnie z dzieł minionych stuleci, dostała mi się po ojcu, drugą sam dokupiłem.

Pan Andrzéj podniósł wzrok i po chwili milczenia rzekł gorąco:

— Daj Boże, aby syn pana, jeśli go kiedy miéć będziesz, tak samo snuł daléj poczciwą i rozumną

myśl, która ukrywa się pod tą słomianą strzechą, jak prawdziwa perła na dnie niepokaźnéj muszli!

Uśmiechnął się Bolesław i uścisnął rękę swemu gościowi.

— Mało mojéj zasługi jest we wszystkiém, co pan dobrego lub rozumnego zobaczyć możesz w téj mojéj zagrodzie. Od wieków było tutaj poczciwie i rozumnie, a ja ciągnę daléj nić tradycyi ojczystéj, przekazanéj mi po przodkach, a bezpośrednio otrzymanéj w spuściźnie po ojcu.

— O! tak — odparł z przejęciem się pan Andrzéj — trzeba być złym i bezrozumnym, aby poczciwéj tradycyi rodzinnéj nie uszanować i nie uszlachetnić jéj własną pracą.

— Pozwól, szanowny mój gościu — rzekł Bolesław — abym teraz zaprosił cię na prozaiczne pole powszednich potrzeb. Przekąska na nas czeka.

To rzekłszy, wprowadził gościa do piérwszego pokoju. W chwili, gdy tam wchodzili, stary sługa, o włosach i wąsach białych jak śnieg, o czerstwéj twarzy i szerokiéj szramie na czole, stawiał na stół, umieszczony przed kanapą, tacę pełną wiejskich przysmaków: wędlin, serów i litewskich nalewek. Bolesław zbliżył się do służącego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł do pana Andrzeja:

— Przedstawiam panu poczciwego Krzysztofa, starego towarzysza broni mego ojca.

Pan Andrzéj przemówił kilka słów przychylnych

do starego wojaka, który odpowiedział, kłaniając się z żołnierska i uśmiechając się pod wąsem:

— Je parle français, *mosie*, j'etais sept ans en France, beau Paris!

Zaśmieli się gość i gospodarz z téj improwizowanéj francuzczyzny i z dobrym apetytem wzięli się do śniadania. W pokoju słońce szerokiemi smugami złociło posadzkę, migotało po ścianach i opromieniało portrety wielkich mężów. Na dziedzińcu, naprzeciw jednego z otwartych okien, młody chłopak w siermiędze pasł dwa stajenne, młode, ale dobrze utrzymane, koniki. Stał on na zrębie i wykonywał różne gimnastyczne sztuki, dla pokazania swéj zręczności przed dwiema rumianemi dziewkami, które, o parę kroków od niego, prały bieliznę w wielkiéj balii. Dziewczęta śmiały się do rozpuku, a chichotaniu ich towarzyszyło skrzypienie żórawia u studni i plusk wody, przelewającéj się z wiadra do koryta. Na dziedzińcu wokoło wszystko tchnęło zielenią, świeżością, czynném życiem, w pokoju panowała cisza i ład, a nieokreślona jasność wewnętrzna, niby promienie silnego i spokojnego ducha, okrywała twarz gospodarza, swobodnie rozmawiającego ze swym gościem.

Pan Andrzéj słuchał i patrzył na wszystko uważnie, w końcu rzekł:

— Prawdziwie zachwycony jestem pańską ustronią. Kto tu raz zajrzał, może śmiało powiedzieć:

„i ja byłem w Arkadyi!” Wiész pan jednak, co mi na myśl przychodzi? Do uzupełnienia téj cichéj poezyi i pełni życia, jakie tu panują, braknie jeszcze kobiety, rozumié się kochanéj, dobréj i myślącéj.

Bolesław nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i, jakby mimowoli, rzucił spojrzenie na doniczkę z narcyzem, a w oczach jego błysnął wyraz uszczęśliwienia.

Czas upływał szybko, słońce już tylko parę godzin miało do zachodu, a pan Andrzéj ani myślał o opuszczeniu szlacheckiéj zagrody, która snać bardzo przypadła mu do serca.

Już było po obiedzie, gość i gospodarz siedzieli na ganku, prowadząc ciągle rozmowę, która nabywała coraz więcéj zajęcia i ożywienia.

— Powiedz mi pan — rzekł pan Andrzéj — kto mieszka w tym drugim dworku, co tam za gajem stoi, a tak podobny jest do tego, jakby obadwa przez rodzonych braci postawione były?

Na to pytanie pana Andrzeja, nagły rumieniec oblał twarz Bolesława i pokrył mu nawet czoło.

Z rumieńcem tym wyglądał on, jak człowiek, który na chwilę zapomniał był o czémś przejmującém na wskróś całą jego istotę, a ktoś mu o tém nagle przypomniał i przypomnienie to, niby dotknięcie iskry elektrycznéj, wstrząsnęło całym jego organizmem. Pohamował się jednak szybko i odrzekł spokojnie:

— W dworku tym, który się nazywa Niemenka, mieszka pani Niemeńska, kobieta w wieku i wdowa, z synowicą swoją, panną Wincentą Niemeńską.

Trzeba było bardzo nieprzenikliwego oka i ucha, aby nie dojrzéć wymownego spuszczenia oczu i nie dosłyszéć szczególnego dźwięku głosu, z jakiemi Bolesław wymówił ostatnie imię.

Pan Andrzéj nie należał do rzędu nieprzenikliwych, to téż uśmiechnął się nieznacznie, z przyjemnością popatrzył na Bolesława i ozwał się:

— Pan zapewne często bywasz w Niemence? tak blizkie sąsiedztwo...

— O! bardzo blizkie — odrzekł Bolesław — tém bliższe, że panna Wincenta jest moją narzeczoną.

Wyrzekł to z uśmiechem, ale głos mu zadrżał, i znowu nagły, ponsowy rumieniec pokrył twarz na mgnienie oka.

W tém drżeniu głosu i w tych nagłych ognistych rumieńcach, pojawiających się przy wspomnieniu kobiecego imienia u tego mężczyzny, skończonych lat trzydziestu i męzkiéj powierzchowności, odbiła się przedziwna świeżość i dziewiczość serca, ale zarazem trysnęła z nich łuna płomienistéj, namiętnéj natury.

Rozmowa po raz piérwszy przerwała się na chwilę. Bolesław spuścił wzrok i zamyślił się, jakby zapomniał o tém, co się działo koło niego; pan Andrzéj patrzył nań z baczną i życzliwą uwagą.

— Tak więc — odezwał się — masz pan tylko krok jeden uczynić do ślubnego ołtarza.

— Krok ten jednak dość długo trwać będzie — odpowiedział Bolesław — panna Wincenta bardzo młoda jest jeszcze, bo ma dopiéro rok siedmnasty; za wolą jéj i jéj ciotki, a także i w skutek własnéj rozwagi, postanowiłem czekać rok jeden jeszcze, chociaż rok już także mija od czasu, jak jesteśmy zaręczeni.

— Zapewne odłożyłeś pan termin ślubu swego dla lepszego wzajemnego poznania się z narzeczoną? — spytał pan Andrzéj.

— O, tego już nam nie potrzeba — żywo odparł Bolesław.—Ja znam pannę Wincentę od dzieciństwa, a okoliczności tak się składały, że od lat pięciu, t. j. od pory, w któréj straciła ojca i została zupełną sierotą, bo matki nie miała już oddawna, widywaliśmy się codziennie prawie.

Zwłoka ta została postanowioną skutkiem uwagi, że lepiéj jest zawsze, jeśli kobieta przyjmuje na siebie obowiązki żony i gospodyni, a może i mające wkrótce nastąpić trudy macierzyństwa, wtedy, gdy jest już w pełni rozwoju swoich sił moralnych i fizycznych. Zresztą *ona* tak chciała, a niech mię Bóg broni, abym przeciw woli jéj miał przyśpieszać choć o jeden dzień spełnienie najgorętszych życzeń mego serca.

— I panu to oczekiwanie nie wydaje się zbyt tru-

dném — spytał pan Andrzéj, przypatrując się silnemu rozpłomienieniu oczu, jakby elektrycznemu prądowi, który przebiegał po twarzy Bolesława, gdy mówił o narzeczonéj.

— Nie — odrzekł Topolski — widujemy się bardzo często, pewny jestem, że posiadam jéj serce, i że ją posiadać będę, a to mi wystarcza. Zresztą i teraźniejszość daje mi tak wiele żywych radości, że, gdybym był najpiérwszym z poetów w świecie, nie wiem, czy-bym je wszystkie wypowiedziéć był zdolen.

— Sielanka, prawdziwa sielanka! — szepnął do siebie pan Andrzéj, a głośno dodał: — prawdziwie, jak słucham pana, mówiącego mi o swéj narzeczonéj, zdaje mi się, że słyszę pieśń, śpiewaną śród pól i gajów, przy odgłosie fujarki pasterskiéj i szmerze strumyka. Jakże-bym pragnął widziéć narzeczoną pańską.

— O, nic łatwiejszego! — z żywém zadowoleniem zawołał Bolesław, ujmując za obie ręce swego gościa; — to tak blizko, kilkaset kroków zaledwie, jeśli przez gaj pójdziemy. Jeżeli pan chcesz, możemy tam pójść natychmiast. Ja także będę bardzo szczęśliwym, mogąc pokazać ją panu, pochwalić się z nią...

Rzekłszy ostatnie słowa z radością i dumą kochającego mężczyzny, Bolesław wstał z ławki i patrzył na swego gościa z niepokojem, jakby obawiał się, aby propozycya jego odrzucona nie została.

— Hm — odparł, namyślając się pan Andrzéj —

będzie to trochę oryginalny postępek z méj strony, ale mam nadzieję, że znajome pańskie przebaczą turyście i staremu dziwakowi chęć poznania ich, jaką pan obudziłeś we mnie. Pójdźmy!

Bolesław jednym skokiem wpadł do wnętrza domu i przyniósł gościowi swemu jego kapelusz.

— Jeden jeszcze warunek, kochany mój i uprzejmy gospodarzu — rzekł pan Andrzéj. — W Adampolu będą niespokojni o mnie, jeśli przed zachodem słońca nie wrócę; racz-że tam posłać kogo z uwiadomieniem, że się tu znajduję i z prośbą ode mnie, aby dziś wieczorem przysłano tu moje konie po mnie.

— O, na to ostatnie nie zgadzam się — zawołał Bolesław — gońca z uwiadomieniem poślę, ale koni nie trzeba, bo pan mojemi odjedziesz, i nie dziś, ale jutro. Chcąc nie chcąc, musisz pan u mnie przenocować, jesteś moim gościem, a po staropolsku, gość to niewolnik, który nie ma prawa wyjechać, kiedy chce, ale kiedy gospodarz domu go wypuści, wymógłszy wprzód obietnicę, że prędko wróci do swego chwilowego więzienia.

— Ha! — rzekł pan Andrzéj — niechże i tak będzie. Miło mi i dobrze z panem, to i po cóż mam się wyrywać. Na żadną exkursyą i tak nie wybierałem się jutro.

Uścisnęli się serdecznie, po prostu. W uściśnieniu tém nie znać było, że jeden z nich bogatym człowie-

kiem i sławnym w kraju uczonym, a drugi prostym zagrodowym rolnikiem.

Braterstwo ducha szybko owinęło i połączyło tych dwóch ludzi, tak, jak wonny powój owija i łączy jednemi sploty wspaniały i cenny modrzew z pospolitym, ale silnym i szlachetnym, dębem.

III.

Wincunia.

Dziedziniec w Niemence był, jak w Topolinie, okrągło wykrojony, niewielki, otoczony równym ostrokołem. Z tyłu osłaniało go obszerne półkole gęstego gaju, z przodu otwierała się perspektywa na łąkę, upstrzoną żółtém kwieciem. Gładka murawa zaściełała podwórze, a śród niéj krzyżowało się kilka wązkich, biało udeptanych ścieżek, prowadzących od domu do gospodarskich budowli. Ganek, na dwóch słupach wsparty, ocieniony był dzikim winogradem, który już rozzieleniać się poczynał, a niedaleko jednéj z bocznych ścian domu, naprzeciw bramy dziedzińca, stała gruba rozłożysta lipa, otoczona dość wysoką kamienną ławką. Nad stodołą wznosiło się gniazdo bocianie, a niedaleko ztamtąd była studnia z wysokim żórawiem.

Słońce zachodziło; wielka jego tarcza, staczając się za fijoletowe chmury, różową łuną rozświecała

dworek Niemenki. Okna domu były pootwierane, z nad dachu wyglądały owocowe drzewa ogrodu, pokryte białém kwieciem, na dziedzińcu panował gwar. Dziwaczny był to gwar, bo złożony z głosów różnego ptastwa, śród których jednak panowało gruchanie gołębi, a nad gruchaniem tém jeszcze i nad całym gwarem unosił się srebrny głos kobiecy, nucący wesoło jakąś prostą wiejską piosenkę.

Na kamiennéj ławce pod lipą stała młodziuchna, siedmnastoletnia dziewczyna. Ubrana była w różową perkalową sukienkę i przepasana białym fartuszkiem. Dwa grube warkocze bardzo światłych włosów otaczały jéj głowę, a w nich jaśniało kilka śnieżnych nad czołem wplecionych narcyzów. Czoło to, białe i gładkie, godne było téj kwiecistéj aureoli; pod niém wilgotnym blaskiem płonęły szafirowe oczy, wielkie, ściągłe, do połowy przysłonięte powieką i ocienione długą ciemną rzęsą. Twarz dziewczyny delikatna była i biała, usta wiśniowe, wilgotne i ukazujące w uśmiechu piękne zęby.

W ogóle dziewczę to, drobnéj i kształtnéj postaci, więcéj było ładne, niż piękne; najładniejszém czynił je wyraz pogody i dziecięcéj naiwności w twarzy, a wielka żywość w ruchach i postawie, z któréj co chwila tryskały objawy nieświadoméj jeszcze siebie, ale ognistéj natury.

Stała na ławce kamiennéj, a gałęzie lipy zielone tylko co rozpuszczoném liściem zewsząd ją obejmowa-

ły, spadały jéj na głowę i ramiona, dotykały różowéj sukienki, muskały białą szyję.

W jednéj ręce trzymała końce białego fartuszka, drugą rozsypywała do stóp swych przeróżne ziarna: pszenicy, jęczmienia, grochu, które wszystkie złociły się od promieni słonecznych i potokami spadały na trawę. Na trawie téj dopiéro były gonitwy, zamieszanie, wrzawa i walki. Czubate kury, zielonogłowe kaczory, drobniutkie kaczątka i wspaniałe koguty, a między tém wszystkiém największa liczba gołębi białych, szarych, ceglastych i srebrno-piórych, zbiegała się za ziarnem, odbierając je sobie wzajem, wydając krzyki, podlatując w górę i znowu opadając na ziemię. Dziewczyna drobną ręką coraz więcéj sypała ziarna téj krzykliwéj i różnobarwnéj rzeszy, i sama, jak ptaszyna, otwierała usta, śpiewając ochoczo wesołą piosenkę.

Dwa śnieżne gołębie, nasycone już snać pożywieniem, wzleciały z nad murawy, uniosły się w górę, i jeden z nich usiadł na ramieniu dziewczyny, drugi począł krążyć nad jéj głową. W téj saméj chwili, nagle urwała ona piosenkę, spłoniła się szkarłatnym rumieńcem i wypuściła z ręki fartuszek, tak, iż wszystkie ziarna wysypały się w trawę.

Naprzeciw siebie, w bramie dziedzińca, ujrzała stojących i przypatrujących się jéj dwóch mężczyzn, z których jeden był jéj nieznajomy.

Kilka sekund stała na swym kamiennym piedesta-

le, zmieszana, spłoniona, z rękoma opuszczonemi na suknią. Po chwili jednak skinęła głową z determinacyą, zeskoczyła z ławki i podbiegła na spotkanie przybywających. Zestraszone jéj nagłym skokiem, ptastwo, rozsypało się po murawie w różne strony, tylko kilka gołębi frunęło za nią i krążyło wciąż nad jéj głową.

— Dobry wieczór panu — rzekła młoda dziewczyna do Bolesława Topolskiego i podała mu rękę. Bolesław uścisnął drobne paluszki i rzekł:

— Wiodę do państwa miłego gościa, który niedawno przybył w nasze strony, a dziś wypadkiem wstąpił i w moje progi. Panno Wincento, oto jest pan Andrzéj Orlicki.

Na dźwięk tego nazwiska, lekki wykrzyk wydarł się z ust Wincuni, zarumieniła się znowu i, jakby nagłém onieśmieleniem zdjęta, spuściła oczy i zaczęła kręcić w palcach róg swego fartuszka.

— Wszak nie wezmą mi panie za złe tego niespodziewanego najścia na dom ich — uprzejmie rzekł pan Andrzéj, z upodobaniem patrząc na uroczą w zmieszaniu swém dziewczynę.

— Za złe! o nie! my znamy pana oddawna! — wymówiła, ośmielając się i zwolna podnosząc na gościa swe szafirowe, połyskliwe oczy.— Panie Bolesławie — dodała szybko — wszak to pan Orlicki zapewne jest autorem téj prześlicznéj książki o ptakach i kwiatach, którą czytaliśmy razem zeszłéj zimy.

— Tak — odpowiedział Bolesław — szczęśliwy traf daje nam dziś poznać człowieka, którego szlachetne myśli uwielbialiśmy już oddawna.

— O, mój Boże! — mówiła Wincunia — ja prawdziwie przelękłam się, usłyszawszy nazwisko pana. Piérwszy raz w życiu widzę kogoś, kto książki pisze, a jeszcze tak piękne i uczone. Jakże pan przecudnie opisałeś słowika! — mówiła, coraz ożywiając się i ośmielając, a delikatne jéj policzki lekko zaróżowiały — albo, jakże pięknie powtórzyłeś pan tę powieść wschodnią o słowiku, który śpiewał dla białéj róży póty, aż umarł ze zmęczenia. Jakie to poetyczne!

— Powieść ta o słowiku i róży — odpowiedział pan Andrzéj — jakkolwiek wschodnią wyobraźnią wyśniona, nie więcéj jest poetyczną, jak pani byłaś przed chwilą, stojąc na kamiennéj ławce z jednym gołębiem na ramieniu, drugim nad głową.

Wincunia znowu zarumieniła się i odrzekła:

— Te ptaszęta różne, to moje królestwo! gołębie to są moi paziowie, którzy lecą za mną, gdzie się tylko obrócę. O! ja bardzo lubię ptaki i kwiaty; z ptaków najlepiéj gołębie i słowiki, a z kwiatów te, co są różowe lub białe. Mam jednego gołąbka, który umié nosić kwiaty w dziobku; w zeszłym roku włożyłam mu w dziobek gałązkę konwalii, a on ją zaniósł w gaj i podobno aż do Topolina. Nie prawdaż, panie Bolesławie?

I zaśmiała się pusto, srebrzysto, przeciągle. Bo-

5*

lesław nie odpowiedział; wzrokiem tonął w twarzy dziewczęcéj, pełnéj ruchoméj gry naiwności i poezyi, bladości i rumieńców, onieśmielenia i swobody.

— Pokażesz mi pani tego gołąbka, co tak miłe nosi poselstwa — rzekł z uśmiechem pan Andrzéj.

— O, dobrze, dobrze!— odparła Wincunia—ależ, mój Boże! — zawołała żywo — ja tu stoję i rozmawiam z panami, a ciocia nic nie wié o ich przybyciu. Pójdę oznajmię jéj, że mamy gości; ona w ogrodzie!— Poskoczyła żwawo i zgrabnie i zniknęła za zasłoną domu.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie; w rozpromienionych oczach Bolesława było pytanie.

— Urocze dziecię — rzekł półgłosem pan Andrzéj.

— Tak, dziecię jeszcze, ale w niém mój świat! — odpowiedział z cicha Bolesław.

Wnętrze domu, do którego wszedł po chwili pan Andrzéj z przewodnikiem swoim, było zupełnie podobne do mieszkania w Topolinie. Więcéj w niém tylko było miękkości i kobiecego wdzięku. Nizkie sofki, obite popielatym perkalem w amarantowe bukiety, stały pod ścianami, firanki z takiegoż perkalu zdobiły okna, a wszędzie, na stołach, komodach i pod oknami, mnóztwo było zieleni i kwiatów. W niewielkim przyległym pokoju, ostawionym trochą jesionowych sprzętów, stał staroświecki fortepianik o sześciu oktawach, a szklane drzwi, otwarte na ogród, uka-

zywały zieloną ścianę drzew i kilka klombów pod gankiem.

Przez te drzwi ogrodowe weszła po krótkiéj chwili pięćdziesięcioletnia przeszło pani Niemeńska, w białym czepeczku i w okularach, a za nią, zdyszana i zarumieniona od biegu, ukazała się Wincunia.

Nastąpiły prezentacye i oświadczenia pani Niemeńskiéj, że szczęśliwą jest, widząc u siebie tak czcigodnego i znanego powszechnie gościa, co wszystko połączone było ze staroświeckiemi i nieco pretensyonalnemi ukłonami gospodyni domu. Poczém usiedli wszyscy i rozmowa potoczyła się żywo, dzięki wielomówności pani Niemeńskiéj i światowéj łatwości obejścia się pana Andrzeja. Najmniejszy udział w niéj brał Bolesław. Stał się on małomównym, zamyślonym, tylko, gdy wzrok jego spotykał się z oczyma Wincuni, po twarzy mu przebiegały niby iskry i promienie.

— Pan dobrodziéj na całe lato zamieszkał w Adampolu? — pytała pani Niemeńska pana Andrzeja.

— Z wyjątkiem kilku wycieczek, które trwać będą po parę tygodni — odpowiedział gość — ale, gdy to mówił, Wincunia ze szczególném zajęciem spojrzała na niego, jakby uderzyła ją i zainteresowała wiadomość, że on przebywa w Adampolu. Nikt na to uwagi nie zwrócił, a pani Niemeńska pytała daléj:

— Pan dobrodziéj musisz dobrze znać państwa Snopińskich?

— Jestem dalekim krewnym Jerzego, a przytém kolegą jego szkolnym.

— Jakże szczęśliwi są państwo Snopińscy, że mają takiego krewnego, jak pan dobrodziéj! — zawołała pani Niemeńska. — Ależ bo to prawdziwie godni ludzie! Nie bywamy wprawdzie u siebie i nie znamy się z blizka, ale mają tu w całéj okolicy śliczną opinią. Pan Jerzy, to gospodarz całą gębą, a i ona podobno doskonała gospodyni. Alboż syn ich, ten pan Alexander! Widujemy go często w kościele; jakiż to śliczny i grzeczny kawaler! Przeszłéj niedzieli Wincuni pod kościołem upadła z rąk książka do nabożeństwa, a on, choć nieznajomy, poskoczył, podjął, ukłonił się i oddał. Śliczny kawaler, panie dobrodzieju, grzeczny kawaler!

Pan Andrzéj ani słowa nie odpowiedział na te pochwały młodego Alexandra, ale Wincunia, przy wzmiance ciotki o podjęciu książki, spuściła oczy i zarumieniła się, przyczém chmurka zamyślenia przemknęła po jéj pogodném czole.

— Już to można powiedziéć — ciągnęła daléj mowna gospodyni — że w całéj okolicy niéma dla panienek lepszéj partyi, jak pan Alexander Snopiński. Powiadają, że ojciec jego, to kapitalista co się nazywa, a on jest jedynakiem. Przytém, jakie miłe

ułożenie i jaki śliczny z niego mężczyzna! aż miło patrzéć!

Słowa te wprawiały Wincunią w coraz silniejsze wzruszenie, objawiające się szybko następującemi po sobie rumieńcami, spuszczeniem oczu i krążeniem w palcach rogu fartuszka. Nagle zerwała się z krzesła i rzekła do ciotki:

— Każę podać herbatę w ogrodzie; czy dobrze, ciociu?

— Dobrze, moja koteczko — odpowiedziała pani Niemeńska, a Wincunia żywo poskoczyła i wybiegła przez drzwi ogrodowe.

Bolesław prowadził za nią wzrokiem, a gdy zniknęła, jakby nieobecnością jéj przywrócony do świata otaczającego, ozwał się, ciągnąc daléj rozpoczętą rozmowę:

— Dziwi mię tylko trochę, że pan Alexander Snopiński niczém się nie zajmuje. Od dwóch lat, jak osiadł w tych stronach, zawsze można go widziéć chodzącego z fuzyą po polach, albo jeżdżącego po sąsiedztwach.

— I cóż to wszystko szkodzi? — żywo zawołała pani Niemeńska. — Po co téż pan Snopiński ma pracować, jak parobek, kiedy ojciec jego bogaty i zostawi mu przyzwoity fundusz. Nawet-by szkoda było, żeby taki młody i śliczny kawaler zagrzebał się w gospodarstwie i wyrzekł się świata.

— Należy tylko obawiać się — rzekł Bolesław —

aby bezczynność nie zepsuła charakteru tak młodego człowieka i nie wprowadziła go w jakie nieszczęśliwe nałogi.

— O, co tego to pewno nie będzie! — z zapałem ujęła się gospodyni domu — w jakież nałogi mógł-by wpaść z takiém pięknėm ułożeniem i taką delikatnością? Zresztą, to kompletnie światowy kawaler, bywa po *wielkich* domach. Powiadają, że pani Karliczowa bardzo go lubi i zaprasza do siebie, a przecież to po hrabinie X. najbogatsza obywatelka w całéj okolicy i dom na wielką skalę prowadzi.

— Pani Karliczowa!—powtórzył Bolesław przeciągle i z pewną ironią w głosie.

W téj chwili Wincunia wbiegła z ogrodu i zaprosiła na herbatę.

Ogród w Niemence był niewielki, kwadratowy, z trzech stron otoczony wązką, cienistą aleją z lip, a z czwartéj zamknięty domem. Pośrodku było kilka kwadratów z owocowemi drzewami, między niemi krzyżowały się gracowane ścieżki, osadzone krzakami agrestu, porzeczek i malin, a w rogu ogrodu półkole ze starych lip tworzyło dość obszerną i ocienioną altanę. Z pomiędzy drzew alei wyglądał płot z ostrokołów, otaczający ogród.

W altanie był stół kamienny, otoczony drewnianemi ławkami, a na nim oczekiwał gości Niemenkowskich wiejski podwieczorek, ozdobiony wielkim pachnącym bukietem, postawionym przez Wincunię po

środku stołu, między półmiskiem pieczonych kurcząt, a nalewką, pełną wybornéj śmietanki.

Zasiedli wszyscy około kipiącego samowaru; Wincunia nalewała i podawała herbatę. Była ona żywa jak iskra, oswoiła się łatwo z nieznajomym sobie człowiekiem i szczebiotała ciągle, to przekomarzając się dziecinnie z Bolesławem, to opowiadając gościowi o swoich kwiatach, gołębiach, a nawet i książkach, które w zimowe i jesienne wieczory czytała razem z narzeczonym.

Podwieczorek był spożyty, godzina cała upłynęła szybko i nieznacznie dla całego towarzystwa, które snać wzajemnie z siebie zadowolone było; słońce już zaszło i zmrok zapadał powoli.

— Ach, mój Boże! zapomniałam — zawołała nagle Wincunia, uderzając się ręką po czole.

— O czém pani zapomniała? — spytał Bolesław.

— Zapomniałam polać moje kwiaty!

— Więc pójdźmy, polejmy je teraz, ja pani pomogę.

— A dobrze — zawołało dziewczę, klaskając w dłonie — pójdźmy!

Zerwała się z ławeczki i pobiegła, a za nią pośpieszył Bolesław.

Pani Niemeńska gawędziła z gościem.

— Bo to, widzi pan dobrodziéj — ciągnęła rozpoczętą rozmowę — ojciec Wincuni był moim rodzo-

nym bratem, i trzecia część Niemenki do mnie należy. Nieboszczyk mąż mój, świéć Panie nad jego duszą, był urzędnikiem w G., ale jak umarł, a ja zostałam się wdową, bezdzietną i samą jedną na świecie, przyjechałam do brata i hodowałam mu dziecko, które już dawno matkę straciło. Za nieboszczyka brata działo się nam nieźle, bo dobry był z niego gospodarz, ale jak umarł, wszystko zaczęło rujnować się, i dawno już nie miałybyśmy Niemenki, gdyby nie pan Topolski. Niech jemu Pan Bóg i Najświętsza Panna wynagrodzą!...

— Więc pan Topolski przybył paniom z pomocą, gdy byłyście w kłopotach? — z żywą ciekawością spytał pan Andrzéj, widocznie rad, że dowié się o jednym jeszcze pięknym rysie charakteru Bolesława.

— A jakże! — zawołała pani Niemeńska.— Oto, panie dobrodzieju, po śmierci nieboszczyka brata, dworek zaczął się walić, bo był stary, bydło na zarazę wypadło, ziemia nie rodziła, bo nie było komu dopilnować jéj uprawy. Już nędza stała u nas tuż, tuż pod progiem. Jak tylko on wszystko wziął w swoje ręce, cała gospodarka poszła jak z płatka. Pracował, panie dobrodzieju, przez trzy lata, aż żal było patrzéć, bo i na swojém, i na naszém, a nie pozwalał nawet nigdy podziękować sobie. Zbudował nam nowy dworek, taki samiuteńki, jak u siebie, inwentarz zaprowadził, łąki potrzebił, długi, które jeszcze nie-

boszczyk był zaciągnął, to na to, to na owo, pospłacał dochodami Niemenki, które co rok powiększały się, jak cudem jakim, a teraz doprowadził folwark do takiéj wartości, jakiéj nigdy nawet za nieboszczyka nie miał.

— Czy pan Bolesław miał jakie obowiązki dla familii państwa, że tak się dla pań poświęcał? — spytał pan Andrzéj, w którego oczach błyszczała najczystsza radość.

— Żadnych, panie dobrodzieju, najmniejszych! — odpowiedziała pani Niemeńska. — Ot, po prostu, przychodził do nas dość często, jak to zwyczajnie w blizkiém sąsiedztwie bywa, i widział moje kłopoty, i to, że sobie rady z gospodarstwem dać nie mogę. Widział, jak mnie okradali, oszukiwali, jak, słowem, ginęłyśmy bez męzkiéj opieki. Z początku tylko radził, czasem i gderał, kiedy widział, że, zwyczajnie, panie dobrodzieju, jak baba, nie tak urządzam się, jak potrzeba; ale uważając, że wszystko dlatego źle szło i coraz gorzéj, powiedział raz do mnie: „Daj pani już pokój gospodarce, ja wszystkiém sam się zajmę i fundusz uratuję!“ Tak i zrobił; zawziął się i postawił nas na nogi. Niech jemu za to Aniołowie Stróżowie będą ku pomocy!

— Obywatelska dusza! — szepnął do siebie pan Andrzéj, a pani Niemeńska, raz już rozgadawszy się, ciągnęła daléj:

— A czy pan dobrodziéj myśli, że na tém koniec?

Gdzie tam! Jak nieboszczyk mój brat umarł, Wincunia miała lat dziesięć i niczego jeszcze nie uczyła się, zwyczajnie jak szlacheckie dziecko. Ojciec zawsze mawiał: dla dziewczyny nauk nie potrzeba, będzie jeszcze dość czasu do nauczenia jéj czytać!

Potém, kiedy ja sama zaczęłam turbować się koło gospodarki, to ani czasu, ani myśli nie miałam uczyć jéj czegokolwiek, zresztą, po prawdzie mówiąc, niczegobym i nie mogła nauczyć, bo zwyczajnie, jak prosta szlachcianka, panie dobrodzieju, i sama nie mam książkowego rozumu, a co i umiałam kiedy, to dawno już z głowy wyleciało. Wincunia miała lat dwanaście, a jeszcze nie umiała ani *a* ani *b*. Żal było patrzéć na dziewczynę, że tak hoduje się, na las patrząc, ale cóż ja na to mogłam poradzić? O guwernantce ani myśléć nie można było, kiedy biéda stała za drzwiami i wkrótce kawałka chleba i dachu nad głową zabraknąć mogło.

Owóż tedy, pan Bolesław, jak zaczął u nas gospodarować, tak zaczął i Wincunią uczyć. Bywało, mówi: „panna Wincenta jak dorośnie, będzie miała niezły fundusz, niech-że ma i oświatę, i wié, jakie to kobieta ma zadanie w życiu i obowiązki względem społeczeństwa, między którém kawał ziemi posiada!”

Uczył ją czytać, pisać, rachować i jeszcze jakichś tam geografii i historyi, i nie wiem już czego więcéj.

Bywało, ja siedzę, robiąc pończochę i tylko słu-

cham, jak on jéj prawi o jakichś królach, wielkich ludziach, narodach i miastach dalekich, a dziewczyna słucha i połyka naukę, bo sprytne to było dziecko i żywe, gdyby iskra — taką zresztą jest ona i teraz.

Potém zaczął jéj przynosić książki różne, czytywali razem, a jak odchodził, to prosił ją, żeby sama czytała, jak jéj czasu od domowych robót zostanie.

I tym sposobem, panie dobrodzieju, wyedukował dziewczynę, że aż miło. Nie powstydzi się ona teraz przed ludźmi, ma o czém powiedziéć, a o niczém nie słucha, jak o żelaznym wilku. Prawda, że po francuzku nie umié, ale to i niepotrzebne. Za to gra na fortepianie, bo pan Bolesław powiedział, że „kobieta i muzyka, to dwie siostry rodzone i powinny z sobą w parze chodzić“ i uprosił metra muzyki z miasteczka, aby jéj lekcye dawał. Przez trzy lata przyjeżdżał on regularnie po trzy razy na tydzień, a ja mu za to płaciłam. Ale téż nie żal tego, bo dziewczyna skorzystała i gra, aż miło posłuchać, nie wielkie sztuki wprawdzie, bo téż to i niepotrzebne, ale kiedy zagra krakowiaka, albo mazura, to aż serce skacze, a jak dumkę ukraińską, to aż się chce zapłakać.

Tak to, tak, panie dobrodzieju, postępował z nami pan Bolesław, a to bez żadnych obowiązków, bez żadnego interesu, tylko tak ze szlachetności swojéj i poczciwości serca. Niech mu Bóg za to błogosławi!

Długo jeszcze pani Niemeńska mówiła w ten sposób, opowiadając coraz cóś nowego o Bolesławie i jego zacnych czynach, a pan Andrzéj oparł skroń na ręku, słuchał uważnie, a usta jego poruszały się niekiedy i szeptały z cicha:

— Takich nam trzeba! takich nam trzeba!

Gdy tak gospodyni domu rozmawiała ze swym gościem przed gankiem, między klombami zupełnie innego rodzaju przedstawiał się obrazek. Pod rozłożystym krzakiem bzu stała głęboka beczka, pełna wody; obok niéj stał Bolesław i od czasu do czasu napełniał wodą blaszaną polewaczkę, którą mu podawała Wincunia. Dzieweczka podniosła swoję różową sukienkę, aby ją ochronić od rosy wieczornéj i polewała nowo posadzone na klombach kwiaty.

Srebrny, kroplisty strumień tryskał z polewaczki, drobna postać Wincuni, owiana mgłą téj ruchoméj fontanny, migotała po ścieżkach, a szmerowi wody towarzyszył dźwięk piosenki, którą nuciła z cicha i przerywając sobie, to wykrzyknikiem radości, na widok świeżo rozkwitłéj roślinki, to wyciągnięciem do Bolesława ręki z polewaczką, z prośbą o wodę.

Bolesław zanurzał w beczce naczynie i podawał je narzeczonéj. Raz, gdy to czynił, rzekła:

— Gdy patrzę, jak pan czerpiesz wodę dla mnie, wydaje mi się, jakobyś był biblijnym Jakóbem, a ja Rachelą, tylko, że to nie studnia ale beczka.

— I pani owieczek nie pasiesz — dodał z uśmiechem Bolesław.

Rozśmiała się głośno, przeciągle.

— Dzięki panu, nie pasę ich! — zawołała ze śmiechem i poskoczyła między klomby.

Bolesław stał, wsparty o krzak bzowy, i ścigał wzrokiem postać dziewczyny; zdawało-by się, że niepodobna mu było oczu od niéj oderwać.

Ona nuciła, a on milczał; w końcu westchnął całą piersią, jak człowiek, którego tak napełnia uczucie jakiéś, że mu aż tchu braknie, i wymówił cichym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Moja!

W tym jedynym wyrazie złączyły się odgłos, męzkiéj radości, dumy i miłości głębokiéj, bez granic. W téj saméj chwili Wincunia, zmęczona snać, wypuściła z rąk polewaczkę, stanęła na środku ścieżki, opuściła ręce na suknią i zawołała:

— Czemuż pan nic nie robisz, panie Bolesławie? Ja pracuję, pracuję, a pan sobie tylko stoisz i patrzysz. Jeszcze dwa klomby trzeba polać. Weź pan tę drugą polewaczkę, co tam stoi pod krzakiem, i pomóż mi choć trochę!

Bolesław stał jeszcze chwilę nieporuszony, ale nagle, zamiast wziąć wskazaną sobie polewaczkę, zbliżył się szybko do Wincuni, wziął jéj obie ręce i okrył je pocałunkami.

— Wincuniu! moja ty droga! moja ukochana!— mówił bardzo cicho, patrząc jéj w oczy.

Wincunia spuściła głowę i nic mu nie odpowiadała, a on, trzymając ręce jéj w coraz silniejszym uścisku, mówił jéj oderwane, niedosłyszanie ciche wyrazy miłości.

Zmrok coraz gęstszy zapadał, parę wielkich gwiazd ukazało się na ciemném sklepieniu i z za lipowéj alei wschodził jaskrawy księżyc w pełni.

— Panie Bolesławie!—wyszeptała w końcu Wincunia — jaki pan jesteś dobry dla mnie! jam tego nie warta!

I pochyliła głowę nizko, bardzo nizko, a po twarzy jéj przemknął smutek, będący w dziwnéj sprzeczności ze zwykłém jéj weselem.

— Najdroższa moja! — odpowiedział cicho Bolesław — ty jesteś moją gwiazdką jasną, moim gołąbkiem, słodkim moim kwiatkiem, radością moich oczu! Ty będziesz szczęściem i pięknością całego mego życia! Wszak ty mię kochasz, jedyna? Wincuniu, powiedz, kochasz mię?

Milczała i wzrok schyliła ku ziemi.

— Wincuniu, powiedz, że mię kochasz — gwałtowniéj, namiętniéj jeszcze mówił Bolesław — ja wiem, że tak jest, o wiem! bo inaczéj jakże-bym żył? ale chcę to z ust twoich usłyszéć. Czemu ty mi nigdy nie mówisz, że kochasz mię? Jest-że to wstydliwość twoja dziewicza? Jest-że to nieśmiałość? O, nie wstydź

się, nie lękaj! ja już jestem twoim mężem wobec Boga i serca mego, a słyszą nas tylko kwiatki twoje, które nikomu, nikomu nie powtórzą tego, co powiesz, boć ty ich siostra rodzona! Wincuniu, kochasz mię?

Tuż obok zaszeleściły liście bzowego krzaku i kropla wieczornéj rosy z cichym szelestem spadła pomiędzy trawę. Dziewczyna milczała. Oczy jéj były w ziemię utkwione i usta zamknięte, nie otworzył ich nawet ani razu przyśpieszony oddech wzruszenia, choć ręce jéj zamknięte były w gorących dłoniach narzeczonego, a wzrok i słowa jego zdawały się ją osypywać żarem i iskrami.

W alei dały się słyszéć kroki nadchodzących,—pani Niemeńska z gościem swym zmierzali ku gankowi. Bolesław nie słyszał; ale Wincunia posłyszała to, wyrwała ręce swe z uścisku narzeczonego, i w kilku podskokach była już daleko od niego, pod gankiem.

— Praca pani czy już skończona? — spytał, zbliżając się do niéj, pan Andrzéj.

— Nie zupełnie — odparło dziewczę — i dziś już skończoną nie będzie. A winien temu pan Bolesław, bo pomagać mi wcale nie chciał i nic nie robił — dodała żartobliwie.

Pan Andrzéj spojrzał na Bolesława, który połączył się z towarzystwem, i rzekł z uśmiechem:

— Ja sądzę, że pan Bolesław spełnia najmilsze dla siebie zajęcie.

— Jakież? — spytała Wincunia.

— Patrzył na panią.

Pan Andrzéj czuł się zapewne w prawie powiedzićć to, bo oprócz Bolesława i pani Niemeńska wtajemniczyła go w stosunek, zachodzący między dwojgiem młodych ludzi. Mówiła mu ona o tém w altanie.

— Bo to, uważasz pan dobrodziej, pan Topolski uczył moję Wincunią, aż się w niéj rozkochał. Rok temu oświadczył się o jéj rękę. Nie było-ż powodu odmawiać takiemu dobroczyńcy, a porządnemu, rozsądnemu i wcale nie biednemu człowiekowi. Spytałam się Wincuni, co ona o tém myśli. A ona, zwyczajnie jak dziecko, zaśmiała się i odpowiedziała: dobrze! Ja ją znów pytam: ale czy ty jego kochasz? a ona mnie odpowiada: „albo ja sama wiem, moja ciociu? zdaje się, że kocham. Pan Bolesław taki dobry i tyle dla nas uczynił!“ I zaręczyli się. Tylko ona ciągle prosiła, żeby ślub na dwa lata odłożyć, a on poczciwy na wszystko zgadzał się, bo tak pokochał dziewczynę, że zdaje się, gdyby ona tego chciała, poszedł-by na koniec świata szukać dla niéj ptaka mówiącego, albo śpiewającego drzewa. Rok już minął od ich zaręczyn, jeszcze rok będą czekać, a potém, panie dobrodzieju, wyprawim weselisko. Jak tylko Wincunią oddam mężowi, zaraz wyjadę w Kowieńskie do mojéj siostrzenicy, bo to, panie dobrodzieju, ja tę siostrzenicę kocham, jak własną córkę...

I długo jeszcze pani Niemeńska opowiadała swe-

mu gościowi o swojéj siostrzenicy i wielu innych rzeczach, i dopiéro, gdy zmrok zupełny zapadł i chłód wieczorny dał się poczuć, wyszli z altany. W godzinę potém, pan Andrzéj i towarzysz jego opuścili Niemenkę. Po ich wyjściu, pani Niemeńska nie posiadała się z radości, że tak znakomitego, jak pan Andrzéj, gościa miała u siebie, a radość tę objawiała szybkiém chodzeniem po pokoju i wychwalaniem nowego znajomego. Wincunia siedziała na sofie, splecione ręce złożyła na kolanach, i trudno było poznać, czy słuchała słów ciotki, bo oczy jéj, z nieokreślonym wyrazem zamyślenia, błądziły po pokoju. Była smutna.

— Co ty, koteczko, nic nie gadasz i siedzisz jak zwarzona? — spytała pani Niemeńska, zatrzymując się przed nią i przypatrując się jéj przez okulary.

Wincunia, jakby się ze snu ocknęła, spojrzała na ciotkę zamgloném okiem i odrzekła:

— To nic, cioteczko, zamyśliłam się tak sobie, sama nie wiem o czém. Dziś piątek, ciociu — dodała po chwili — po jutrze pojedziemy do kościoła, nie prawdaż?

— Pojedziemy, pojedziemy, koteczko! Ale, co to ty od kilku tygodni tak często mi przypominasz kościoł? Dawniéj tego nie było. Może odmawiasz jaką nowennę?

Na te słowa ciotki, silny rumieniec wytrysnął na

twarz Wincuni. Miała taką minkę, jakby się czegoś przelękła, a bardziéj jeszcze zawstydziła.

— O, moja ciociu! — zawołała wzruszonym głosem — cóż to dziwnego, że ja lubię bywać w kościele?

— Ależ ja się temu wcale nie dziwię, i owszem, pochwalam ci to, moja duszeczko, bo kto z Bogiem, Bóg z nim. Myślałam tylko, że zaczęłaś jaką nowennę i chcesz ją odmawiać w kościele.

— Nie, ciociu, żadnéj nowenny nie odmawiam — rzekła Wincunia niezwyczajnie smutnym głosem i, powstawszy, podeszła do otwartego okna. Było to w sypialnym pokoju; na oknie leżała, po rannych snać jeszcze modlitwach, otwarta książka do nabożeństwa. Wincunia długo na niéj wzrok zatrzymała. Pani Nieméńska chodziła wciąż po pokoju i powtarzała pochwalny monolog na cześć pana Andrzeja.

— Śliczny człowiek! miły człowiek i t. d.

— Cioteczko — ozwała się Wincunia, odrywając oczy od książki — jakiego téż miłego krewnego ma pan Andrzéj Orlicki.

— Któż to taki, koteczko?

— A pan Alexander Snopiński.

— Prawda, prawda, widać to już ich cała familia taka miła i godna.

— Pamięta cioteczka, jak pan Alexander grzecznie podał mi książkę do nabożeństwa, gdym ją pod kościołem z rąk wypuściła?

— A tak, tak, bardzo grzeczny kawaler!

— On bardzo przystojny, cioteczko, nie prawdaż? — rzekła znowu Wincunia ciszéj i po pewnym przestanku.

— Kto taki, moje życie? Pan Orlicki?

— Nie, cioteczko; pan Orlicki tylko bardzo miły i rozumny, ale ja mówię o panu Alexandrze.

— Prawda, prawda, moje dziecko, bardzo przystojny i światowy kawaler!

Mówiąc ostatnie słowa, pani Niemeńska wyszła z pokoju, wywołana przez kogoś z domowych, Wincunia została samą.

Wsparła się na oknie i patrzyła na księżyc, który zwolna płynął po czystém sklepieniu i srebrzystém światłem zalewał dziedziniec. Twarz dziewczyny blada pod promieniami księżyca wydawała się smutną, we wzniesionych jéj oczach błysnęła nawet łza.

Poniosła rękę do czoła i cicho wymówiła:

— Czemu mi smutno?

Spuściła głowę, a łza popłynęła po twarzy.

— Czemu mi smutno? — powtórzyła jeszcze ciszéj.—On mnie tak kocha, tak kocha! poczciwy, dobry!... A ja?...

Splotła ręce żałośnie i dodała:

— Myślę o tamtym!...

Głowa jéj chyliła się nizko, jak pod ciężarem wstydu, rumieniec wstępował na policzki.

Podniosła znowu twarz i spojrzała na księżyc.

— Nie znam go — wyrzekła cichutko — nie mówiłam z nim nigdy, a myślę o nim... To te promienie księżyca przynoszą przede mnie twarz jego... w dzień jestem wesoła... zdaje mi się, żem jeszcze dziecko... a wieczorem... płaczę!

Ostatni wyraz wymówiła ze łkaniem, ukryła twarz w obu dłoniach i cicho szlochała.

IV.

Miłość Bolesława.

Dwaj powracający z Niemenki do Topolina mężczyźni szli ścieżką, udeptaną śród gaju.

Wieczór był bardzo piękny, lubo nieco zimny; ostry wietrzyk poruszał liśćmi drzew, pomiędzy któremi migotały promienie księżycowe.

U dołu słały się szerokie cienie, w górze błyskały gdzie niegdzie gwiazdy, uroczysta cisza panowała w gęstwinach. Ścieżka, którą postępowali dwaj ludzie, cała zalana światłem, wiła się kręto, jak wielki wąż srebrzysty, u stóp leśnych krzewów i młodych brzozek, z osrebrzoną korą i drżącemi od wiatru liśćmi.

— Doskonale udeptana ścieżka! widocznie komunikacya między Niemenką i Topolinem częstą być musi — ozwał się żartobliwie pan Andrzéj.

Zaśmiał się Bolesław.

— Od pięciu lat, zdaje mi się, że nie było dnia,

w którym-bym tam nie był; o ile wiem, nikt, prócz mnie, w tém miejscu przez gaj nie przechodzi, ta ścieżka więc jest zupełnie mojém dziełem.

— Przedstawiam sobie, ile ona musi przypominać myśli i uczuć, z jakiemi przebywałeś ją tyle razy — rzekł pan Andrzéj.

— O! cały świat uczuć i myśli! — odpowiedział Bolesław. — To téż znam tu każdą brzózkę i każdy krzak, każdą niemal kępinę mchu, lub trawy, pamiętam. Są to moi znajomi, z którymi, idąc tędy, dzielę się zawsze radością i nadziejami memi.

— Szczęśliwyś pan, że tylko radością i nadzieją możesz dzielić się z temi niememi świadkami życia twego! — zrobił uwagę pan Andrzéj.

Umilkli obadwaj i resztę krótkiéj swéj drogi przebyli, pogrążeni w zamyśleniu. Śród zamyślenia tego, oczy Bolesława błądziły w górze, między szczytami drzew, zawisały na promieniach księżyca i biegły po ich nici ku niebu; wzrok pana Andrzeja był utkwiony w ziemię.

Jakiś biegły pono fizyognomista uważał, że ludzie młodzi, nie znękani bólami życia, ze zdrojem świeżéj poezyi w sercu, często spoglądają w górę; ci zaś, którzy przebyli znaczną część wędrówki ziemskiéj, w których sercu nie jeden żal zamieszkał, podniosła się nie jedna mogiła, ci, którzy mają czoło zmęczone gorzkiemi myślami i oporem przeciwności, często swe oczy zwracają ku ziemi.

Młodość szuka spojrzeniem niebieskiego światła, które, na podobieństwo jéj, gorące jest i jasne; starość wpatruje się w cień, przypominający mogiłę.

— Pomimo pięknéj pogody, wieczór porządnie jest chłodny — rzekł pan Andrzéj, wchodząc na ganek Topolińskiego dworku i zacierając ręce od zimna.

— Wiatr lekki ale ostry — odpowiedział Bolesław, i wprowadził gościa do bawialnego pokoju. Na stole przed kanapą paliła się lampa, przykryta zieloną zasłoną, a na kominku, umieszczonym w rogu pokoju, płonął żywy ogień z suchych drewek. Stary sługa stał pochylony przed ogniem i poprawiał drzewo, a blask płomienia różową łuną oświecał głowę jego, białym, jak mleko, włosem pokrytą i czoło szeroką szramą ozdobione.

— Poczciwy Krzysztof domyślił się snać, że przyjdziemy zziębnięci i rozniecił dla nas ogień — rzekł pan Andrzéj wesoło.

Krzysztof uśmiechnął się z zadowoleniem, a Bolesław odpowiedział:

— Ogień na kominie należy do najmilszych moich nawyknień. Jak u prawdziwego Litwina, wieczny płomień Znicza goreje w mojéj chacie.

— Krzysztofie — dodał, zwracając się do starego sługi —dla lepszego rozgrzania się naszego, przynieśno nam butelkę tego miodu... co to wiész...

Sługa kiwnął głową na znak zrozumienia i wyszedł.

Po chwili, gospodarz i gość siedzieli niedaleko ognia przed stolikiem, na którym stały kieliszki i butelka ciemnego od starości miodu.

— Opowiadała mi pani Niemeńska o wszystkiém, coś dla niéj uczynił — mówił pan Andrzéj.

Nie gniewaj się za mą otwartość, kochany panie Bolesławie, ale nie mogę wstrzymać się, aby ci nie powiedziéć, że był to prawdziwie obywatelski z twojéj strony postępek.

— Był to bardzo prosty postępek, którego-by dopełnił każdy uczciwy człowiek, będący na mojém miejscu — z prostotą odpowiedział Bolesław.

Widziałem, że pani Niemeńska rady sobie dać nie mogła z gospodarstwem, że jeszcze lat kilka, a niezawodna ruina i nędza spotkały-by ją i jéj synowicę; dopomogłem więc jéj radą i czynném zajęciem się. Zdaje mi się, że nie wielu znalazło-by się ludzi, którzy-by tego samego nie uczynili dla osieroconych kobiet i blizkich sąsiadek.

— Ale i pannę Wincentę podobno sam wyedukowałeś? — rzekł z uśmiechem pan Andrzéj.

Bolesław uśmiechnął się i odpowiedział wesoło:

— O, jeżeli i to można dobrym czynem nazwać, to otrzymałem zań taką nagrodę, że, jeżeli prawa niebieskie zabraniają ludziom odbierania lichwy za monetę poczciwych postępków, będę niezawodnie karany na tamtym świecie, jako lichwiarz. Za to teraz stoję u wrót do raju, — co mówię? jestem już w raju,

a czekam tylko, rychło siódme niebo otworzy się dla mnie.

Zaśmiał się, ale w śmiechu jego zadrżała rzewność, rzewność najgłębsza, bo ze szczęścia, pragnień i nadziei zrodzona.

Pan Andrzéj przypatrywał się przez chwilę swemu towarzyszowi z życzliwém zajęciem, potém rzekł:

— Im więcéj mówię z panem, tém więcéj uważam, jak bardzo i serdecznie kochasz swoję narzeczoną.

— Niezmiernie i bez granic — z uczuciem odpowiedział Bolesław — bo pomyśl pan sobie, że znam ją od dzieciństwa, przywykłem do niéj, jak do promienia, który wlewa w moje życie wesele, wdzięk i poezyą. Mogę w istocie powiedziéć, że po części sam stworzyłem w niéj duszę. Gdy osierociała po ojcu, była dzieckiem ładném, dobrém, pojętném, ale bardzo zaniedbaném.

Natura dała jéj dobroć serca, piękność i tę żywość umysłu, która nieskończonym urokiem bywa w kobiecie nią obdarzonéj; ja obudziłem w niéj myśl, przez codzienne przebywanie z nią, naukę, ciągłe z nią rozmowy, przelałem w nią część samego siebie, pojęcia moje i prawdy, które tkwią w głębi mego własnego ducha. Zewnętrzna i wewnętrzna jéj piękność zarówno wzrastały i rozwijały się pod mém okiem; patrzyłem na nią, jak na cudownie wdzięczny utwór natury, a serce moje radowało się za każdym razem, gdy moje oczy ją ujrzały. I zważ pan tylko, jak dzi-

wnie układają się na tym świecie sprawy ludzkie, jak dziwne są niekiedy drogi Opatrzności.

Wszak ja, rozpościerając męzką opiekę moję nad temi dwiema kobietami, z których jedna była w podeszłych latach, druga dwunastoletniém dzieckiem, żadnych myśli wstecznych, ani egoistycznych celów nie miałem i miéć nie mogłem.

I późniéj długo jeszcze w głowie mojéj nie pojawił się żaden plan osobisty, a serce nie doświadczało innego uczucia, prócz zadowolenia, gdym widział, że praca moja przynosi rzetelne korzyści tym, dla których ją ponosiłem. Kochałem Wincunią, jak młodszą siostrę; lubiłem jéj wdzięk dziecinny, żywość, pojętność; niekiedy nawet, mianowicie wtedy, gdym ją uczył lub napominał, zdawało mi się prawie, że ona jest moją córką. I późniéj dopiéro, nagle, niespodzianie przyszła chwila, która mi ją ukazała inaczéj, niż ją dotąd widziałem, a w sercu mojém posłyszałem głos, który mi mówił: tu szczęście twoje, to jedyna kobieta, którą w życiu swém kochać będziesz! Tak, jedyna, bo przed nią nie kochałem sercem żadnéj kobiety, lubo już mam rok trzydziesty drugi, a o tém, abym miał kiedy w przyszłości, oprócz niéj, inną jeszcze kochać, i pomyśléć niepodobna.

Umilkł, owładnięty silném wzruszeniem, a po chwili mówił daléj, patrząc w płomień, jakby w nim widział odtwarzające się obrazy swoich wspomnień.

— Było to przed rokiem przeszło; Wincunia mia-

ła wtedy rok szesnasty. Do owego czasu obchodziłem się z nią, jak z młodszą siostrą.

Przy powitaniu i pożegnaniu całowałem ją w czoło, a niekiedy i w usta. Zwyczaj ten zaczął istnieć między nami od pory, gdy ona miała lat pięć lub sześć, a ja z ojcem moim odwiedzałem Niemenkę, i trwał już potém ciągle. Dobrze mi było z tą poufałością, bom lubił Wincunią, ale nigdy nie doświadczałem żadnego, by najmniejszego, wzruszenia przy niéj, bo patrzyłem na nią, jak na dziecko i jak dziecko całowałem ją i uczyłem. Pewnego dnia siedziałem z nią w téj saméj altanie, w któréj dziś piliśmy herbatę; ona coś szyła, ja czytałem jéj poezye Mickiewicza. Każdy szczegół téj chwili pozostał głęboko wyryty w méj pamięci, pamiętam więc, że miała na sobie białą suknią, chabrowy wieniec na głowie, a długie kosy jéj, swobodnie spuszczone, spływały na jéj ramiona i plecy. Czytałem jakiś piękny ustęp z Tadeusza i tak mię on pochłonął, że zapomniałem o wszystkiém, co mię otaczało, nawet o towarzyszce mojéj, która mię słuchała.

Machinalnie, odwracając kartę książki, podniosłem oczy i spojrzałem na Wincunią i, dziwna rzecz, nie mogłem już od niéj wzroku oderwać. Siedziała obok mnie, z robotą i rękoma złożonemi na kolanach, z głową podniesioną i oczyma utkwionemi we mnie. Promień słońca ozłacał jéj wieniec i ślizgał się po białéj sukni, oczy jéj miały tak głęboki szafir, jaki

mieć musi niebo włoskie, tak często opiewane przez poetów, a w źrenicach błyszczały dwie ruchome złotawe iskry.

Szybka, błyskawiczna myśl: „jaka ona piękna!“ przeszyła mi mózg, niby rozpalonym drutem, i ścisnęła skronie. Poczucie to było prawie bolesne. Serce uderzyło mi w piersi mocniéj, niż zwykle. Było to jak objawienie jakieś, jak obudzenie się ze snu spokojnego, przez silne magnetyczne wstrząśnienie. Wincunia położyła dłoń na mojéj ręce i widząc, że się w nią niezwykle wpatruję, rzekła: „czytaj-że pan daléj, to takie piękne!“ Przy dotknięciu jéj zadrżałem cały, probowałem czytać i nie mogłem.

Odrzuciłem książkę i wyszedłem z altany, nie rzekłszy do niéj ani słowa. Nie wiem, co wtedy myślała o mnie. Szedłem jak upojony.

Nie myślałem o niczém i nie zdawałem sobie sprawy z mego stanu, instynktowo tylko czułem, że powstaje we mnie coś nowego, że rodzi się we mnie jakaś nieznana mi dotąd potęga uczucia, a wewnętrzne urodziny te poczuwałem dziwném przepełnieniem piersi i tysiącem nagłych błyskawic, które mi mózg przeszywały. Poszedłem do domu, nie pożegnawszy się z nią, ani z jéj ciotką. Sądziły, żem nagle zasłabł i przysłały dowiedzieć się o mojém zdrowiu. Ale posłaniec ich nie znalazł mię w domu, bo cały dzień chodziłem po gaju, polach, łąkach, bez celu, siląc się odzyskać samego siebie, a nie mogąc.

Nazajutrz, przyszedłszy do Niemenki, chciałem powitać Wincunią zwykłym pocałunkiem, ale gdym ją wziął za rękę i spojrzał w jéj oczy, poczułem zawrót głowy, bicie pulsów w skroniach i szybko odwróciłem się od niéj. Zacząłem coś mówić, nie pamiętam już co, ale, mówiąc, myślałem sobie: kocham ją! W istocie, od owéj dopiéro chwili zacząłem ją kochać, jak kochanek.

Czemu od owéj chwili? dotąd zrozumiéć nie mogę, jak bodaj nikt nie rozumié, czém są i zkąd pochodzą te nagłe błyskawice miłości, które niespodzianie i w mgnieniu oka obejmują człowieka wtedy często, gdy najmniéj się ich spodziewa. Czy nastroiła mię ku temu poezya, którą czytałem pod gołém niebem i promieniami gorącego słońca? Czy we mnie samym siły serca wezbrały tak, że musiały już wybuchnąć nagłą dla kobiety miłością?

Nie wiem; dosyć, że od téj pory Wincunia stała się dla mnie czémś świętém, promienistém, przecudnie piękném, czémś takiém, do czego zbliżyć się wszystkiemi siłami istoty mojéj pragnąłem, a nie śmiałem. Od téj pory pokochałem ją tak, że gdybym ją stracił... o! pomyśléć nawet o tém nie mogę, bo na samę tę myśl, w głowie mi się miesza...

— Ależ tego przypuścić nawet nie można — zawołał pan Andrzéj — któraż kobieta, kochana tak, jak ty kochasz, nie pokocha wzajem? któraż nie oce-

ni tak szlachetnego serca, ja twoje? chyba taka, która-by cię nie była warta...

— Tak — odpowiedział Bolesław — pewny jestem, że ona mię kocha, że będzie moją, dziś już jest moją sercem i myślą; a jednak, czy wiész pan? trwoga jakaś przejmuje mię niekiedy. Obawiam się zbytku własnego szczęścia; zdaje mi się, że ono, tak wielkie i zupełne, długo trwać nie może.

— Zasłużyłeś na nie — rzekł pan Andrzéj.

— O! ono będzie nad wszelkie zasługi moje, jeśli nawet mam jakie — odpowiedział Bolesław. — Nie wystawisz pan sobie, w jak czarownych barwach maluje mi się przyszłość. Dobra, myśląca i ukochana kobieta w domu, to błogosławieństwo, poezya każdego dnia, rozkosz każdéj chwili. Wyobraź sobie pan, ile życia, ruchu, wesołości, przybędzie do mojéj ustroni z tą przedziwnie wdzięczną istotą. Dźwięk jéj piosenki, którą ciągle nuci jak skowronek, napełni moje ściany. Wracając od pracy, znajdę ją tu zawsze wesołą, dobrą, piękną, gotową do podzielenia ze mną każdéj chwili, do osłodzenia każdéj troski. Widzisz pan, poetyczne i dziewicze jéj tchnienie już ją tu poprzedza. Ten kwiat w doniczce, tę robótkę kobiecą na stole, ona mi dała; wdzięk niewieści już zaczyna rozlewać się w moim domu i cieszyć moje oko. Przyznaj pan sam: dla mężczyzny z poczciwém sercem i choć trochę wykształconą myślą, praca miła

i użyteczna za domem, a ukochana kobieta w domu, to raj ziemski! nie prawdaż?

Umilkł, oczy jego płonęły. Po chwili mówił daléj:

— Marzenia moje, a raczéj nadzieje, przybierają niekiedy szersze rozmiary i unoszą się po nad osobistość moję. Zdaje mi się, że mężczyzna, choćby był najgorliwszym pracownikiem i najuczciwszym człowiekiem, jeśli nie poniesie w swém życiu ciężarów i nie spełni obowiązków ojca rodziny, to nie dokona jeszcze całkiem zadania obywatela kraju. Nie dość jest działać wedle sił i możności samemu, trzeba jeszcze i innych działania nauczyć. A w kogoż łatwiéj człowiek przeleje prawdy, jakie sam w duszy swéj nosi, jeśli nie w dzieci swe? Komuż zostawi on w spuściźnie zacność swą, honor, miłość kraju i pracy dla niego, jeśli nie synom swoim? Sfera, w któréj ja działam, maluczką jest, ale, chociażby to drobne zadanie, jakie sam spełniam na ziemi, chciał-bym komuś po sobie zostawić. Praca robaków nie dostrzegalna jest i powolna, a jednak podkopuje lub wznosi góry. Synowie moi zresztą możeby innemi, szerszemi poszli drogami; ale zawsze tak-bym potrafił ich wychować, że w każdym zawodzie byli-by poczciwymi ludźmi i użytecznymi obywatelami kraju. Oto są marzenia moje o ojcowstwie, a do nich łączy się i panuje nad niemi zawsze też sama postać kobiety, która dla mnie nietylko ma być wdziękiem i rozkoszą życia,

ale ma mi dać jeszcze ten cel najwyższy exystencyi, tę nieskończoną nadzieję przelania mojéj duszy w inne dusze, pozostawienia po sobie kogoś, kto będzie myślał, czuł i działał, nie już tak, jak ja to czynię, ale, jak-bym czynić pragnął.

Przestał mówić, a pan Andrzéj długo patrzył na niego i w oczach jego kręciła się łza.

— Przyjacielu mój zacny, bo pozwól, że cię tak nazwę — ozwał się po chwili— dziękuję ci za tę wielką radość, jaką mi sprawiasz, pozwalając mi patrzéć w głąb' twéj duszy. Jam dawno już rozstał się z osobistemi troskami i pociechami. Dobro ogólne—to teraz radość moja, nieszczęścia ogólne—to moje boleści. Nie dziw więc, że, gdy patrzę na umysły słabe, serca zepsute, zdolności zmarnowane, płaczę wewnętrznemi łzami, i nie dziw téż, że, gdy widzę zacność, prawość, pracę wytrwałą, radość mię ogarnia, a z przed oczu moich, zmęczonych patrzeniem na mnóztwo nieszczęść, usuwa się zasłona, ukrywająca przyszłość, i w dali widzę słońce lepszéj doli, które ci pracownicy, ci szlachetni i wytrwali, i ci tylko sami jedni sprowadzić mogą na niebo nasze. Dla tego-to, choć znam cię od dzisiejszego dopiéro poranku, ale zajrzałem już głęboko w twą duszę, kocham cię i w moc siwych włosów moich błogosławię ci! Pozwól, niech cię uściskam!—

Powstali oba i uścisnęli się serdecznie. Śród uścisku tego, pan Andrzéj powtórzył kilka razy z cicha a gorąco:

— Takich nam trzeba! takich nam trzeba!

— A teraz — zawołał — wypijmy zdrowie twojéj ślicznéj narzeczonéj!

Podnieśli kieliszki.

— Panie łaskawy — zawołał wesoło Bolesław — ponieważ zyskałem łaskę u ciebie, przyrzecz mi, o co cię będę prosił!

— Co? mów — pytał pan Andrzéj.

— Przyjedź na moje wesele!

— Choćby z końca świata! — odparł rozweselony gość i znowu się uścisnęli.

V.

Lew parafialny.

O milę od Niemenki i Topolina, o dziesięć wiorst od Adampola, było miasteczko X., często odwiedzane przez okolicznych mieszkańców, z powodu parafialnego kościoła i cotygodniowych targów, i sławne tak zwaną oberżą, nad której wrotami jaśniał, na brudno-żółtéj tablicy, brudno-błękitnemi nakreślony literami, napis: *„Herbata, kawa, billard i różne inne tym podobne trunki"*.

Kościół parafialny, dość duży, murowany, z obszernym cmentarzem, ogrodzonym ładnemi sztachetami, stał na niewielkiém wzgórzu, a z za niego ukazywała się w cieniu drzew owocowych plebania, z małym, czystym domkiem, zieloném podwórkiem i zgrabném otoczeniem z żywopłotu.

Oberża, w której znajdował się *billard i różne temu podobne trunki*, obszerna, dwupiętrowa, z szerokim podjazdem, wspartym na murowanych słupach,

stała w samym środku miasteczka, na placu, otoczonym nizkiemi domkami, w których mieszkali rzemieślnicy, po większéj części żydzi, żyło kilka ubogich dewotek i mieściło się kilkanaście małych sklepików z mydłem, świecami, skórami i tasiemkami i tym podobnemi drobiazgami.

W plebanii mieszkał proboszcz, niemłody i zacny człowiek, powszechnie poważany dla swéj oświaty i kapłańskiéj cnoty.

Właścicielem oberży był Szloma, żyd rudy, brodaty i pejsaty, sławny w okolicy z zaprowadzenia u siebie bilardu, który dotąd rzadko tam był widywany i chyba tylko w bogatych obywatelskich domach, a obok niego żyła Sara, roztropna i gadatliwa żydówka. Zresztą oboje Szlomowie mieli w sąsiedztwie dobrą opinią, a oprócz tego, każde z nich posiadało w sercu swém źródło, z którego czerpało dla siebie niepospolitą chlubę: Szloma dumny był tém, że piérwszy zaprowadził w swéj karczmie herbatę, kawę i bilard i, jako człowiek inicyatywy, z góry spoglądał na zacofanych kolegów karczmarzy, którzy dotąd gości swoich przyjmować mogli tylko wódką i obwarzankami. Szlomowa zaś chlubiła się, że rodem jest z Wilna, a zatém urodziła się i wychowała na wielkim świecie, nie tak, jak jéj znajome żydówki, które nic więcéj nie widziały nad mieścinę X., albo wioskę, gdzie ich mężowie gorzałkę szynkują.

Pewnéj pogodnéj kwietniowéj niedzieli, w mia-

steczku wielki ruch panował, jak zresztą było tam każdéj prawie niedzieli. Chłopi, szlachta i panowie schodzili się i zjeżdżali na nabożeństwo.

O godzinie dziesiątéj zrana, a zatém na dobrą godzinę przed rozpoczęciem się nabożeństwa, gromady ludu zebrały się przed kościołem. U wrót plebanii stało także parę szlacheckich dwukonnych bryczek; snać właściciele ich, przybywszy wcześnie, poszli odwiedzić przede mszą proboszcza, a może dać mu na jakie exekwie żałobne, albo na odśpiewanie litanii dla ubłagania u Boga urodzajów.

Ale i przed oberżą stało niemało koni, wozów i bryczek, a we wnętrzu jéj gwar był nielada. W piérwszéj szynkowéj izbie siedziało na ławach kilkunastu chłopów i dwoje dzieci.

Szlomy chłopak i dziewczyna, rozczochrane wyrostki, częstowali ich gorzałką. Z izby téj było wejście na wschody, prowadzące na piérwsze piętro, *alias* na facyatkę drewnianą, dobudowaną przez Szlomę u wierzchu murowanéj karczmy, w celu pomieszczenia owego sławnego bilardu.

Facyatka zawierała jednę obszerną izbę, ochrzczoną przez dumnego ze swéj inicyatywy Szlomę nazwiskiem *sali*. Publiczność, korzystająca z improwizacyi, przez wdzięczność dla nowatora, przyjęła to nazwanie i mówiło się zwyczajnie: być na sali, grać w bilard na sali, widzieć się z kim na sali i t. p.

W sali były trzy okna, wychodzące na rynek, po-

dłoga z nierównych desek sklecona i na czerwono pomalowana, ściany niegdyś wybielone, ale już popielate od kurzu i palonych tam cygar.

Po środku stał bilard, w czasie nieużywania go powleczony grubém szarém płótnem; u okien wisiały firanki podobnéj białości, jak ściany, a tylko ozdobione festonami z pajęczyny; na oknach stały powyszczerbiane doniczki, z nawpół uschłém gieranium i kaktusami. Wkoło ścian były rzędy kijów bilardowych, kilkanaście krzeseł, spłowiałym perkalem obitych, kanapa czerwono malowana z podartém obiciem, z którego dziur wyłaziła i kłuła siadających szorstka pilśń, i parę stolików, mogących służyć tak do gry kartowéj, jak i do picia kawy, herbaty i *tym podobnych trunków*.

Taką była sala.

Szloma był z niéj dumny, i nietylko Szloma, ale i inni miejscowi żydzi. Przechodząc koło oberży, podnosili głowę do góry, patrzyli na okna facyatki i, wskazując je palcami, mówili między sobą:

— Siehst du? firanki!

W owę kwietniową niedzielę, o godzinie dziesiątéj zrana, na sali znajdowało się kilku młodych ludzi. Dwóch z nich siedziało pod oknem i piło herbatę. Nie wyjechali oni zapewne z domów swych przed śniadaniem, ale picie herbaty u Szlomy było uważane przez uczęszczających na salę za oznakę dobrego tonu, herbata zaś z arakiem oznaczała ton najlepszy.

Dwóch czy trzech innych, pobrawszy się pod ręce, chodziło wkoło bilardu, rozmawiając i śmiejąc się głośno, w czém i pijący herbatę dopomagali im gorliwie, tém łatwiéj, że pili bardzo powoli, wyraźnie dusząc się napojem, który, mówiąc w nawiasie, obrzydliwy bywał na sali.

Wszyscy ci młodzi ludzie wyglądali pół ze szlachecka, pół z pańska. Tużurki ich i paletoty z cienkiego sukna były to zadługie, to za krótkie, wyraźnie robione przez miasteczkowego krawca, żyda Lejbę, o siwych pejsach i czerwonym nosie. Olbrzymie kokardy krawatów pstrzyły się różnemi barwami, a ręce grube, muskularne, opalone, kłóciły się z glansowanemi rękawiczkami różnych kolorów, rzuconemi na bilard lub wyglądającemi z kieszeni.

Nagle na nierównym bruku, który Szloma ku większéj swéj sławie kazał urządzić pod oberżą, zaturkotały koła szybko nadjeżdżającéj najtyczanki i cała młodzież rzuciła się do okien.

— Snopiński przyjechał! — zawołali wszyscy.

Drzwi otworzyły się z wielkim łoskotem i wpadł przez nie Alexander w eleganckiém ubraniu z orzechowego sukna, w zgrabnéj czapeczce, ciemno-zielonych rękawiczkach i z laseczką o pozłacanéj gałce w ręku.

— Jak się masz, Olesiu! cóż tak późno, Olesiu! — wołali poufalsi.

— Jak się ma pan Alexander! czekamy pana! — mówili mniéj widać znajomi.

Alexander rzucił laseczkę na krzesło i zawołał do żydka wyrostka, który się za nim w drzwiach ukazał:

— Herbaty, Mowsza!

Żydek poskoczył, a Alexander zawołał jeszcze za nim:

— Herbaty z arakiem! tylko żeby był *fein* Jamajka, rozumiész?

Potém zaczął witać się z towarzyszami, którzy wszyscy tak energicznie ściskali mu rękę, że aż na niéj pękła zielona rękawiczka, i tak serdecznie ściskali go i całowali, że mu z głowy spadła czapka, któréj był, wchodząc, nie zdjął.

— A! — zawołał, rzucając się na kanapę — ledwie zdołałem dziś wyrwać się z domu! Przyjechał do nas jakiś pan z Kowieńskiego, krewny nasz, bogaty człowiek, ale dyable nudny, bo uczony, i papa chciał, żebym dziś jechał z nim do kościoła na jednéj bryczce. Ale nie głupim! wykręciłem się, a to naprzód dla tego, że nie mógł-bym już być na sali przed nabożeństwem, a potém, że szanowny kuzyn prawił-by mi przez całą drogę morały.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się młodzież — a jakież to on tobie prawi morały?

— No, naturalnie, że nie mówi wyraźnie do mnie — odpowiedział Alexander, zapalając papierosa

w pół leżącéj postawie; — już chwała Bogu nie jestem dziecko, ani żaden student. Ale tak niby ubocznie ciągle mi rozpowiada o swoich synach, jak to oni uniwersytety pokończyli, jak to oni pracują, jak to każdy młody człowiek pracować powinien ku pożytkowi ludzkości i chwale Pana Boga i t. p. i t. d. A ja słucham tego wszystkiego i niby nie rozumiem, że on do mnie pije. Każdy przecież ma swoje zdanie; on swoje a ja swoje!

— A naturalnie! — potwierdziło kilka głosów.

— Siankowski! — zawołał Alexander, nagle zrywając się z kanapy — widziałem twoje konie przed oberżą! śliczne, słowo daję, kasztanki! Zkąd je wziąłeś? a gdzieżeś podział swoje siwki? Pewno uciąłeś handelek i porządnie okpiłeś kogoś, bo miały początki nosacizny. No, przyznaj się! prawda?

— Jak Boga kocham, za mój miły gotowiusieńki grosz kupiłem kasztanki! — tłómaczył się śród ogólnego śmiechu, wzbudzonego słowami Alexandra, barczysty i ogorzały młody człowiek, z głosem niepospolicie grubym i w tużurku niepospolicie długim.

— No, a ileś za nie zapłacił?

— Co zapłaciłem, to zapłaciłem; nie powiem!

— Kłamie, słowo daję, kłamie! — zawołał Alexander. — Już ja jego znam. On na każdy jarmark prowadzi konie i zawsze wsadzi komu nosate, kulawe albo ślepe, a w zamian weźmie dobre. To samo zrobił i z siwemi!

Wszyscy śmieli się, Siankowski się obraził.

— Spytajcie się mego ojca, jeżeli za kasztanki nie zapłaciłem gotowemi pieniędzmi — rzekł z nadąsem.

— „Masz cyganie świadki? mam żonę i dziatki!" — drażniącym głosem wymówił ktoś z towarzystwa. I znowu był śmiech ogólny.

— Ale wiecie co? że niéma lepszych koników w okolicy, jak u Topolskiego — odezwał się ktoś z boku — widziałem je wczoraj w bryczce, myszate, bystre a zgrabnę, jakby cacka!

— U jakiego to Topolskiego?—spytał ktoś, z dalszych stron przybyły.

— A u tego z Topolina.

— Aha! u tego, co to zaręczony z panną Niemeńską.

— Dyable szczęśliwy z niego człowiek, słowo daję! — zawołał Alexander; — najładniejsze ma konie z okolicy, i zaręczony z najładniejszą panną! Słuchaj, Kotowicz! —dodał, zwracając się do wysmukłego młodzieńca w obcisłym paletocie — ty w niéj kochałeś się? prawda? i dostałeś odkosza? co?

— Gdzie tam — protestował Kotowicz — za wysokie progi na moje nogi. Ja sobie tylko komisarz, choć wprawdzie na wielkim majątku, ale ona ma swój własny folwark. Zresztą już i zaręczona z Topolskim od roku.

— Głupstwo! — rzekł Alexander — zaręczyny pajęczyny.

— Ale jabym tam niczyjéj narzeczonéj nie chciał — odpowiedział Kotowicz; — panna Wincenta podobała mi się, co prawda, ale jak dowiedziałem się, że zaręczona, to i dałem pokój. Broń mię Boże, abym miał komu narzeczoną odbijać.

— A jabym odbił, gdyby się mi spodobała — rzekł Alexander; — co to ma jedno do drugiego? A znasz przysłowie: koń zatargowany, panna zaręczona...

— Zawsze to jednak nie godzi się... — przerwał mężczyzna otyły, łysy i zająkliwy.

— Ej! tobie, Rybiński, hreczkę siać i pacierze mówić, a nie o takich rzeczach sąd wydawać — odpowiedział Alexander, a wszyscy głośno zaśmieli się.

— Niech sobie będzie i tak, lepiéj pacierze odmawiać i hreczkę siać, niż bąki zbijać po świecie — odciął się Rybiński, a Alexander zmieszał się trochę i odwrócił od niego.

— Słuchaj, Olesiu, ty w czepku się rodziłeś — rzekł ktoś z towarzystwa — wszak panna Wincenta, choć zaręczona, bardzo mile na ciebie spogląda!

— At! zkądże wiecie o tém! — rzekł Alexander, poprawiając krawat.

— Oho! szydła w worku nie utaisz! alboż to nie

widać było, jak spojrzała na ciebie któréjś niedzieli, kiedy to jéj książkę pod kościołem podałeś!

— Czy doprawdy? spojrzała? — pytał Alexander, muskając wąsiki.

— O! nibyś sam nie widział! niewiniątko! — zawołał Siankowski.

— Słowo daję, nie widziałem — rzekł Alexander, gładząc ciągle wąsik.

— A pani Karliczowa? czy i o téj nic nie wiész? — żartobliwie zapytał ktoś inny.

— No pani Karliczowa, to co innego! — odpowiedział młodzieniec, śmiejąc się znacząco.

— Bodaj to być takim ładnym chłopcem! — zawołał barczysty i ogorzały Siankowski. — Ech, jak Boga kocham, czemu to ja nie mam takiéj czupryny i takich kobiecych rąk, jak on!

— Głupstwa gadacie i po wszystkiém — rzekł Snopiński z widoczném zadowoleniem; — ot, pójdźmy lepiéj do kościoła!

— Jeszcze nie dzwonili! — odpowiedział ktoś inny.

— To co? popatrzym, jak damy będą zajeżdżać przed kościoł.

Wszyscy młodzieńcy, z Alexandrem na czele, wyszli z oberży, przeszli przez rynek, rozmawiając i śmiejąc się głośno, ścigani oczyma zachwyconych nimi chłopów i żydów, stanęli rzędem przed sztachetami, otaczającemi kościoł. Alexander umieścił się tuż przy

wnijściu na cmentarz, wywijał laseczką, rozprawiał z towarzyszami i rzucał spojrzenia i żarciki między grona wiejskich dziewcząt i młodyc, które siedziały nieopodal na ziemi i wszystkie prawie ukradkiem na niego zerkały.

— Niech cię dyabli, Olesiu! jaki masz ładny paletot! — zawołał jeden z młodzieży. — Kto ci go robił? pewno nie Lejba?

— Sprowadziłem go z Warszawy — odpowiedział Snopiński, muskając wąsik — i czapkę tę także.

I zdjąwszy z głowy czapeczkę, w któréj wnętrzu był w istocie stempel jednéj z fabryk Warszawskich, pokazał ją obok stojącemu towarzyszowi. Czapka poszła w kurs i wszyscy się nią zachwycali.

— Patrzcie go, tego Olesia! — wołał Siankowski — ubiera się w Warszawskie stroje! Ależ to musi tęgo kosztować. Jakto papunio tyle pieniędzy tobie daje?

— Mam swoje — odpowiedział Alexander, wkładając z szykiem zwróconą mu czapeczkę.

— Masz pan swoje? — wyjąkał łysy Rybiński — a zdaje się, że i czasu jeszcze nie miałeś zapracować na własne pieniądze!

Alexander z góry na niego spojrzał i uśmiechnął się ironicznie.

— Mój panie Rybiński — wyrzekł — tylko hołysze, nie pracując, nie mają pieniędzy, a ja do takich, dzięki Bogu, nie należę. Ojciec mój trzyma dzierżawę,

ot tak sobie, dla zabawki i z przyzwyczajenia, ale, gdyby chciał, mógłby mieć własny majątek.

— A słyszałem, że twój ojciec chce dla ciebie majątek kupić — ozwał się Siankowski.

— A tak — odpowiedział niedbale Alexander — ale ja nie chcę osiadać w tych stronach, bo tu żadnego porządnego majątku niéma do kupienia; same drobiazgi!

— Owszem — zarzucił Kotowicz — słyszałem, że Pszeniczna hrabiny jest do sprzedania. To śliczny majątek: trzydzieści chat, sto dwadzieścia morgów ziemi w każdéj zmianie, i kawał pięknego sosnowego lasu.

— Co to znaczy? — rzekł Alexander — jabym chciał coś kompletnie porządnego, z ośmdziesiąt chat przynajmniéj, a nadewszystko, żeby dwór był piękny.

— Ależ to gmachu pieniędzy potrzeba, żeby kupić taki majątek! — zawołało kilka głosów.

— A cóż z niemi lepszego zrobić, kiedy są? — z pełnym wyższości uśmiechem rzekł Alexander. — Już jeżeli gospodarować, to na czémś dobrém; na małém to dla mnie nie warto!

— Patrzcie go, jaki wielki pan! — szepnął Kotowicz do Rybińskiego.

— A tak — odszepnął Rybiński; — tatko, jak był w jego wieku, chodził w siermiędze i podartych butach, i zaczynał od dzierżawek na pięciu chatach,

a synalek dowodzi, że na małém gospodarzyć nie warto!

— Ciekawym téż, czy jego ojciec w istocie taki bogaty?

— Czyż nie znasz bogactwa dzierżawcy? Jak ma porządne inwentarze i kilka tysięcy rubli gotówki, to i chwała Bogu. Ale zobaczysz, jak to synek pięknie i prędko z dymem puści!

— Spodziewam się! paletoty z Warszawy!

— I czapeczki!

— A i jeździł panicz do Warszawy przeszłego lata; pewnie tam porządną sumkę na bruku zostawił.

— A jakże! ale przywiózł kilka tuzinów rękawiczek, które nam pokazywał, i cukierków dla pani Karliczowéj.

— Żal się Boże! ja nie wiem, jak to pani Karliczowéj nie wstyd takiego, za pozwoleniem, błazna bałamucić! Toć to bogata obywatelka i nie piérwszéj młodości!

— Zachciałeś! ładny chłopiec!

Gdy tak dwaj szlachcice szeptali między sobą, z ukosa spoglądając na dandysującego się pod sztachetami Alexandra, ktoś zawołał:

— Siankowscy jadą!

Na placu ukazał się staroświecki kocz poczwórny, a w nim siedziała familia Siankowskich, dzierżawiąca także jeden z majątków hrabiny L., i złożona z matki, dwóch córek i ogorzałego ojca.

Gdy powóz zatrzymał się przed wrotami cmentarza, Alexander poskoczył, otworzył portyerę, a zdejmując czapeczkę i kłaniając się elegancko, pomagał wysiadać paniom. Pocałował matkę w rękę, uścisnął rączki panienek, pytał o zdrowie, wołał, że piękna pogoda, i cały w ukłonach i komplementach, odprowadził damy do połowy cmentarza, potém wrócił na swoje stanowisko. Wysokie, świeże i nieszpetne panny Siankowskie uśmiechały się doń bardzo mile, a gdy odszedł, jedna z nich obejrzała się za nim parę razy.

Po przybyciu Siankowskich cała już parafia ruszyła pod kościoł. Podjeżdżały różne bryczki, najtyczanki, kocze i karykle, a z nich wysiadali mężczyźni i kobiety różnych strojów i powierzchowności. Alexander otwierał portyery paniom przyjeżdżającym powozami, kłaniał się tym, które przyjeżdżały w najtyczankach, a na przybywające prostemi bryczkami zaledwie patrzył, chyba wtedy, gdy która z nich była młoda i ładna, zerkał na nią ogniście, a gdy przeszła, odwracał się do stojących obok towarzyszy i mówił półgłosem:

— Nieszpetna szlachcianeczka!

Ostatnia ze wszystkich powozów, ukazała się na placu ładna, podwójna karetka, w sześć karych koni zaprzężona, ze służbą w liberyi.

— Pani Karliczowa! — ozwało się kilka głosów, i wszystkie oczy zwróciły się na Alexandra.

Po ustach młodzieńca przebiegał drwiąco-zadowolony uśmieszek.

Z pięknéj karetki wysiadła kobieta przeszło lat trzydziestu, ale jeszcze bardzo ładna. Miała ona włosy najwyższéj czarności, oczy czarne, ogniste, płeć śniadą i niezmiernie długą suknią; na twarzy miała przezroczystą koronkową zasłonę, a na ręku różaniec z agatowych paciorków, z cennym złotym krzyżem. Cała jéj powierzchowność oznajmiała kobietę światową i z wysokiéj sfery, ale zarazem ognistą, wrażliwą, kapryśną i goniącą ostatkiem młodości, która świetną a burzliwą być musiała. Wysiadając, rzuciła szybkie spojrzenie na Alexandra, który wraz z liberyowanym lokajem otwierał portyerę, podała mu rękę i zamienili z sobą kilka słów półgłosem. W końcu pani Karliczowa uśmiechnęła się raz jeszcze, orzuciła piękną twarz młodzieńca ognistém spojrzeniem i weszła na cmentarz. Alexander stanął znowu u furtki, ale zamyślił się nieco, od chwili do chwili uśmiechał się do siebie, jakby go jakieś miłe lub zabawne myśli zajmowały.

— No, pójdźmyż do kościoła; już wszystkie damy przyjechały — ozwał się Siankowski.

— Nie wszystkie jeszcze! — zarzucił Alexander.

— On jeszcze na kogoś czeka! — zawołał głos jakiś.

— Ja wiem na kogo — odrzekł ktoś inny.

— Na kogoż?

— Na pannę Niemeńską.

— Czy prawda, Olesiu? — spytało kilka głosów.

— Prawda — odpowiedział krótko Alexander.

— A cóżby na to pani Karliczowa powiedziała?— z przekąsem spytał Kotowicz.

— At, — niedbale odpowiedział Alexander — co to za porównanie! Ta Wincunia Niemeńska śliczna jak jagódka, świeża, młodziuchna. A pani Karliczowa, no, zapewne, to bardzo miła dama, ale z nią to można tylko tak... pour passer le temps.

— Patrzcie! i po francuzku gada! — szepnął Rybiński do Kotowicza.

— A pannę Wincentę to niby mógłbyś na seryo pokochać, ty bałamucie jakiś! — zawołał Siankowski.

— Do szaleństwa! — zawołał Alexander. — Ja już i tak w niéj zakochany po uszy, choć jeszcze trzech słów z nią nie mówiłem! nie wierzycie? Słowo daję, że prawda!

— Czekaj-że — zawołał Siankowski — powiemże to ja siostrze mojéj, Józi!

— A gadaj, jeśli chcesz! już mię teraz nikt nie obchodzi, tylko jedna *ona!*

— Kto?

— Wincunia Niemeńska.

Chóralny śmiech zabrzmiał.

— Zapominasz, Olutku, że ona ma narzeczonego— zawołał ktoś z młodzieży.

— Prędzéj zjé dyabła, a nie ją weźmie za żonę ten szlachciura!—z nadąsaniem odpowiedział Olutek.

— Biednyż on! — zawołał ktoś żartobliwie — już jak ty zaweźmiesz się, Olesiu, to podstawisz jemu stołeczka!

Znowu nastąpił wybuch ogólnego śmiechu. W téj saméj chwili z kilku ust wyrwał się okrzyk:

— Otóż i ona!

Zgrabną parokonną bryczką podjechała pod kościoł pani Niemeńska z synowicą. Tuż za niemi zaturkotała takaż sama bryczka, i Bolesław Topolski, wyskoczywszy z niéj pośpiesznie, pomagał wysiadać narzeczonéj i jéj ciotce.

Wincunia znowu miała na sobie różową sukienkę, tylko już nie perkalową, ale strojniejszą, bo muślinową. Był to snać ulubiony jéj kolor.

Słomkowy okrągły kapelusik, opasany różową wstążką, uzupełniał to proste, niemal dziecinne, ubranie. Pani Niemeńska poszła na przód, a Wincunia postępowała za nią obok narzeczonego, którego twarz jaśniała zwykłą mu pogodą.

Wincunia miała oczy spuszczone, zdawała się wpatrywać w trawę, którą deptały jéj drobne nóżki, zgrabnie wysuwające się z pod sukienki. Gdy znalazła się blizko furtki cmentarza, podniosła nagle wzrok i spotkała się z utkwioném w siebie spojrzeniem Alexandra. Żywy rumieniec oblał jéj twarz, a Alexander zgrabnym ruchem zdjął czapeczkę

i pozdrowił ją najpiękniejszym swoim uśmiechem i ukłonem.

Wincunia skłoniła lekko głowę i postąpiła ku kościołowi śpiesznym krokiem. Bolesław przemówił coś do niéj, nie usłyszała. Zdawała się bardzo zmieszaną.

Uderzono w dzwony kościelne i po chwili cisza zupełna zaległa plac i cmentarz, tylko z wnętrza świątyni wypływały poważne akordy organów, albo wybuchał z niéj chór mnóztwa głosów, śpiewających pieśni nabożne.

Po nabożeństwie, pobożni wyroili się znowu przed kościoł. Potworzyły się na cmentarzu różne grupy. Ludzie poważani, zamożni właściciele i dzierżawcy, otoczyli wychodzącego z zakrystyi proboszcza i rozprawiali z nim o gospodarstwie, urodzajach, wiadomościach gazetowych i t. d.

Niemłode kobiety podchodziły téż do siebie z wzajemnemi powitaniami; między niemi była pani Niemeńska, a obok niéj stała Wincunia. Nie przyłączyła się ona do gromadki panien, wkoło których na wyścigi zalecała się młodzież, ale milcząca stanęła obok ciotki i trzymała wciąż wzrok spuszczony, jakby lękała się spojrzéć na coś, co się jéj ciągle nasuwało przed oczy.

To coś było w postaci pięknego młodzieńca, który nazywał się Alexander Snopiński. Przeciw swemu zwyczajowi, nie złączył się on z młodzieżą, stro-

jącą konkury do kilku panien, błyszczących zdala mnóztwem kwiatów i wstęg na kapeluszach, i nie królował w téj grupie, jak to bywało zawsze, pięknością twarzy, elegancyą układu i śmiałością słów i spojrzenia; ale jakiś zamyślony, nie swój, krążył wkoło grona niemłodych pań, między których ciemnemi szatami jaśniała różowa sukienka. Obok niego przeszedł raz Bolesław Topolski. Alexander widocznie chciał z nim rozpocząć rozmowę, bo podniósł rękę do czapeczki i otworzył usta; ale Bolesław, zajęty żywą rozmową z panem Andrzejem, który szedł obok niego, nie spostrzegł intencyi młodzieńca i, oddawszy mu tylko ukłon z daleka, przyłączył się do towarzystwa poważnych ludzi, otaczających proboszcza.

Alexander z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

— Któż mnie jéj przedstawi? — szepnął do siebie. — Nie mogę przecie ni z tego ni z owego zagadać do niéj.

I znowu zaczął krążyć około grupy kobiet, między któremi była różowa sukienka, idąc zwolna, niby w zamyśleniu, albo zatrzymując się i grzebiąc laseczką w trawie.

— Ha! — rzekł w końcu — cóż robić? trzeba samemu zaprezentować się!

Postąpił kilka kroków i nieco się zawahał, ale nieśmiałość nie stanowiła głównéj cechy jego charakteru, gdyż po chwili podniósł rezolutnie głowę, poprawił czapeczki i stanął naprzeciw pani Niemeńskiéj,

która właśnie przestała na chwilę rozmawiać z sąsiadkami. Ukłonił się zgrabnie i wyrzekł z uprzejmym uśmiechem, który pięknie ozdobił jego rozpromienioną twarz:

— Oddawna pragnę dostąpić zaszczytu zostania pani znajomym, ale ponieważ niéma nikogo, ktoby mnie przedstawił, przebaczy pani, że, jako wieśniak, odrzuciwszy na bok wszelkie ceremonie, sam to uczynię. Alexander Snopiński — dodał z głębszym jeszcze ukłonem.

— A na co te ceremonie z nami, łaskawy panie dobrodzieju? wszak i my wieśniaczki! — zawołała pani Niemeńska, z zadowoleniem przypatrując się przez okulary pięknemu młodzieńcowi. — Bardzo, bardzo mi miło poznać pana! żałuję tylko, że tak późno... Ale pozwól pan,—dodała zwracając się do synowicy— Wincuniu, pan Alexander Snopiński jest tak grzeczny, że chce zaznajomić się z nami.

Wincunia skłoniła się, podniosła wzrok na twarz młodzieńca, i oczy jéj spotkały się znowu ze spojrzeniem Alexandra, które błyszczało nietajoném uwielbieniem. Patrzyli na siebie parę sekund i oboje nagle wzrok spuścili; ale tym razem Wincunia, zamiast zarumienić się, zbladła trochę, a po czole młodzieńca przemknął lekki rumieniec.

Niewidzialne i niepojęte dla ogółu, ale pełne znaczenia dla spostrzegaczy, są owe zewnętrzne znaki, które ognistemi zgłoskami wypisują na licach ludz-

kich tajemniczą serc ich mowę. Z nich, jak z przejrzystą krepą pokrytych alfabetycznych liter, wyczytać można wnętrze człowieka: co w nim jest, a nawet co będzie.

Jeżeli w rozmowie dwojga ludzi młodych rumieniec krasi lice dziewczyny, rzecz to powszednia. Ale jeżeli pod spojrzeniem mężczyzny twarz jéj obleka się nagłą bladością, znak to wrażliwéj natury i zapowiedź potężnego, które w pierś jéj wstępować zaczyna, nagłego uczucia. Dziewczę rumieni się co chwila niekiedy, bez wyraźnego powodu, jak pączek róży, który, rozkwitając, ponsowieje z natury swojéj. Lecz jeżeli zblednie nagle świeże i żarem życia nie dotknięte lice, znać, że w pierś przenika głęboko i do duszy się wdziera wzruszenie silne, które tam stopniowo zmieni się w płomień namiętności.

Wincunia zbladła pod tryskającém iskrami spojrzeniem Alexandra.

— Pora nam wracać do domu — rzekła pani Niemeńska, po zamienieniu kilku jeszcze grzecznych słów z młodym Snopińskim, a zwracając się raz jeszcze do niego, dodała:

— Spodziewam się, że pan nas odwiedzisz. Bardzo prosimy! bardzo prosimy!

— Jest to oddawna najmilszém mojém marzeniem — odpowiedział Alexander i pomógł paniom wsiadać do bryczki.

Bryczka była już daleko, a młodzieniec stał ciągle na jedném miejscu i w zamyśleniu grzebał laseczką w trawie.

— Cóż tak rozmyślasz? — ozwał się za nim gruby głos młodego Siankowskiego — pójdź-no na salę, pogramy w bilard.

Alexander jakby się ze snu ocknął.

— Nie pójdę — odrzekł krótko.

— Dla czego? — spytał Siankowski.

— Pojadę do domu.

— Czy ci tak zasmakowały morały twojego krewnego, że się tak śpieszysz do domu?—zaśmiał się półgłosem Siankowski.

— Bredzisz, Franusiu! — odparł z niechęcią Alexander — wracam do domu, bo mam na dziś świetne projekta.

— Jakież to?

— Nie powiem.

W téj chwili do rozmawiających zbliżył się pan Jerzy Snopiński.

— Cóż, Olesiu, zostajesz pewno?— zapytał syna.

— Nie, papo, jadę do domu.

— Fenomen! — zawołał pan Jerzy; — toć każdéj niedzieli zostajesz w X. do późnéj nocy! Cóż to się stało?

— Mam na dziś inne projekta.

— I na salę nie pójdziesz? — spytał niedowierzająco ojciec.

— Nie pójdę, papo.

— Węglem na kominie zapisać! — rzekł pan Jerzy — no, ale kiedy tak, to jedźmy już, bo dyabelniem głodny.

Po chwili plac pod kościołem był prawie pusty, tylko, krzycząc i szwargocąc, biegało po nim kilkoro obdartych żydowskich dzieci, z dala dochodził turkot odjeżdżających szlacheckich bryczek, a z oberży Szlomy wybuchał gwar pijących włościan i dawały się słyszéć uderzenia kul bilardowych na facyatce.

VI.

Niewczesne żale.

W bawialnym pokoju Adampolskiego domu, pan Andrzéj siedział obok pani Snopińskiéj i opowiadał jéj o wycieczce do puszcz Białowiezkich, którą odbyć zamierzał, a Alexander chodził po pokoju, uśmiechał się i, przeciwko swemu zwyczajowi, nie odzywał się ani słowa, tak był zatopiony w myślach.

Po chwili wszedł do pokoju pan Jerzy; oczy jego były mocno zafrasowane, spojrzał na syna i rzekł porywczo:

— Olesiu, widziałem, że twoje konie zakładają pod stajnią; gdzież to znowu pojedziesz? Czy nie do X. na salę! trzeba było od razu tam zostać, przynajmniéj-byś koni darmo nie pędził!

— Nie pojadę do X. papo — odpowiedział Alexander z uśmiechem.

— Więc dokąd polecisz?

— Nie mogę powiedziéć, papo.

— Cóż to znowu za sekret? Jeszczeć tego przynajmniéj nie było dotąd, abyś pod sekretem przed rodzicami gdzie jeździł!

— Kochany papo — rzekł rezolutnie Alexander —jestem dorosłym człowiekiem i mogę mieć moje sekreta; jak wrócę, powiem papie, gdzie byłem, a teraz nie mogę.

To rzekłszy, wyszedł, uśmiechając się ciągle do siebie; pani Snopińska wysunęła się za nim z pokoju, a pan Jerzy wzruszył ramionami i markotny usiadł obok swego gościa.

Po chwili ładna najtyczanka, zaprzężona czterema końmi w lejce, zajechała przed ganek, i furman, młody chłopak, parę razy palnął z bata zamaszyście. Alexander w eleganckim warszawskim paletocie siadł na bryczkę i konie ruszyły przez dziedziniec. Mijając otwarte okno, przy którém siedzieli ojciec jego i pan Andrzéj, młody człowiek pokłonił im się z uśmiechem czapeczką i zawołał na furmana:

— Ruszaj żywo!

Pan Jerzy patrzył za odjeżdżającym, dopóki bryczka nie zniknęła za bramą, potém westchnął i rzekł, jakby do siebie:

— Ani jednego całego dnia ten chłopiec nie posiedzi w domu!

Machnął ręką, spuścił głowę i zamyślił się. Na czole jego, zda się, przybywało zmarszczek pod wpły-

wem ciężkich myśli, a w oczach zwykły im frasunek zamienił się w smutek prawdziwy.

Pan Andrzéj patrzył na niego ze współczuciem, położył rękę na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— No, mój stary przyjacielu, powierz mi swoje troski, a lżéj ci będzie. Bądź otwartym przede mną: nie rad jesteś ze swego syna, czy prawda?

Pan Jerzy pokiwał głową.

— At — rzekł — alboż można cieszyć się z tego wiecznego próżniactwa, z tego życia z dnia na dzień, bez żadnéj poczciwéj myśli w głowie, jakie on prowadzi!

W słowach tych był żal i drżała obawa ojcowskiego serca.

— Wybacz mi, kochany przyjacielu — mówił daléj pan Andrzéj—że powiem ci prawdę... leży mi ona na sercu, odkąd tu przybyłem. Sam winien jesteś, że syn twój tak smutnie marnuje swoję młodość. Dla czegoż nie dałeś mu staranniejszego wychowania? Czemu od dzieciństwa nie zaprawiłeś, nie przyzwyczaiłeś go do jakiéjkolwiek pracy?

— Ha! —zawołał pan Jerzy, zrywając się z krzesła — masz słuszność, Andrzeju, wielką słuszność! popełniłem omyłkę, straszną omyłkę w wychowaniu tego dziecka, i obawiam się teraz, aby mię Bóg surowo za ten błąd nie ukarał!

— Uspokój się, Jerzy — rzekł pan Andrzéj — ale ponieważ weszliśmy już na ten smutny temat roz-

mowy, powiedz mi: jak mogłeś, obdarzony tak zdrowym, naturalnym rozsądkiem, ty tak zamiłowany w pracy i tak gorliwie pracujący całe życie, w podobny sposób wychować syna?

Pan Jerzy długo milczał, jakby zbierał myśli dla dania odpowiedzi przyjacielowi, potém otarł nieznacznie łzę z oka i rzekł:

— Słabość ojcowskiego serca, Andrzeju, przywiązanie zbyteczne do jedynaka, były tego powodem. Bóg widzi, że nie chciałem źle zrobić, bo i któż może źle życzyć własnemu dziecku? Ale nie wiedziałem sam, co robiłem; jestem prosty człowiek i, zapewne przez brak oświaty, nie umiałem zmierzyć całéj ważności następstw mego postępowania z dzieckiem; może zresztą i zbyt uległem wpływowi żony, która w nim zawsze widziała i widzi ósmy cud świata. Wszystko, słowem, złożyło się na to, aby jak najgorzéj pokierować jego wychowaniem, a teraz widzę, że źle się stało... bardzo źle...

Westchnął znowu i mówił daléj:

— Wiész, Andrzeju, że oprócz niego miałem jeszcze troje dzieci i wszystkie mi poumierały w małych latach, on jeden został. Miłość nasza dla niego we czworo się zwiększyła. Póki był mały, pieściliśmy go z matką na wyścigi. Mając dwanaście lat, czytać jeszcze nie umiał, bo ile razy zapłakał, gdy go zaczynano uczyć, matka książkę w piec rzucała, a ja, chodząc za gospodarstwem od rana do wieczora, nie mia-

łem czasu zająć się nauką chłopca. Zresztą mówiłem sobie zawsze, że w naszym stanie wielkiéj nauki nie potrzeba, że będzie jeszcze na nią dość czasu. W dwunastym roku oddałem go do szkół. Zdolności miał ogromne i uczył się doskonale, kiedy chciał, ale rzadko chciał, bo przywykł w domu do próżniactwa i same głupstwa kręciły mu się po głowie. Skończył jednak cztery klasy, a tak był zdolnym, że, choć mało się uczył, jak przyjechał do domu na wakacye i zaczął rezonować o wszystkiém, co słyszał i widział, zdawało się, że bardzo wiele umié, i że skończony z niego człowiek. Po wakacyach, za nic już nie chciał wracać do szkół. Nie chcę i nie chcę. Matka także kładła mi ciągle w uszy: a dość tych nauk! a na co to nam te nauki! a Oleś już i tak rozumniejszy od całéj okolicznéj młodzieży! Z początku nie zdawało mi się, aby tak było, ale jak zaczęli mię oboje prosić, i on, i matka, tak i pomyślałem sobie, że może i dobrze będzie, jeżeli chłopiec zostanie w domu i będzie mi pomagał w gospodarstwie. A trzymałem wtedy wielką dzierżawę w Kowieńskiém, potrzebowałem pomocy. Myślę sobie: będę go kierował na gospodarza, a gospodarzowi nie wiele nauki potrzeba! Otóż widzę jasno, że się grubo myliłem, bo nauka już przez to samo dobra, że przyzwyczaja do pracy, a potém już teraz taki świat, że bez nauki ani rusz, nawet w gospodarstwie, a i mnie, choć staremu, brak jéj często poczuć się daje. Koniec końców, pozwoliłem

Olesiowi zostać w domu. Otóż-to wtedy zaczęło się zupełne hultajstwo, tracenie pieniędzy, hulanki z młodzieżą, słowem wszystko, co go i teraz zajmuje.

Nie wziąłem go od razu w karby, nie zwracałem na niego uwagi, bo pracowałem od rana do nocy; dawałem mu czasem robotę przy gospodarstwie, ale spełniał ją raz dobrze, a dziesięć razy źle, i tak poszło już coraz daléj i coraz gorzéj... a teraz już niéma rady!...

— Dla czego niéma rady? — rzekł pan Andrzéj — staraj się teraz skłonić go do pracy, wzbudź w nim ambicyą, przedstaw mu piękną przyszłość, jaka-by niezawodnie czekała tak uzdolnionego z natury człowieka, gdyby poszedł dobrą drogą; zrób tak, aby wstąpił do jakiego naukowego zakładu, wszak jeszcze dość młody na to!

— W tém-to i bieda, że wszystko już za późno: miałem tego dowód niedawno — smutnie odpowiedział pan Jerzy. — W zeszłym roku zjechało się tu w sąsiedztwie kilku studentów Uniwersytetu na wakacye: młodszy syn Siankowskich, krewni pani Karliczowéj i inni. Przyjeżdżali parę razy do nas, Oleś spotykał się z nimi często w sąsiedztwie. Widać zawstydził się niższości wobec nich, tknęła go jakaś ambicya, bo przyszedł raz do mnie i mówi: „pojadę na Uniwersytet!” Serce zaskakało we mnie z radości. Uściskałem go, powiedziałem, że zgadzam się, błogosławię i wszelkich wydatków na to nie pożałuję! Przez ja-

kiś czas bardzo był tym projektem zajęty, wziął od Siankowskiego spis nauk, które posiadać trzeba, aby być przyjętym do Uniwersytetu. Ale nagle przestał o tém mówić, wakacye skończyły się, młodzież się rozjechała, a on ani myślał o wyjeździe z domu. Zapytałem go raz: „cóż Olesiu, kiedy pojedziesz?” Nie pojadę wcale — odpowiedział. — Dla czego? Bo, aby zostać przyjętym do Uniwersytetu trzeba zdać examina, a ja nic nie umiem, na nowo zaś iść do szkół za późno i nie chcę!... Cóż miałem robić? zasmuciłem się i ostatnia moja nadzieja spełzła na niczém. Ale widać, że i jemu to przykro było, bo przez jakiś czas chodził jak zabity, a ja sobie tylko myślałem, że jeden nierozsądny i fałszywy krok może wszystko zgubić, bo gdybym mu był nie pozwolił zostać w domu po skończeniu czterech klas, a wysłał daléj do szkół, chłopiec byłby teraz uczył się w Uniwersytecie. Ale tu i moja żona wiele temu winna... oj matki, matki!...

Machnął znowu ręką i westchnął głęboko; pan Andrzéj był zamyślony i smutny.

— Mówiłeś mi — ozwał się po chwili — że Alexander ma także wielkie zdolności do robót mechanicznych. Może-by mógł i chciał wyuczyć się specyalnie jakiego rzemiosła i założyć sklep albo warsztat w jakiém większém mieście. Na to już nie trzeba skończenia siedmiu klas i zdawania examinów.

Pan Jerzy podniósł na mówiącego zdziwione i rozgniewane niemal oczy.

— Jakto, Andrzeju — rzekł — mój syn miałby zostać rzemieślnikiem? Przecież my, choć nie posiadamy własnéj ziemi, jesteśmy dobrą i starą szlachtą!

Smutnie uśmiechnął się pan Andrzéj.

— I cóż to szkodzi? — odrzekł. — Albożjakakolwiek praca ubliża człowiekowi i ściera z jego tarczy herbowéj znamię zaszczytne, które przodkowie jego zdobyli także nie inaczéj tylko pracą, a często nawet i krwią swoją? Alboż rzemieślnicy nie są użytecznymi światu? Alboż niéma rzemieślników, którzy dorobili się niezależnego bytu, a nawet sławy i bogactwa?

— A wiem, wiem — rzekł porywczo pan Jerzy — że teraz u was mądrych ludzi wszystkie stany i wszystkie rodzaje pracy są sobie równe; może-by nawet Oleś chętniejszy był do rzemiosła, niż do nauki, ale ja staroświecki człowiek i za nic-bym nie chciał, żeby mój syn był rzemieślnikiem!

— A więc — zawołał z żalem pan Andrzéj — wolisz, aby został pasożytem, daremnie zjadającym chleb na świecie? Aby przez bezczynność wpadł w złe nałogi, stał się pijakiem albo karciarzem? Aby, śród próżniactwa i hulanek, przemarnował fundusz, z takim trudem przez ciebie zebrany, a potém umarł w nędzy i występku!...

Pan Jerzy milczał, oczy jego były bardzo zafrasowane, czoło zmarszczone.

— A, że zmarnuje, to zmarnuje on ten grosz, ze-

brany przeze mnie w pocie czoła — ozwał się, jakby odpowiadając najważniejszéj trosce swojéj — już i dotąd strwonił nie mało. Zachciało się paniczowi jechać do Warszawy; pojechał i stracił grube pieniądze, ale za to nawiózł z sobą marynarek, krawatów, paletotów, cukierków dla panienek i licho tam wié czego jeszcze, a w dodatku większe jeszcze fumy i pustactwa w głowie. Trzy miesiące temu, posłałem go do powiatowego miasta z podatkami, bo obowiązałem się kontraktem opłacać podatki za Adampol. Myślisz, że zapłacił? Gdzie tam! przehulał pieniądze, a były nie małe, i potém napisał do mnie, abym mu przysłał inne, bo tamte użył na swoje potrzeby. Musiałem drugi raz zapłacić. Trzyma sobie na stajni cztery konie, których nikomu poruszyć nie wolno; na rękę nie włoży innéj rękawiczki, tylko warszawską, przegrywa w bilard na téj przeklętéj sali, którą dyabeł, w postaci żyda, wymyślił na pokuszenie ludzkie, i lata po sąsiedztwach, gdzie tylko znajdzie jaką nieszpetną mordeczkę. At!... Ot powiem ci, Andrzeju, że najbardziéj psują mi go kobiety, począwszy od matki, a skończywszy na téj pani Karliczowéj, co to sama nie wié, co z nudów na wsi robić. Złapała go sobie na zabawkę, zaprasza, trzyma po kilka dni u siebie, prezentuje całemu światu, chwali i bałamuci, a jemu zdaje się, że on wielki bohater i ósmy cud świata. Ładny z niego chłopiec, a kobiety to tak i lgną do jego kędzierzawéj czupryny i białych zębów, a tém i jemu

głowę zawracają, i same durzą się, jak głupie stworzenia, z błaznem, u którego niedawno mleko było pod nosem. Już-bym wolał sto tysięcy razy, żeby się ożenił, może-by przynajmniéj statek przyszedł do głowy. Ale gdzie tam! ot i teraz poleciał gdzieś pewnie do jakiegoś ładnego buziaczka, co się do niego uśmiechnął, a czy to właśnie pojechał on tam z poczciwą myślą, ze stateczną miłością? At!

— Hm — rzekł pan Andrzéj z zamyśleniem — wszystko to złe jest, Jerzy, bardzo złe.

— Oj złe! złe! — powtórzył z uniesieniem pan Jerzy—ot, czy wiész, Andrzeju, że jak patrzę na Alexandra i myślę sobie o tém, jaka to będzie przyszłość jego, a moja na starość zgryzota, mam ochotę wléźć na najwyższą wieżę, jaka jest na świecie, i zawołać z niéj do wszystkich ojców: „hodujcie synów od najmniejszych lat w miłości cnoty i pracy, nie uważajcie nauki za niepotrzebną dla nich, starajcie się, aby każdy z nich miał cel życia, który-by umiłował serdecznie, bo inaczéj zrobicie z nich hultajów i łotrów, i sami na starość będziecie mieli, zamiast pociechy, zgryzotę sumienia i krwawe łzy do opłakiwania skutków swojéj nierozwagi“.

Mówiąc to, z silném wzruszeniem, pan Jerzy, przyłożył chustkę do swych zafrasowanych oczu i zapłakał.

VII.

Piérwsza wizyta.

W tym samym czasie, gdy pan Jerzy opowiadał przed przyjacielem obawy i żale, jakiemi go napełniało postępowanie syna, Alexander prędko przebył rączemi końmi trzywiorstową przestrzeń, dzielącą Adampol od Niemenki, i wbawialnym pokoju małego dworku ożywioną prowadził rozmowę z miejscowemi paniami.

Pani Niemeńska, ustrojona od święta w czepek z liliowemi wstążkami, z widoczném upodobaniem patrzyła na młodego gościa.

Wincunia siedziała obok ciotki, zmieszana nieco, mniéj mówna, niż zwykle, zamyślona i jakby poważna. Z tém pomieszaniem dziewiczém i nieco rzewnym wyrazem twarzy, jaki rzucały na nią długie rzęsy spuszczających się co chwila oczu, Wincunia ładniejszą była jeszcze, niż zwykle. To téż Alexander ogarniał ją raz po raz ognistém spojrzeniem, a nie-

kiedy tak się w nią wpatrywał, że aż zapominał o odpowiadaniu na wielomówne i uprzejme pytania pani Niemeńskiéj. Był on ubrany wedle ostatniéj mody, wszystko na nim było cienkie, świeże, wytworne; misternie zawiązany węzeł szafirowego krawata pięknie odbijał przy ciemnym stroju i białéj twarzy. Mówił wiele i z ożywieniem, a co moment mowę swą zwracał do Wincuni; ona odpowiadała mu uprzejmie, z uśmiechem, ale głosem nieco cichszym niż zwykle; podnosiła na niego spojrzenie i wnet spuszczała oczy; on spojrzenie to chwytał wzrokiem w przelocie, zaglądał w nie głęboko, a potém milkł na chwilę i tylko patrzył na nią.

Pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł Bolesław.

— Czemu tak późno przybywasz pan! — spytała gospodyni domu — czekałyśmy na pana z obiadem.

Bolesław powitał panie, a ujrzawszy Alexandra, zdawał się trochę zdziwionym jego obecnością w Niemence.

— Czy panowie znają się? — spytała pani Niemeńska, gotując się już do dopełnienia ceremonii przedstawień.

— O, miałem przyjemność spotykać się z panem Topolskim w sąsiedztwach — zawołał Alexander, i z najbardziéj światową, jak mógł, grzecznością, podał rękę przybyłemu.

Bolesław usiadł i rzekł:

— Przyjeżdżam prosto z X., gdzie byłem na obiedzie u proboszcza. Zebrało się tam nas kilku hreczkosiejów i zarazem trochę literatów, więc gwarzyliśmy sobie to o tém, to o owém...

— Przepraszam pana, że wypowiem moję myśl— z grzecznym, ale nieco ironicznym uśmiechem przerwał Alexander — nie mogę pojąć, jak pan mogłeś przełożyć gawędkę u proboszcza, nad towarzystwo pań, które go tu oczekiwały.

Uśmiechnął się Bolesław i odpowiedział:

— Moja znajomość, a nawet ośmielę się powiedzieć, moja przyjaźń z paniami, jest tak starą i nie potrzebującą dowodów, że panie doskonale wiedzą, jak mi jest drogiém ich towarzystwo. Ale zarazem wiemy téż o tém wszyscy, że mężczyzna nie może żyć dla swego tylko, choćby najulubieńszego, kątka. Jego obchodzą i obchodzić powinny sprawy ogólne, a o nich jakże wiedzieć może, jak w nich weźmie udział, jeżeli nie będzie przebywał niekiedy w szerszém kole ludzi, choćby nawet ich towarzystwo nie najlepiéj lubił?

Alexander zdawał się przez chwilę nieco zmieszany tą poważną, lubo pełnym prostoty tonem wygłoszoną, odpowiedzią. Spuścił oczy i po twarzy jego przemknęło niezadowolenie, połączone z ironią. W mgnieniu oka jednak odzyskał zwykłą sobie śmiałość i rzekł:

— Masz pan zupełną słuszność i bardzo pięknie

mówisz. Ja jednak przyznaję się otwarcie, że jestem egoistą i za nic w świecie nie zamienił-bym przyjemności, jakiéj doświadczyłem, przepędzając tutaj tę chwilę, którą pan u proboszcza przebyłeś.

Na ten komplement, któremu towarzyszyło przelotne spojrzenie, rzucone na Wincunią, pani Niemeńska mile się uśmiechnęła, a czoło Wincuni zabarwiło się lekkim rumieńcem.

— Co do szerszego towarzyskiego koła, nie jest ono wcale obcém panu Snopińskiemu — ozwała się gospodyni domu, zwracając mowę do Bolesława.— I owszem, właśnie przed chwilą opowiadał nam wiele zajmujących rzeczy o Warszawie, w któréj przepędził czas jakiś.

— Pan długo byłeś w Warszawie? — spytał Bolesław.

— Bawiłem tam przeszłego lata dwa miesiące — odparł młodzieniec, muskając wąsika.

— Słyszałem o tém od pana Siankowskiego — rzekł Topolski — i dziwiło mię trochę, że pan opuściłeś dom na tak długo, właśnie w czasie żniw.

Uwaga ta, wypowiedziana tonem, który nie miał w sobie nic złośliwego, musiała wydać się eleganckiemu młodzieńcowi do najwyższego stopnia naiwną i tchnącą stodołą, bo roześmiał się głośno i zawołał z szyderstwem, którego pokryć nie chciał, czy nie umiał:

— A! łaskawy panie dobrodzieju! cóż to ma jedno do drugiego, podróż moja do żniw?

— Jest to pora najtrudniejsza dla gospodarzy, i sądziłem, że ojciec pana, jako zawołany gospodarz, potrzebował wówczas pomocy pańskiéj—odrzekł spokojnie Bolesław.

Alexander sponsowiał.

— Mój ojciec ma ekonomów, którzy mu pomagają — odparł z fantazyą, wstrząsając złocistemi lokami—a pan dobrodziéj, czy byłeś kiedy w Warszawie?

— Nie, panie, jestem taki wieśniak prawdziwy, że, oprócz naszego powiatowego miasta, żadnego innego nie widziałem, i lubo nieraz pragnąłem wychylić się w świat szerszy, zajęcia, obowiązki miejscowe, nie dozwalały mi czynić dalekich wycieczek.

— Żałuj pan, żałuj! kto Warszawy nie widział, ten nic nie widział! — zawołał patetycznie młodzieniec, a powstając z krzesła i przybierając również patetyczną postawę, mówił daléj:

— Tam dopiéro człowiek poznaje prawdziwie, co to jest życie! Ruch, tłum, gwar, ogromne pałace, piękne powozy na ulicach, bogate magazyny, a wszystko błyszczy i huczy, aż człowiekowi w oczach ćmi się i w uszach dzwonić zaczyna.

— O ilė wiem, blask ten i huk, to tylko zewnętrzna strona tego miłego i drogiego sercom naszym miasta — rzekł Bolesław — pod blaskiem kryje się mnóztwo nędzy, a mimo huku tkwi tam myśl poważna...

— O, tak, tak, panie dobrodzieju, ale tego tam

nie widać i nie słychać! I po cóż zresztą dopatrywać i dosłuchywać się tych smutnych rzeczy? kiedy człowiekowi wesoło, to i dobrze; a wesoło-ż bo tam, wesoło!

I, zapaliwszy się do swego opowiadania, począł daléj opisywać ulice, place, ogrody i spacery warszawskie.

W czasie téj rozmowy dwóch mężczyzn, Wincunia nie odezwała się ani słowa, tylko oczy jéj przechodziły koleją z twarzy narzeczonego na twarz Alexandra.

Dwaj ci ludzie stanowili między sobą zupełną sprzeczność. Spokojna i poważna postać Bolesława, skromnie i czarno ubrana, twarz jego ogorzała o nieregularnych rysach, ozdobionych tylko pięknością spojrzenia i uśmiechu, wydawała się pospolitą, niemal prostaczą przy smukłéj postaci, wytwornym stroju i białéj, ogniem życia i wesołości tryskającéj, twarzy dwudziesto-letniego młodzieńca. Oczy jednak tych dwóch tak różnych ludzi zbiegały się wciąż na jednym punkcie, a tym punktem była Wincunia. Ale nawet w spojrzeniach ich, na nią rzucanych, była wielka różnica. Bolesław, patrząc na Wincunią, nie tracił zwykłego sobie spokoju, a tylko z głębi, z saméj głębi jego szarych oczu, wypływała cicha rzewność i płonęła w źrenicy łagodnym blaskiem. Oczy Alexandra paliły się, migotały błyskawicami, jasny

błękit ich ściemniał, i miał barwę nieba, otaczającego tarczę słoneczną w południe.

Gdyby przed tych dwóch mężczyzn przyprowadzono dwie kobiety młode: jednę z dojrzałą myślą i sercem, w ogniu cierpień wypróbowaném, drugą, młodziuchną dzieweczkę, która naiwne i ciekawe oczy ledwie otworzyła na świat boży, i gdyby tym dwom kobietom powiedziano: „Przyjrzyjcie się tym ludziom i niech każda z was jednego z nich wybierze sobie na szczęście i miłość, na dolę i niedolę życia!“ Piérwsza wyciągnęła-by dłoń do Bolesława i rzekła: tego wybieram, bo ma piękność ducha. Druga zachwyconém okiem utonęła-by w piękném licu Alexandra i z rumieńcem wstydu, łzami wzruszenia i śmiechem radości, zawołała-by: tego kocham, bo w oczach jego przegląda się niebo!

Kocham! o, niewinne, nieświadome siebie i świata dziewczę młode! Nim wyraz ten wymówisz, złóż piérwiéj ręce do modlitwy i módl się długo, długo, i proś Boga, aby ci dał myśl tak przenikliwą, serce takie mężne, iżbyś po-przez ogniste oczy i białą twarz młodzieńca przedrzéć się mogła do duszy jego!

W nią patrz, bo z niéj, tylko z niéj, stosownie do jéj wartości, wypłynie dla ciebie szczęście lub niedola; bo jeśli ona jasna, to i ciebie na zawsze opromieni światłość, pomimo nawet przyszłych cierpień życia; bo jeśli ona ciemna, i ty, prędzéj lub późniéj, zapadniesz

w ciemności żalu, rozczarowania, rozpaczy, a kto wié, może grzechu i buntu przeciw swemu losowi!

Wincunia patrzyła na Alexandra i stawała się coraz bledszą; w miarę, jak mówił, wzrok jéj coraz śmieléj tkwił w jego twarzy, mglił się wilgocią i promieniał połyskliwym blaskiem.

Alexander czuł spoczywający na sobie ten wzrok dziewczyny, lubo z mową swą najczęściéj zwracał się do gospodyni domu. Głos jego stawał się coraz dźwięczniejszym, mowa coraz płynniejszą, o tém co widział, opowiadał z łatwością i dowcipem, który nieraz szczerze rozśmieszał słuchających.

— Jakież to piękne, naprzykład, te Łazienki!— mówił między innemi rzeczami — byłem tam właśnie w czasie kwitnienia drzew pomarańczowych; przecudny zapach rozlewał się wkoło stawów, po których pływają łabędzie...

— Łabędzie! — zawołała Wincunia, porwana opowiadaniem i swém amatorstwem ptaków—jakżebym chciała widziéć kiedy łabędzie! Znam tego ptaka tylko z opisu, prześliczny być musi!

— Prześliczny! — powtórzył Alexander — ale przecie można-by i tu zaprowadzić łabędzie. Klimat nasz nie wiele się różni od warszawskiego, a niedaleko od Niemenki widziałem staw dość duży. Idzie tylko o sprowadzenie jednéj pary.

— Ależ to musi być kosztowne i trudne do hodo-

wania! — przerwała pani Niemeńska z przezornością gospodyni.

— O! nie — odpowiedział Alexander — hoduje się je na wodzie, jak gęsi. Jeżeli pani pozwoli — dodał, zwracając się z ukłonem do Wincuni—będę bardzo szczęśliwy, mogąc przysłużyć się jéj parą łabędzi. Pojadę po nie do Warszawy, tam wszystkiego dostać można...

— Jakto, pan pojedziesz do Warszawy umyślnie po łabędzie? — z uśmiechem spytał Bolesław.

— Cóż to znaczy? — odparł młodzieniec — dla spełnienia życzeń *damy*, można na koniec świata pojechać!

— Chciałbym na ten raz być damą — zaśmiał się Bolesław — kazał-bym panu jechać do Nilu po krokodyla!

— Gdybyś pan był pewną damą, którą ja znam, pojechał-bym chętnie nawet po krokodyla — odparł swobodnie Alexander, rzucając spojrzenie na Wincunią, która właśnie w téj chwili patrzyła na niego i zrozumiała widać aluzyą, bo wnet spuściła oczy.

Bolesław nie dojrzał tego spojrzenia i nie dosłyszał aluzyi, bo patrzył także na Wincunią.

— Bywałem w Łazienkach, właśnie w porach, gdy cały piękny świat Warszawski tam się przechadzał. Widziałem mnóztwo ślicznych dam, ale ani jednéj tak pięknéj, jakie w tych stronach widziéć można.

Spojrzał wymownie na Wincunią i dodał, skłaniając głowę:

— Niéma jak Litwinki! uchylam przed niemi czoło! Nie darmo Mickiewicz napisał o Wilii i naszych kobietach: „piękna Litwinka, co jéj czerpie wody, czystsze ma serce, piękniejsze jagody“.

Musiał wyrachować zręczny młodzieniec, że tą cytatą zatrze niekorzystne dla siebie wrażenie, jakie wywrzéć mogło na Wincuni nietrafne jego odezwanie się o Karpińskim i czwartkowych obiadach.

Gdyby zaś kto w owych stronach pisał kronikę miejscową, wiedział-by niezawodnie, że wiersz ten znajomy mu był i powstał w jego pamięci dla tego, że powabna pani Karliczowa śpiewała go często przy fortepianie, a Alexander słuchał zawsze jéj śpiewu, romantycznie wsparty o fortepian i powtarzając: jaka to prawda!... Pewnego zaś razu, podobno kiedy pani Karliczowa wstała od instrumentu, zapytał ją: proszę pani, kto téż to ułożył tę ładną piosenkę? — Naturalnie, że Mickiewicz — odpowiedziała ze śmiechem piękna wdówka — jaki téż z pana nieuk! Można-ż o tak prostéj nie wiedziéć rzeczy! — i uderzyła go wachlarzem po ręku.—Zgadzam się na tę nazwę, byle-by ona nie pozbawiła mię łaski pani! — odpowiedział z galanteryą lew parafialny.

Bądź co bądź, cytatą wiersza Mickiewicza młodzieniec dopiął swego celu, Wincunia musiała odzy-

skać dobre mniemanie o jego literackiém wykształceniu.

— Byłeś pan zapewne na Wystawie obrazów? — spytał po chwili Bolesław.

— Byłem, byłem — odparł Alexander — jakżebym mógł nie widziéć tak pięknéj rzeczy? ja, panie dobrodzieju, szczególniéj kocham się w malarstwie.

— Więc musiałeś pan widziéć świéżo wystawiony w zeszłym roku obraz Suchodolskiego? ma być bardzo piękny.

— A, obraz Suchodolskiego! widziałem, widziałem; ale nic w nim niéma tak bardzo szczególnego!

I znowu nie wiedział, o czém mówi.

— Utrzymują, że Suchodolski celuje w malowaniu koni, czy pan w istocie to znalazłeś?

— O tak, panie dobrodzieju, celuje w malowaniu koni, prześliczne konie! Ale, *à propos* koni, byłem w teatrze na *Tułaczu*, i wystawcie sobie państwo, że tam na scenę wprowadzają konia!

— Na scenę konia! — zawołała pani Niemeńska.

— Konia — potwierdził Alexander — wielkiego, białego, a na nim wjeżdżają Róża i Blanka, te, co to państwo... w *żydzie tułaczu*...

— Tego to szczerze zazdroszczę panu, że widziałeś teatr warszawski — ozwał się Bolesław — pewno

byłeś pan na sławnym dramacie Z., który z takiém powodzeniem był dawany zeszłego lata?

— Byłem panie; ale co tam dramat! wierz mi pan, że niéma przyjemniejszego widowiska, jak balet. Jest prawdziwie co widziéć, prześliczne dekoracye jedne wyobrażają lasy, inne góry, inne jeszcze pałace i ogrody z bijącemi fontannami, a śród tego wszystkiego baletnice, jak roje motylów latają w powietrzu, w powiewnych różnokolorowych sukniach, zbiegają się, rozbiegają, splatają się w wieńce, a potém jedna z nich wybiega na środek, cała w kwiaty ubrana, i tańczy, zda się, że nie dotyka ziemi, a cały teatr drży od oklasków. Jabym zgodził się połowę życia przesiedziéć na balecie!

— A z drugą połową cobyś pan zrobił? — spytał Bolesław, uśmiechając się z zapału młodzieńca do baletu.

— Przepędził-bym ją w Niemence — odparł śmiało Alexander, skłaniając nizko głowę przed damami.

Pani Niemeńska i Bolesław zaśmieli się, ale Wincunia sponsowiała.

— Bądź co bądź — odezwał się Topolski — choć pan tak chwalisz balet, a ja na nim nigdy nie byłem, wyobrażam sobie jednak, że najulubieńszém dla mnie widowiskiem teatralném byłby dramat, albo dobra komedya, taka np. jak są Fredry.

— A, komedye Fredry! byłem, byłem na niéj! właśnie dawano Żydów...

— Panie łaskawy — przerwał żartobliwie Bolesław — nie odbieraj téż pan Korzeniowskiemu jednego z najpiękniejszych listków jego autorskiéj korony, boć on to napisał *Żydów.*

— Prawda! omyliłem się! to była komedya *Korzeniowskiego!* — zawołał Alexander, uderzając się w czoło, spojrzenie jednak jego z wyrazem lekkiéj urazy upadło na twarz Bolesława.

— Powiedz mi pan dobrodziéj — rzekł z ironią — czy nie posiadasz wypadkiem tego bajecznego kobierca, który ludzi nosił w mgnieniu oka po różnych stronach świata i równie prędko odnosił ich na miejsce stałego pobytu, a także téj czapki *niewidimki,* w któréj człowiek mógł wszędzie bywać niewidzialnym?

— Daję panu słowo, że ich nie posiadam, inaczéj przysłużył-bym się panu kobiercem, abyś mógł codzień bywać na balecie w Warszawie i wracać na wieczerzę do Adampola! — ze śmiechem odpowiedział Bolesław — ale zkąd panu przyszło mieć mię za czarnoksiężnika?

— Bo nie pojmuję, jak pan możesz, nigdy nie będąc w Warszawie, tak dokładnie wiedzieć o wszystkiém, co się tam dzieje.

— Więc sądziłeś pan, że potajemnie odbywam podróż na cudownym kobiercu i w czapce niewidimce!—zawołał Bolesław, śmiejąc się jeszcze mocniéj.

— Nie, kochany panie! kobiercem owym jest dla mnie gazeta, a czapką niewidimką mój pokój sypialny, w którym co wieczór, po skończeniu gospodarskich zajęć, zamykam się i czytam.

— Widzisz pan — dodał poważniéj —odkąd wynaleziono druk i urządzono w kraju poczty, i my wieśniacy możemy, nie podróżując, wiedziéć, co się na dalekim świecie dzieje, ku przyjemności serca i pożytkowi umysłów naszych.

Podano herbatę i rozmowa przybrała inny obrót, zwracając się ku sprawom i wiadomościom miejscowym. Bolesław upatrzył chwilę, w któréj pani Niemeńska opowiadała Alexandrowi o swoich sąsiedzkich stosunkach, a on zdawał się słuchać jéj z uwagą, i zbliżył się do Wincuni:

— Co pani jest dzisiaj? — spytał półgłosem — jesteś blada i jakby smutna!

Dziewczę podniosło na niego spojrzenie w istocie smutne i zamglone.

— Nic mi nie jest — szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem, a oczy jéj spoczęły na twarzy Bolesława z taką dobrocią serdeczną, z takim nieokreślonym żalem, że aż pobladł trochę. Patrzył w jéj twarz przez chwilę z miłością, z którą złączyła się ojcowska nieledwie troskliwość.

— Spodziewam się — wyrzekł cicho — że gdybyś była cierpiącą, albo miała jaki powód do smutku, powiedziała-byś mi o tém, nie prawdaż?

Wincunia spuściła oczy i nie odpowiedziała; Bolesław rzekł znowu:

— Wszak pani wiész o tém, że twój uśmiech to moje słońce; gdy jego braknie na twojéj twarzy, mnie światła braknie. Nic więc dziwnego, że smutek pani przeraża mię i do pytań skłania.

— Ja nie jestem smutna — odrzekła Wincunia nieco z przymusem — panu się tylko tak zdaje! — i jakby dla potwierdzenia słów swych, zaśmiała się głośno, ale w śmiechu jéj zadrgała fałszywa nuta.

Alexander, słuchając opowiadań pani Niemeńskiéj, z ukosa spoglądał na cicho rozmawiającą z sobą parę narzeczonych, rumienił się chwilami i brwi mu lekko drgały. Gdy tylko pani Niemeńska mówić przestała, zwrócił się do Wincuni i rzekł:

— Widziałem tu w przyległym pokoju fortepian; zapewne pani grywa; czy można prosić?...

— O, ja tak niewiele gram! — tłómaczyła się Wincunia.

Pani Niemeńska głos zabrała.

— Ale ja od pani Siankowskiéj słyszałam, że pan bardzo ładnie śpiewasz. Niechże pan będzie łaskaw i sprawi nam tę przyjemność...

— Prawdziwie pani — wymawiał się Alexander — nie jestem dziś przy głosie, i choć brałem lekcye śpiewu w Warszawie, nie wiem, czy uda mi się dziś cokolwiek dobrze zaśpiewać!

— Pan brałeś lekcye w Warszawie! więc tém bardziéj prosimy pana...

— Doprawdy nie wiem... — protestował jeszcze młodzieniec i patrzył na Wincunią.

— Niech pan zaśpiewa cokolwiek — ozwała się Wincunia z nieśmiałością i nie podnosząc oczu.

— Niech się stanie wola pań! — rzekł, powstając natychmiast Alexander. — *Ce que femme veut, Dieu le veut* — dodał przesadną francuzczyzną.

Ostatnie słowa były także korzyścią, odniesioną ze znajomości z panią Karliczową. Wypowiadając je, nie troszczył się, czy będzie zrozumianym przez kogokolwiek z obecnych.

Przeszli wszyscy do przyległego pokoju, dobrze oświeconego palącą się na stole lampą. Alexander usiadł przy fortepianie, odrzucił włosy i uderzył kilka akordów, potém, pięknym i czystym w istocie, choć wcale nie uczonym głosem, zaśpiewał powszechnie znaną piosenkę: „Serce, serce, zkąd to bicie?” Z początku śpiewał z przesadą i wzniósł w górę oczy, ale potém zwrócił je na Wincunią, stojącą nieopodal i, nie spuszczając z niéj wzroku, odśpiewał ostatnią zwrotkę:

„I na téj to pajęczynie,
Która się tak wątłą zda,
Ach, udało się dziewczynie,
Że mię w swojéj mocy ma!”

Przesada, z jaką był zaczął śpiewać zniknęła,

i słowa te odśpiewał z mocą, uczuciem i nawet rodzajem pewnego porywu i zapału, którym odpowiadał wyraz oczu, utkwionych w twarzy Wincuni.

Nic tak silnie i głęboko nie wnika w serce młodéj, niedoświadczonéj, a wrażliwéj dziewczyny, jak piękny śpiew mężczyzny, choćby nie ozdobiony umiejętnością i wyrobieniem, byleby dźwięczny, czysty i gorący. Każdy ton tego śpiewu wpływa do jéj piersi z iskierką uczucia, która się w nim zawiera. Iskra łączy się z iskrą i wszystkie razem tworzą żar; mężczyzna przestaje śpiewać, a w piersi dziewczyny pieśń brzmi jeszcze, brzmi ciągle, a dźwięki te wewnętrzne wypływają przez oczy blaskami, przez lica rumieńcem. Stoi wzruszona, choć wzruszenie to skryć usiłuje i gotowa zaśpiewać duet, jeśli nie z dwóch głosów, to z dwóch serc złożony. Nazajutrz rano, ocknąwszy się ze swych snów dziewiczych, pójdzie ona obejrzéć swoje kwiaty, stanie między niemi zadumana, a usta jéj, zwilżone kroplą rosy, która na nie upadła, mimowoli zanucą wczoraj słyszaną piosenkę, wraz z tonami rozbudzą się w jéj piersi iskry wczorajsze, a żal, z pieśnią zmieszany, wybuchnie płomieniem miłości, którą poczuje, a o któréj długo może jeszcze nie będzie wiedziała.

Kiedy Alexander skończył śpiewać, Wincunia stała, oparta ręką o poręcz krzesła, z pochyloną głową i bladą twarzą. Pani Niemeńska, po wielu podziękowaniach i pochwałach, które jedna wygłaszała, po-

częła dopytywać się u Bolesława o proboszcza i znajomych, których u niego widziała. Alexander zbliżył się do Wincuni:

— Pora mi jechać — rzekł, dobywając piękny złoty zegarek, brzęczący mnóztwem breloków — a Bóg widzi, że mi się nie chce ztąd odjeżdżać! Zdaje mi się, że zostałem nagle przeniesiony do raju!

— Bardzo jestem rada, że się panu podobało w Niemence — odrzekło dziewczę, podnosząc oczy.

— Wierz mi pani — rzekł młodzieniec cicho i wzruszonym głosem — wierz mi pani, że chwile, które tu przepędziłem, uważam za najszczęśliwsze w mojém życiu. Ale czuję, że po nich nastąpi dla mnie wielki smutek i wielka tęsknota...

To rzekłszy, szybko odwrócił się, jakby chcąc ukryć przed Wincunią zbytek wzruszenia. Po chwili zaczął żegnać panią Niemeńską, która niezmiernie serdecznie i uprzejmie zapraszała go, aby jak najczęściéj bywał w Niemence.

Po oddaleniu się Alexandra, pani Niemeńska wyszła wnet z pokoju dla jakiéjś gospodarskiéj sprawy, a Bolesław, jako prawie domowy, przez grzeczność towarzyszył gościowi aż na ganek.

Gdy bryczka odjeżdżającego zaturkotała już w bramie, Bolesław wrócił do pokoju i znalazł Wincunię, stojącą na tém samém miejscu, na którém ją, wychodząc, zostawił. Stała jak skamieniała, z rękoma obwisłemi, z oczyma utkwionemi w ziemię; tak była za-

myślona, czy zamarzona, że nawet nie słyszała, jak Bolesław zbliżył się do niéj.

Wziął jéj obie ręce.

— Wincuniu — rzekł, patrząc w jéj twarz — powiedz mi teraz, co tobie jest? Już nikt obcy nie posłyszy.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała, uwalniając zwolna ręce z uścisku narzeczonego — głowa mię trochę boli — dodała — pójdę do siebie. Dobranoc panu.

— Jakto? idziesz już do swego pokoju? tak wcześnie. Sądziłem, że dziś jeszcze poczytamy razem trochę, bo przywiozłem ciekawą książkę od proboszcza.

— Nie mogę dziś czytać... pójdę już — odrzekła cicho Wincunia i odchodziła zwolna, a Bolesław patrzył na nią zdziwiony, zasmucony.

Nagle zwróciła się i podeszła prędko do narzeczonego, podała mu rękę i szepnęła:

— Panie Bolesławie, pan nie gniewasz się na mnie, nie prawdaż?

— Ja? gniewać się na ciebie? — zawołał Bolesław, obejmując ją i przyciskając do piersi — mój ty aniele drogi, za cóż ja miał-bym gniewać się na ciebie!

Wincunia podniosła głowę i patrzyła na niego łagodnie i z dziwnym jakimś żalem. Dwie łzy błysnęły na jéj rzęsach.

— Jesteś taki dobry... dobry — szeptała — ja tobie tyle jestem winna! ty byłeś mi ojcem, bratem, opiekunem... Wszystko, co mam, mam przez ciebie,

wszystko, co umiem, przez ciebie umiem... Och, jaka ja niewdzięczna!...

Łzy spadały z rzęs i spłynęły po twarzy.

— Wincuniu, co ci jest? — zawołał Bolesław, tuląc ją mocniéj do siebie — zkąd ci te przypomnienia? te wyrzuty sobie czynione? Ty słaba być musisz? jesteś blada, ręce masz gorące, drżysz cała! Boże mój! gdybym téż już prędzéj mógł być mężem twoim, czuwać nad tobą w każdéj chwili i taką cię otoczyć opieką i miłością, aby żadna chmurka nie zasmuciła ci czoła, żadna smutna myśl nie tknęła serca.

Przy ostatnich wyrazach Bolesława, Wincunia zadrżała całém ciałem.

— Ty jesteś słaba, moja jedyna — rzekł, patrząc na nią Bolesław — idź, połóż się; jutro pewno ci lepiéj będzie!

Poszła powoli, milcząc, on szedł obok niéj, aż do drzwi jéj pokoju, potém pocałował obie jéj ręce i rzekł z powagą:

— Niech cię smutne myśli nie dręczą, jeśli je masz jakie. Pamiętaj o tém, że blizko ciebie jest człowiek, który kocha cię prawdziwie i po męzku, więcéj niż samego siebie..., który strzeże cię i gotów bronić w każdéj chwili. Idź i śpij spokojnie, moje dziecię, a niech cię jutro zobaczę zdrową i wesolutką. Wyraz: *moje dziecię* Bolesław wymówił z takiém prawdziwie ojcowskiém uczuciem, iż zdawało się, że w istocie do tego młodego dziewczęcia, co przed nim

stało, miał jakieś prawa ojcowstwa. Tak, on czuł się, i słusznie, ojcem jéj duszy!

Drzwi zamknęły się za Wincunią, Bolesław odszedł. W bawialnym pokoju spotkał się z panią Niemeńską.

— Czy pani nie wiész, co się dziś stało Wincuni? — spytał z niepokojem — blada, milcząca i parę razy łzy miała w oczach.

— Ja sama uważałam, że ona dziś była nie swoja — odparła ciotka — zaraz po powrócie zaczęła się skarżyć na ból głowy, a cały wieczór siedziała, jak niema, co jéj się przecie nigdy nie zdarza! Żeby to tylko nie był początek choroby jakiéj, broń Boże!

— Gorączki panują w okolicy... — szepnął Bolesław, przesuwając dłoń po nagle zbladłém czole.

— Jeżeli-by Wincuni było gorzéj w nocy lnb jutro z rana — rzekł do pani Niemeńskiéj — nie tracąc ani chwili czasu, przysyłaj pani do mnie, a pojadę natychmiast sam po doktora. Dam w domu rozporządzenie, aby konie przez całą noc stały w stajni ubrane i gotowe do drogi. — Pożegnał panią Niemeńską i wyszedł, po kilka razy powtórzywszy prośbę, aby, w razie zasłabnięcia jego narzeczonéj, natychmiast mu o tém oznajmiła.

W pół godziny potém, cisza zupełna panowała w Niemence, wszyscy spali we dworku i wszystkie światła pogasły, tylko w oknie pokoiku Wincuni długo w noc błyszczało światełko.

VIII.

Szych i złoto.

Nazajutrz po bytności Alexandra w Niemence, Wincunia spotkała narzeczonego z pogodną twarzą. Była jeszcze trochę blada, ale szczebiotała już i nuciła, jak zwykle karmiła swoje ptaki i, wyręczając ciotkę, biegała z kluczykami po domu. Bolesław uspokoił się zupełnie i wczorajsze jéj usposobienie przypisał chwilowéj słabości.

Alexander zaś wszedł z rana do pokoju rodziców, i, znalazłszy ich siedzących we dwoje przy kawie, powiedział im, gdzie był wczoraj i oświadczył wpół ze śmiechem, wpół seryo, że szalenie pokochał się w Wincuni Niemeńskiéj.

— Oj ty bałamucie! — rzekł na to, kiwając głową, pan Jerzy; — dzieciuch jeszcze jesteś, a w wielu to już pannach kochałeś się!

— W żadnéj naprawdę, papo! — zawołał Alexander.

— A teraz to niby już będzie naprawdę — z niedowierzaniem rzekł ojciec.

— Bardzo być może — powiedział Alexander — nie darował-bym sobie nigdy, gdybym przynajmniéj tego gbura Topolskiego od niéj nie odsadził.

— Topolski jest poczciwy i rozsądny człowiek, niesłusznie więc w ten sposób wyrażasz się o nim — zarzucił pan Jerzy.

— Może sobie być najpoczciwszy — zawołał Alexander — ale Wincunia pasuje do niego, jak kwiatek do kożucha. Jemu tylko za pługiem chodzić, takie to grube i zaściankowe! Oprócz swego Topolina nic na świecie nie widział, nigdzie nie był, a rozprawia o wszystkiém z taką powagą, jak rabin żydowski! Nie lubię go! Ona, to cacko dziewczyna! drobniutka, zgrabniutka, delikatna, oczki szafirowe, a włosy takie światłe, aż srebrzyste. I w głowie ma wcale nieźle, jak na szlachciankę; nie wiem tylko, czy po francuzku umié!

— A ty umiész! — z drwiącą miną zapytał ojciec. Alexander żarumienił się.

— To co, że nie umiem, papo, ale będę umiał! już i teraz biorę lekcye francuzkiego języka i wiele rozumiem.

— Lekcye? — zawołał pan Jerzy — ciekawym, gdzie je bierzesz? czy nie u Szlomy na sali?

— Wcale nie — odrzekł z urazą młodzieniec — daje mi je pani Karliczowa.

Pan Jerzy parsknął śmiechem.

— Oj lekcye! — zawołał — wolał-bym, żebyś ich nie brał!

— Bo papo niesłusznie uprzedzony jest do pani Karliczowéj. Zdaje mi się, że stosunki z taką bogatą obywatelką i światową damą honor mi przynoszą.

— Większy-by ci honor przyniosło, gdybyś czémkolwiek porządnie a pracowicie zajął się — odparł pan Jerzy i, machnąwszy ręką, opuścił pokój.

— Moja mamo — rzekł po wyjściu ojca Alexander — jaki też papo dziwny jest czasem. Chciałby, żebym siedział w domu, jak zaklęty, i pracował, jak jaki parobek. To dobre dla takiego szaraczkowego szlachcica, jak Topolski, któremu trzydziestka już minęła i który świata nie widział, ale nie dla mnie.

— Niéma co uważać na gdéranie ojca, Olutku! zwyczajnie stary a skłopotany, pogdérze trochę i przestanie — odpowiedziała Snopińska, głaszcząc syna po złocistych kędziorach. — Czy tobie naprawdę tak podobała się ta panna Niemeńska?

— Naprawdę, kochana mamciu, jeszcze mi żadna panna nigdy tak się nie podobała. I wié mama co? postanowiłem sobie koniecznie tego Topolskiego od niéj odsadzić. Wyswatam jéj potém kogoś stosowniejszego dla niéj — dodał z uśmiechem.

— Ja myślę, że to trudno będzie, oni już z sobą podobno od roku zaręczeni.

— Oho! moja mamo! czego to zrobić nie można? trzeba tylko użyć strategii!

— Strategii? co to takiego, moje dziecko? może to wiele kosztuje, to ojciec znowu będzie gdérał!

Alexander zaśmiał się głośno i pocałował matkę w rękę z figlarną miną.

— Nie, moja mamo — odpowiedział — na to nie trzeba pieniędzy, tylko sprytu, a ja go mam — dodał, przykładając palec do czoła.

— Oj, ty zuchu, zuchu! — pieszczotliwie rzekła matka i pocałowała jedynaka w białe czoło.

W tydzień po téj rozmowie, Alexander, przyjechawszy do X. na nabożeństwo, po zwykłém zobaczeniu się z kolegami na sali, zajął swe stanowisko przed bramą kościoła. Wszystkie panie z sąsiedztwa przybyły, bo dzień był pogodny, a niedziela uroczysta. Alexander stał ciągle i patrzył na plac, czekając jeszcze czyjegoś przybycia. Uderzono w dzwony, plac i cmentarz opróżnił się, a napełnił się kościoł, msza doszła do połowy, a młodzieniec przechadzał się ciągle przed furtką cmentarza, stawał niekiedy i z zamyśleniem grzebał laseczką w trawie. Nabożeństwo skończyło się. Alexander odjechał zły i zamyślony: Wincunia wcale nie przyjechała do kościoła. Wiedział przecie o tém, że nie była chorą, bo spotkał Topolskiego, który po nabożeństwie wesoło rozmawiał z proboszczem i sąsiadami. Byłoż-by tak, gdyby

jego narzeczona źle się miała? Nie, a więc czemuż nie przybyła?

Przy obiedzie nie miał zwykłego apetytu, wstawszy od stołu kazał założyć do najtyczanki swoje cztery karosze, ubrał się najstaranniéj, jak mógł, zamiast szafirowego wziął dla rozmaitości liliowy krawat, spiął go koralową szpilką, naciągnął na ręce świeżutkie rękawiczki i pojechał do Niemenki.

Ale powrócił prędko, bo w parę godzin i zły bardzo. Przed gankiem wyłajał furmana za to, że jeden z koni okrył się pianą od prędkiéj jazdy, a potém zamknął się w swoim pokoju, nie widząc się wcale z rodzicami, choć pora była wczesna.

Wincunia nie ukazała się wcale w bawialnym pokoju w czasie jego odwiedzin w Niemence; ciotka jéj tylko wyszła naprzeciw gościa, przyjęła go bardzo uprzejmie, a o synowicy powiedziała, iż jest cierpiącą i od rana nie opuszcza swego pokoju. Alexander wiedział, że to nieprawda, bo, zbliżając się do Niemenki, widział po-przez płot i drzewa, jak Wincunia szła aleją ogrodu z bukietem polnych kwiatów w ręku, a za nią leciało, jak zwykle, kilka gołębi. Widział także, jak na odgłos turkotu kół nagle stanęła, spojrzała przez szparę w ostrokole i pomknęła ku domowi, jak błyskawica, tak, że tylko różowa sukienka mignęła parę razy między drzewami i zniknęła za ścianą domu. Alexander pomyślał wtedy, że Wincunia, widząc albo przeczuwając, iż to on jedzie,

pobiegła przygładzić włosy, albo poprawić suknią, i uśmiechnął się z zadowoleniem, muskając wąsika. Ale gdy nie wyszła wcale do bawialnego pokoju, aby go wspólnie z ciotką przyjąć, przekonał się, że ładna dziewczyna schowała się przed nim. Zły był wtedy, zawiedziony, rozdrażniony i dał-by, Bóg wié, co, żeby ją choć na chwilkę ujrzéć. Zdawało mu się, że ją kocha szalenie, że za nią przepada, odkąd jéj widziéć nie może.

Wróciwszy do domu, chodził po swoim pokoju ze zmarszczonemi brwiami i rumieńcem rozdrażnienia na twarzy. Nagle uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Mój Boże! jakiż ja jestem nierozsądny! Martwię się tém, czém cieszyć się powinienem! Schowała się przede mną? a więc to wyśmienite! Snać nie jestem jéj obojętnym, i albo musi mię bardzo nie lubić, albo lubić więcéj, niżby chciała. Nie lubić nie ma powodu... no... i nie może (musnął wąsika), a więc znak niezawodny, że się jéj podobałem, a ponieważ jest zaręczoną, walczy z sobą i chce o mnie zapomniéć. To jasne jak na dłoni!

Rozpogodził twarz i chodził po pokoju, uśmiechając się do siebie.

— Tak, tak — rzekł — dla tego-to i do kościoła nie przyjechała, żeby mię nie zobaczyć! No, ale teraz na mnie koléj! cały miesiąc nie pojadę, ani do kościoła, ani do Niemenki. Jak bardzo zatęskni, wte-

dy nie schowa się już przede mną. Będzie to strategia, jak mówi pani Karliczowa!

Śród takich rozmyślań chodził długo po pokoju, uśmiechał się i motał coś sobie na jasny wąsik.

Nazajutrz pojechał do X. i dwa dni nie wrócił do domu; fama niosła, że w tym czasie zgrał się strasznie w bilard na sali. Ale za to potém trzy tygodnie ani krokiem z domu nie ruszył, nie chodził nawet polować na wrony, ale siedział w swoim pokoju i ciągle koło czegoś majstrował. Ojciec nadziwić się nie mógł téj zmianie i coraz weseléj poglądał na syna. Pani Snopińska, wszedłszy raz do jego pokoju, zobaczyła na stole śliczny koszyczek do kwiatów, świeżutko upleciony z farbowanéj łozy, a bardzo zręcznie i misternie zrobiony. Na tokarni stał również inny, ładnie utoczony, z orzechowego drzewa.

— Dla kogo to wszystko zrobiłeś, Olesiu? — spytała Snopińska.

— To sekret, moja mamo — odpowiedział Alexander.

— Ależ koszyczek, to prawdziwie bardzo ładny! jak ty to wszystko umiész zrobić, Olutku!

— Ja, moja mamo, wszystko umiem, kiedy chcę — odpowiedział syn, kończąc oplatać koszyczek różową łozą; — to téż pan Andrzéj mówił mi parę razy, że dobrze-by było, gdybym został rzemieślnikiem.

Rozśmiał się na całe gardło. Snopińska klasnęła w dłonie z przerażeniem:

— Rzemieślnikiem? — zawołała — Jezus Marya! tyś przecie szlachcic, na co to tobie?

— Ażebym pracował — z udaną powagą rzekł młodzieniec.

— Pracował nad rzemiosłem? albo ty chłop jaki, czy mieszczańskie dziecko? Panie odpuść! ten pan Andrzéj, to godny człowiek i wielki nasz dobrodziéj, ale téż dziwak czasem! Oleś rzemieślnikiem! z takiém wychowaniem i układem! Boże zmiłuj się, jakież to głupstwo!

Wyszła rozdąsana, brząkając kluczami, a Oleś, skończywszy oplatanie koszyczka, nalał sobie kielich wina z butelki, która stała zawsze na jego stoliku, pociągnął haust potężny, upadł na łóżko twarzą do góry i po chwili chrapał, aż się rozlegało.

Wszystko zresztą szło w Adampolu zwykłym trybem. Pan Andrzéj pojechał na swoję exkursyą w Białowiezką puszczę i miał wrócić aż w końcu Lipca, pan Jerzy gospodarował i był w dobrym humorze, bo i syn w domu siedział, i sianożęcie dobrze poszło, pani Jerzowa gospodarowała także i także była w dobrym humorze, bo indyczęta w wielkiéj mnogości i bardzo pomyślnie się wylęgły.

Ale w X., młodzież, stacyonując każdéj niedzieli przed sztachetami kościoła, szeptała między sobą: „w tém coś jest!” bo przez dwie niedziele, ani Alexander, ani Wincunia, nie ukazali się wcale.

Na trzecią dopiéro niedzielę zajechała przed cmen-

tarz bryczka pani Niemeńskiéj, a z niéj wyskoczyła żwawo Wincunia i wesoło cóś zagadała do Bolesława, który jéj wysiadać pomagał. Zmierzając za ciotką ku furtce cmentarza, rzuciła przelotne spojrzenie na miejsce, na którém zwykle stawał Alexander, a gdy go tam nie zobaczyła, zarumieniła się i przyśpieszyła kroku. Z kościoła wyszła już nieco bledsza, niż była, i przynaglała ciotkę do odjazdu.

Kiedy siadała na bryczkę, któś z młodzieży szepnął:

— Coraz ładniejsza!

— Ale posmutniała — odpowiedział inny. W istocie wyglądała smutno.

Na następną niedzielę przyjechała znowu, lecz Alexandra jeszcze nie było. Tym razem uważano, że młoda dziewczyna, przechodząc przez cmentarz po nabożeństwie, była jeszcze smutniejszą, niż przed tygodniem. Ktoś znajomy przemówił do niéj, odpowiedziała z uśmiechem, ale z widoczną trudnością.

Téj saméj niedzieli po obiedzie na dziedzińcu w Niemence rozległ się turkot kół. Pani Niemeńska chodziła po alei, odmawiając nie dokończony w kościele różaniec, a Wincunia stała między klombami, trzymając w ręku kilka zerwanych do bukietu kwiatów. Para jéj nieodstępnych gołębi krążyła nad jéj głową. Gdy posłyszała turkot pod gankiem, purpurowy rumieniec wytrysnął na jéj twarz i kwiaty z rąk wypadły.

Przybyły Alexander przebiegł puste pokoje, domyślając się, że panie domu muszą być w ogrodzie. Stanął w drzwiach otwartych i ujrzał, o kilkanaście kroków od ganku, stojącą Wincunią z kwiatami u stóp, z rękoma obwisłemi na suknią i szkarłatem na twarzy.

Rumieniec i zmieszanie dziewczyny musiały mu wiele powiedzieć, a objawienie to wstrząsnęło snać zarazem i jego wrażliwém sercem, bo on, tak śmiały zawsze, zmieszał się także i przez chwilę nie mógł kroku na przód postąpić. Tak stali oboje kilka sekund, patrząc na siebie z przyśpieszoném serc biciem.

Młodzieniec piérwszy postąpił na przód.

— Dobry wieczór pani! — rzekł zniżonym nieco od wzruszenia głosem — przyjeżdżam niespodzianie; może to pani przykrość sprawia?

I spojrzał głęboko w oczy Wincuni.

— Przykrość? o nie, pan *tak dawno* nie byłeś u nas — odrzekła cicho, spuszczając spojrzenie.

Smętne i radośne uczucia, zapewne mimo woli dziewczyny, zabrzmiały w tym wyrazie: *tak dawno!* Można w nim było usłyszéć, smutne: „tęskniłam!” i radośne: „dobrze mi w téj chwili!” Alexander posłyszał to wszystko, bo oczy miał wpatrzone w jéj twarz, a uszy w jéj głos wsłuchane. Pochwycił jéj rękę i poniósł ją do ust, które drżały.

Lekki wykrzyk wydarł się z ust Wincuni; był w nim przestrach, zdziwienie, radość i boleść.

Wyrwała rękę, cała drżąca, i zawołała:

— Pójdę po ciocię!

Z temi słowami poskoczyła przez klomby, różowa sukienka mignęła za krzewami i zniknęła w alei.

Tym razem młody człowiek bawił w Niemence do późnego wieczora. Towarzystwo składało się tylko z trzech osób, gdyż Bolesław był nieobecny.

Dnia tego ktoś z sąsiednich obywateli zawezwał do siebie najbieglejszych w okolicy gospodarzy, dla wspólnego obejrzenia nowo sprowadzonéj żniwiarki i narady, jak jéj używać należy. Bolesław, znany ze swych agronomicznych wiadomości, najpiérwéj został zaproszony i chętnie pojechał na tę sesyą, tak żywo obchodzącą rolnictwo miejscowe.

Alexander tedy był dnia tego jedynym gościem w Niemence. Młodzieńcza, błyszcząca, wykwintna osobistość jego jaśniała w całym blasku, śród skromnego mieszkania i przed oczyma dwóch kobiet, przyzwyczajonych do widywania ludzi prostych, cichych wieśniaków, którzy umieli im prawić tylko o gospodarstwie.

— Kompletnie salonowy kawaler! — mówiła do siebie pani Niemeńska, wychodząc z bawialnego pokoju dla zarządzenia herbatą, a Alexander, zostawszy sam na sam z Wincunią, ozwał się po chwili wymownego milczenia:

— Pani lubisz kwiaty i masz ich mnóztwo, a jednak w Niemence jest kwiat jeden... kwiat cudowny, przy którym wszystkie gasną...

Znaczenie słów tych tłómaczył wyraz oczu młodzieńca.

Wincunia twarz odwróciła i spojrzała przez otwarte okno.

— Czy widzisz pan, jak pięknie słońce zachodzi? — rzekła, pokazując ognisty pas obłoków, za który zataczała się zwolna tarcza słoneczna.

— Jakże to piękny widok! — z uniesieniem zawołał Alexander — nigdy obraz zachodzącego słońca nie wydawał mi się tak pięknym, jak dziś... jak tutaj... Bo też tu wszystko piękne, to raj istny! Nie dziw, że mieszkają w nim aniołowie!

Pani Niemeńska wróciła, a młodzieniec skierował rozmowę na tor wielce pochlebiający gospodyni, bo zaczął wychwalać całe urządzenie Niemenki, dom, ogród, położenie dworku, i skończył na zapewnieniu, że, lubo wiele miejsc zwiedzał i mnóztwo pięknych rzeczy widział na świecie, nic nigdy równie pięknego, uroczego i poetycznego, jak Niemenka, nie napotykał.

Potém śpiewał trochę przy fortepianie, potém znowu opowiadał o Warszawie i Kowieńskich stronach, w których urodził się i wzrósł. Wrażenie, jakie nań wywierała obecność Wincuni, dodawało mu wymowy, wrodzony zaś spryt i pewna poezya, wiążąca

się koniecznie z najpiérwszą młodością, czyniły rozmowę jego niezmiernie miłą i zajmującą dla dwóch kobiet, które pędziły życie bardzo ciche i nie widziały nic, oprócz bardzo ograniczonego i ciasnego rodzinnego kątka.

Wincunia coraz bardziéj ożywiała się, oczy jéj błyskały, gwarzyła z Alexandrem i śmiała się wesoło.

Kiedy w połowie wieczoru pani Niemeńska wyszła znowu z bawialnego pokoju, dla dania rozporządzeń o wieczerzy, mówiła do siebie:

— Śliczna z nich para! jakby stworzeni dla siebie.—Westchnęła po cichu i dodała:

— Szkoda!

A Alexander, w chwili nowego sam na sam z Wincunią, wyjął z bukietu, stojącego na stole, kwiat jakiś i rzekł:

— Panno Wincento! co pani życzy temu kwiatkowi?

Wincunia pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Aby był bardzo i zupełnie szczęśliwym!

— Nie będzie nim! — rzekł porywczo młodzieniec i kwiat z gestem żalu odrzucił.

— Dla czego? — nieśmiało spytała dziewczyna.

— Alboż kwiat może być szczęśliwym bez słońca? — wymówił zwolna Alexander, patrząc jéj w oczy.

— A dla czegoż miałby żyć bez słońca? — spytało dziewczę, wzrok spuszczając.

— Bo słońce jego nie dla niego świeci — odpowiedział młodzieniec i westchnął głęboko.

Wincunia milczała przez chwilę, potém rzekła z lekkiém wahaniem:

— Może go jaka piękna gwiazda pocieszy!

— O nie—zawołał Alexander, zrywając się z krzesła; — jego nic nie pocieszy! on bez słońca swego zwiędnie i skona!

Rozmowa ta wydała-by się obojętnym słuchaczom prostą igraszką słów, ale miała ona widać głębokie znaczenie dla dwojga młodych ludzi, bo umilkli nagle i obojga ich twarze powlokły się wyrazem wzruszenia.

Po odjeździe Alexandra, Wincunia nie była już tak smutna i blada, jak po piérwszéj jego bytności, owszem, ogarnęła ją jakaś gorączkowa wesołość. Biegała po pokoju, upędzając się za kotkiem faworytem, porwała przechodzącą sługę i wykręciła się z nią walca, odebrała kluczyki z rąk ciotki, pobiegła do śpiżarni, aby wydać jutrzejszą prowizyą dla czeladzi, i wróciła do pokoju, śpiewając i w podskokach. Ale nagle usiadła przy otwartém oknie, umilkła, oparła czoło na dłoni i tak zamyśliła się, że pani Niemeńska, po odmówieniu długich pacierzy, musiała jéj przypominać, że pora już do snu się położyć. Zbudzona głosem ciotki, powstała z wolna, poszła automatycznym krokiem do swojéj sypialni, i znowu długo, długo w noc światełko, błyskające w jéj oknie,

było jedyną oznaką życia w głęboko uśpionym dworku.

Przed obrazem Najświętszéj Panny Ostrobramskiéj, zawieszonym nad jéj łóżkiem, Wincunia modliła się przez całą prawie krótką noc letnią, a gorące i smutne musiały być jéj modły, bo kiedy-niekiedy łza spływała z jéj oczu po zrumienionéj i pochylonéj pokornie twarzy.

Alexander zaś, nazajutrz po swéj bytności w Niemence, następującą prowadził rozmowę ze swym służącym, Pawełkiem, pełniącym u niego obowiązki furmana i zarazem lokaja:

— Pawełku, czy wiész o tém, że w X. jest oranżerya hrabiny?

— Wiem, paniczu—odpowiedział chłopak, ustrojony w parodyą liberyi, za którą serdecznie gniewał się pan Jerzy, ale w którą Alexander ubierał swego sługę.

— Oto więc masz pieniądze, siadaj na konia i leć co żywo do X. Pójdź tam do ogrodnika hrabiny i kup u niego bukiet z najpiękniejszych, jakie tylko są, kwiatów. Powinieneś być z powrotem przed dwunastą, a jak się dobrze sprawisz, to dostaniesz na piwo.

Po chwili, Pawełek, na pstrokatym fornalskim koniu, jak strzała pomknął się ze dworu. Ujrzał go tak pędzącego wracający z sianożęci pan Jerzy.

— Gdzie go licho tak pędzi? — rzekł do siebie, a przystanąwszy, zawołał głośno:

— Héj! nie galopuj tak! zepsujesz konia!

— Panicz posyła! — odkrzyknął Pawełek, nie zwalniając biegu, i popędził daléj.

Pan Jerzy wzruszył ramionami i zafrasowany wrócił do domu.

Tego samego dnia nad wieczór, Pawełek, na tym samym pstrokatym koniu, pędził ku Niemence. W ręku trzymał z daleka od siebie cóś starannie owiniętego w papier. Wjechał na dziedziniec dworku, zsiadł z konia i zbliżył się do ganku, na którym stała Wincunia.

— Panicz z Adampola przysyła to panience — rzekł, kłaniając się i oddając przedmiot, owinięty w papier.

Wincunia zarumieniła się i zawahała. Chciała cóś wyrzec, cofnęła się nawet o parę kroków, ale ciekawość, wzruszenie, radość, odbiły się na jéj wyrazistéj, ruchliwéj twarzy i wyciągnęła po posyłkę drżącą trochę rękę. Rozwinęła papier i ujrzała śliczny koszyczek, upleciony z farbowanéj łozy, a w nim bukiet pięknych oranżeryjnych kwiatów.

— Ach, mój Boże! jakież przecudne kwiaty! — zawołała i wbiegła do pokoju, wołając ciotki. Ale pani Niemeńska wyszła była z domu dla obejrzenia gospodarstwa, i Wincunia, nie znalazłszy jéj w pokojach, wbiegła do swojéj sypialni, postawiła kosz

z kwiatami na stole i, cała pogrążona w swém lubownictwie, przejęta rozkoszą widzenia rzadkich a pięknych roślin, poczęła wyjmować je z koszyczka i rozkładać na stole. Wspaniałe kamelie ponsowe i białe wzrok jéj zachwycały, heliotrop rozlewał delikatną woń po całym pokoju, drobne aksamitne bratki wypadały z jéj drżących palców, osypywały piersi i czepiały się do rękawów. Nagle, z pomiędzy dwóch kamelii, wysunęła się i upadła na stół malutka kartka białego papieru. Wincunia machinalnie prawie rzuciła na nią spojrzenie i wyczytała drobnemi literami wypisane wyrazy: „*Je vous aime*".

Młoda dziewczyna nie umiała po francuzku; ale ten wyraz tak pospolity, tak często powtarzany śród polskiéj nawet mowy, zrozumiała. Odskoczyła od stołu, a w oczach jéj zaćmić się musiało, bo oparła się plecami o ścianę i rękę przesunęła po czole. Po chwili pochwyciła kartkę i wpatrzyła się w wyrazy czarowne, a jakby w nich zawierał się jakiś tajemniczy, niewidzialny płomień, twarz jéj nabierała coraz gorętszéj, szkarłatnéj barwy, oczy mgliły się, promieniły i nagle wytrysnął z nich potok łez rzęsistych.

Niejedna zapewne panna, wykwintnie wychowana i starannie nauczona wszelkich towarzyskich prawideł i konwenansów, poczuła-by urazę na widok wsuniętéj między kwiaty kartki młodzieńca, i krok jego poczytała-by za zuchwały, nierozważny, nieledwie ironiczny. Ale Wincunia była dzieckiem wioski,

prostém, naiwném, czułém i żywém. Nigdy dotąd nie obrażała się na nikogo, i nie przychodziło jéj nawet na myśl, aby za dobre lub czułe słowo można się było rozgniewać.

Wyrazy, nakreślone przez Alexandra, wstrząsnęły silnie wrażliwą jéj naturą, rozbudziły i rozpłomieniły wszystkie poczucia, które w niéj dotąd tlały, taiły się i walczyły, a łzy, płynące po jéj twarzy, nie były oznaką obrazy lub żalu, ale wybuchem wezbranego serca, które tak biło, tak biło mocno, że aż się zlekka podnosiła różowa sukienka.

Czy kartka papieru umyślnie włożona była pomiędzy kwiaty, lub czy tam znalazła się wypadkiem? i dla czego Alexander dla napisania wyrazów, wprawiających w zachwyt serca, użył obcego języka? Na te pytania mógłby odpowiedzieć ten, ktoby widział młodego Snopińskiego przed kilku miesiącami w domu pani Karliczowéj. Światowa i śród wiejskich nudów szukająca rozrywek, kobieta, siedziała wówczas przy stole, otoczonym kilku poufnemi jéj osobami, między któremi był Alexander. Na stole, przeznaczone do jakiéjś gry towarzyskiéj, leżały ołówek i ćwiartki papieru. Zalotna wdówka ujęła niedbale ołówek i nakreśliła nim od niechcenia: *je vous aime.* Oczy jéj utkwione były w owéj chwili w twarz Alexandra. Młodzieniec zobaczył to, pochwycił kartkę, przeczytał, zrozumiał i nieznacznie dla wszystkich, ale widzialnie dla pani domu, wsunął do kie-

szeni ćwiartkę papieru. Kiedy posyłał kwiaty Wincuni i napełniony niemi koszyczek własnéj jego roboty stał już przed nim na stole, wyjął z archiwum różnych pamiątek kartkę pani Karliczowéj i, wiernie skopiowawszy wyrazy, napisane przez nią na kawałku papieru, wsunął go pomiędzy dwie kamelie. Pisząc, mówił do siebie:

— Topolski nie umié po francuzku, otóż Wincunia będzie myślała, że *ja* umiem. A jest to przecie wyższość nie lada!

— A może i ona nie zrozumié? — spytał siebie po chwili.

— Taki prosty wyraz! musi go zrozumiéć, a jeśli nie zrozumié, przeczuje, co on znaczy!

Tak się i stało. Wincunia wpół zrozumiała, wpół przeczuła znaczenie czarownego wyrazu i, ochłonąwszy nieco ze wzruszenia, włożyła kartkę do jedwabnego woreczka, w którym nosiła na szyi szkaplerz i święcony medalik. Chciała zrazu ją podrzéć, ale gdy palce jéj dotykały się w tym celu do papieru, usta szeptały: nie mogę! i powiedziawszy sobie w końcu: „jutro ją spalę”, schowała kartkę razem ze świętościami.

Tego samego dnia Bolesław, przyszedłszy do Niemenki, zobaczył stojący w bawialnym pokoju na stole kosz z kwiatami.

— Jakież ładne kwiaty! — rzekł — zkąd pani je ma, panno Wincento?

Wincunia patrzyła przez okno i nie słyszała, czy udała, że nie słyszy zapytania. Pani Niemeńska odrzekła za nią:

— To pan Snopiński przysłał dziś dla Wincuni; ale wystaw pan sobie, posłaniec mówił, że ten koszyczek jest własnéj roboty pana Alexandra.

Bolesław uśmiechnął się. W uśmiechu tym nie było ani podejrzenia, ani zazdrości. Sam prawy i prostych obyczajów, nie przypuszczał snać w nikim wstecznych myśli i podstępnych zamiarów, a uważał za bardzo naturalne, że każdy, kto poznał jego narzeczoną, lubił ją i przysłużyć się jéj pragnął. On sam gotów był oddać życie w jéj obronie i dla jéj dobra najcięższą spełnić pracę, jakżeby więc mógł się dziwić, że ktoś ofiarował jéj kwiaty?

— Jaki to jednak zdolny chłopak z tego Snopińskiego — rzekł, oglądając arcydzieło koszykarskiéj sztuki; — wrodzony spryt i pojętność malują się na jego twarzy, a i do mechanicznych robót wyraźne ma zdolności. Szkoda, że to wszystko marnuje się w próżniaczém i bezcelowém życiu!

Wincunia nie słyszała ostatnich słów narzeczonego, bo gdy tylko zaczął mówić o Alexandrze, prędko wyszła z pokoju; ale pani Niemeńska zaczęła bronić pięknego, *światowego*, jak mówiła, młodzieńca z takim zapałem, że aż Bolesław zaśmiał się i rzekł:

— Uważam, że pan Alexander zyskał sobie wielką łaskę u pani.

— Bo też trudno widzieć podobnie ślicznego i miłego kawalera! — odrzekła żywo staruszka.

— Zgoda więc — rzekł z uśmiechem Bolesław — już nigdy nie będę mówił źle o pani faworycie, chociaż, Bogiem a prawdą, wiele mu zarzucić można, a więcéj jeszcze rodzicom, którzy nim tak błędnie pokierowali!

Upłynęło znowu trzy tygodnie, a Alexander nie przyjechał ni razu do Niemenki. Tak mu widać kazała wzięta ku pomocy strategia. Wincunia smutniała i mizerniała widocznie, niekiedy odzyskiwała jeszcze dawniejszą wesołość, ale były to krótkie chwille, ciągle zaś albo siadywała w swoim pokoju milcząca i blada, z robótką w ręku, więcéj dumając, niż szyjąc, albo wynajdywała sobie jakie ruchliwe gospodarskie zajęcie i pogrążała się w niém z gorączkową pilnością, niby chcąc zapomnieć o myśli, nurtującéj jéj głowę i trującéj spokojność.

Tymczasem po wsiach pełném życiem wrzały gospodarskie prace. Czerwiec miał się ku końcowi, śpiew słowików cichł po gajach. Za to na łąkach wesoło dźwięczały żelaza kosarzy, ścinające bujnie porosłą trawę, po zagonach rozsiadały się gwarne gromady kobiet, pielących len i pszenicę, pługi gęsto przesuwały się po łanach, orząc ziemię pod zasiew jesienny, bo żyto wypływało już w kłosy i rolnik tuż, tuż przed sobą widział chwilę, w któréj po zdjęciu zboża nową siejbę rozpocząć będzie pora.

Bolesław był bardzo zajęty. Gospodarował w Topolinie i Niemence, a oba folwarki, lubo niewielkie, były tak dostatnio i postępowo zagospodarzone, że, w letniéj mianowicie porze, wymagały tyle niemal trudu i zachodów, ile ich wymagają obszerne, ale opieszale i wedle staréj rutyny urządzane, dobra. Od wczesnego ranka na koniu, Bolesław przebiegał pola i łąki, witał pracujących ludzi starém pozdrowieniem: pomagaj Boże! a oni odpowiadali mu wesołym chórem: dziękujemy panoczku! a gdy, wydawszy rozporządzenia i przejrzawszy roboty, odjeżdżał, oglądali się za nim życzliwie i pilnie brali się do pracy, bo lubili łagodnego choć sprawiedliwego gospodarza i wiedzieli, że odbiorą od niego rzetelną i rychłą zapłatę.

Każdego wieczora około zachodu słońca dziedziniec Topoliński roił się ludźmi, brzmiał gwarem, turkotem i ruchem. Parokonne wozy, naładowane sianem, wjeżdżały przez bramę w podwórze, gromady kosarzy stawały przed gankiem domu, a nad ich głowami brzęczały ostre kosy; wieśniaczki, w czerwonych chustach na głowach lub z polnemi makami we włosach, nadchodziły tuż za kosarzami, gwarem rozmów i donośnych śmiechów głusząc rozhowor mężczyzn; przy studni piło wodę z koryta niewielkie stado rasowego bydła, żóraw z wielkiém wiadrem pochylał się co chwila i podnosił się znowu wysoko z przeciągłém skrzypieniem; za dworem na blizkiém

pastwisku rżały pasące się konie, a ryk bydła odpowiadał im z dziedzińca. Wszystko to ogarnięte było świeżą i silną wonią siana, a wysoko na wyniosłéj lipie, wyglądającéj nad stodołą, stał na jednéj nodze bocian i klekotał co siły ku bocianicy, która, u stóp jego siedząc w gnieździe, kładła pokarm w dziobki piskląt, wysuwających się z pomiędzy zębów brony, podtrzymującéj gniazdo.

Wtedy i Bolesław wracał z pola, oddawał wierzchowca służącemu i siadał na ganku, a wkoło niego zbierali się robotnicy i robotnice. Do dźwięku kos dołączał się po chwili dźwięk drobnéj monety, rzetelny gospodarz wypłacał każdemu należny mu za pracę pieniądz, rozprawiał z kosarzami o pogodzie i zbiorach, wypytywał kobiety o dzieci ich i gospodarstwo, dawał jednym rady, innym napomnienia, umawiał się o cenę jutrzejszéj pracy, naznaczał każdemu miejsce i robotę, a gdy już wszystko było skończone, mówił uprzejmie: teraz, dzieci, idźcie z Bogiem, dobranoc wam! — Wtedy dziedziniec rozbrzmiewał gwarném pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i chłopi, pokłoniwszy się przed gospodarzem, rozchodzili się powoli; wkrótce z oddali tylko dochodziły odgłosy ich rozmów, albo w cichém powietrzu zabrzmiała przeciągła pieśń ludowa, jękiem niby unosiła się przez chwilę nad ziemią i milkła, stłumiona z innéj kędyś strony odzywającym się rozgłośnym chichotem. Echa polne porywały, i ża-

łośną nutę pieśni, i wesołą gammę śmiechu, wiązały je w odgłos z radości i smutku spleciony, niosły go po polach, aż odbiły się o ścianę gaju i konały nad strzechą Topolińskiego dworku.

Bolesław siedział na ganku, znużony całodzienną pracą, ale z twarzą pogodną i okiem spokojnie spoglądającém na ten świat Boży, którego uciechy i zadania tak dobrze zrozumiał i spełniał. Coraz uroczystsza cisza obejmowała dworek: za bramą po polach rozkładały się mgły, przejrzyste i białe jak jeziora, w głębi gaju odzywał się niewyraźny szelest, niby piérwsze senne marzenie usypiających w łonie jego istot, a gwiazdy jedna po drugiéj występowały na coraz ciemniejszém sklepieniu nieba, niby złociste duchy, wyzywające siebie z innych światów, dla przyświecania ogarniętéj nocną pomroką ziemi.

I cicho było w wiejskiéj ustroni, jak gdyby ją anioł otulił skrzydłami i oddzielił od gwarów i zamętów świata, jak gdyby sam Bóg położył na niéj błogosławiący palec i spokojem, ozdobionym pięknością, powlókł schronienie pracowitego człowieka.

Im głębsze cienie zsuwały się na ziemię, tém większa jasność spływała na oblicze Bolesława. Pogoda ducha, znającego siebie i drogi swoje, spoczywała na jego czole, a w oczach, przebiegających po szeroko bielejącéj mgłami przestrzeni pól, była spokojna, przezroczysta myśl sprawiedliwego.

Po długiéj chwili cichego rozmyślania i modlitew-

nego niemal skupienia ducha, powstawał Bolesław, i, boczną furtką dziedzińca wszedłszy w gęstwinę gaju, dążył do Niemenki. Znajdował najczęściéj Wincunią i panią Niemeńską, siedzące na ganku i oczekujące jego przybycia. Twarz dziewczyny, jak biała róża, jaśniała śród zmroku, otoczona splotem światłych warkoczy. Bolesław siadał przy narzeczonéj i gwarzyli we troje o różnych codziennych sprawach i zajściach. Minął już jednak czas, w którym Wincunia była duszą, dowcipem, śmiechem i weselem takich pogadanek. Teraz odzywała się rzadko, a jeśli zaśmiała się kiedy, śmiech jéj drżał zawsze fałszywą jakąś nutą i nagle urywał się, jakby stłumiony przykrą jakąś myślą lub uczuciem. Najczęściéj, po kilku minutach rozmowy z narzeczonym, opuszczała ganek i wkrótce z głębi domu odzywały się tony fortepianu, śpiewające pod jéj palcami proste, ale dziwnie smutne pieśni. Wtedy Bolesław opuszczał też panią Niemeńską i szedł do narzeczonéj, jakby go do niéj nieprzeparta jakaś ciągnęła siła. W słabo oświetlonym małą lampą pokoju, stawał naprzeciw niéj grającéj i wypatrywał się w twarz dziewczyny, która codzień bledszą była i zaczynała nabierać wyrazu przejmującéj boleści. Niekiedy zbliżał się do niéj i, biorąc jéj ręce, pytał z niepokojem:

— Wincuniu, czego ty taka smutna i grasz tak smutno? Czego ty taka blada i zadumana?

Dziewczyna nie odpowiadała i siliła się na uśmiech,

ale patrzyła na niego takiemi dobremi i smętnemi zarazem oczyma, że porywał ją w ramiona, całował jéj lniane włosy i zapominał o wszystkiém na świecie. Ona wyrywała się niekiedy z jego objęcia, i ze śmiechem, w którym łzy drżały, uciekała do ciotki. Czasem jednak, niby z przyzwyczajenia, powziętego od dzieciństwa, opierała czoło na jego piersi i stała nieporuszona, jak gdyby szukała u niego siły i obrony, jak gdyby na jego męzkiéj szlachetnéj piersi utulić i uspokoić chciała głowę swą, męczoną jakąś palącą, niespokojną myślą.

W dzień widywali się rzadko. Czasem tylko Bolesław, przebiegając konno około dworku Niemenki, zobaczył Wincunią, chodzącą z kluczami po dziedzińcu, lub karmiącą swoje ptaki. Zatrzymywał wtedy konia przy ostrokole i z daleka przesyłał jéj „dzień dobry". Dawniéj, w podobnych razach, dziewczyna podbiegała zawsze pod płot dziedzińca i rozmawiała kilka chwil z narzeczonym; teraz czyniła to bardzo rzadko, a najczęściéj odpowiadała mu tylko skinieniem głowy i znikała między zielenią ogrodu. Bolesław ścigał wzrokiem różową sukienkę, dopóki mu całkiem nie zniknęła z oczu i odjeżdżał, ale już wolniéj niż wprzódy, i smutek jakiś nieokreślony przesuwał się po jego twarzy.

Smutek ten zaczął wreszcie coraz częściéj na niéj gościć, chwilami po czole jego przebiegały chmury niepokoju, jak posępne zwiastuny nieszczęścia. Zda-

wało się, że bladość, która pokrywała tak świeże niedawno lice jego narzeczonéj, boleśnie raziła mu oczy, bo zachodziły one niekiedy mgłą wilgotną; często, po powrocie z Niemenki, całemi godzinami chodził po pokoju i mówił do siebie:

— Co jéj jest! co jéj jest! czy chora? czy jéj czego braknie!

Ani razu nie zapytał siebie:

— Może ona mię nie kocha?

Myśl ta daleką była od niego. Jak groźne widmo stała ona ukryta w kątku jego ustroni, ale dotknąć go nie śmiała jeszcze, powstrzymywana głęboką wiarą, jaką długie lata spędzone z Wincunią wyrobiły w jego sercu.

On siebie i ją uważał za cóś tak nierozłącznego, za cóś tak ściśle spojonego mocą przyzwyczajeń, ofiar, wspomnień i nadziei, że nie postało mu w myśli, aby ktoś trzeci, ktoś obcy mógł stanąć między nimi i rozłączyć ich serca. Mógłże ktokolwiek ukochać ją tak, jak on ją ukochał? Mógłże ktokolwiek otoczyć ją tak ojcowską, troskliwą, energiczną opieką, jaką on ją przez lat tyle otaczał? Czyliż nie on otworzył na świat oczy jéj ducha? czyliż nie on skąpał jéj piękne czoło w światłości wiedzy? Kapłan ją ochrzcił potokiem poświęconéj wody, a on zdrojem oświaty; on ją jak kwiat wypielęgnował, wypieścił, ciepłem i światłem otoczył, i wzrastającą, rozkwitającą, pijącą poezyą życia, widział obok siebie. Ona

była echem, które mu przynosiło wspomnienia lat młodzieńczych, gdy do Niemenki prowadził chwiejne kroki swego starego ojca, a ona, drobna wówczas dziecina, wybiegała naprzeciw niemu i zawisała u jego szyi. Patrząc na nią, witał pamięcią owe długie zimowe wieczory, w których, przy świetle lampy, młodziuchna dzieweczka, z rozpuszczonym srebrzystym warkoczem, siedziała obok niego, a on przelewał w nią uczucia wiary i miłości, które w jego własnéj gorzały piersi, i myśl jéj zdumioną a zachwyconą prowadził od drobnego kwiatka i robaczka, aż do tych wielkich mężów olbrzymów, którzy, śród długiego ciągu dziejów ojczystych, jaśnieją niby gwiazdy nieśmiertelne. A potém, jak z niego na nią przelała się oświata, tak z niéj na niego trysnął zdrój miłości, męzkiéj, silnéj, przenikającéj wszystkie zakątki jego ducha i wszystkie fibry ciała. I stała się mu ona tęczą nadziei, która niby most kwiecisty usłać się miała między dotychczasowém jego istnieniem samotnika, a ową krainą rodzinnego życia, którą uważał za szczyt człowieczego szczęścia i obywatelskiéj cnoty, z któréj wychylały się ku niemu i uśmiechały różane główki drobnych istot, co go zwać będą słodkiém imieniem ojca i które on powiedzie na szerokie drogi rozumu i cnoty i nauczy składać życie i serce na ołtarz prawych czynów i wielkich miłości. I te wszystkie węzły, nadzieje, uczucie głębokie, jak dno morskie, co oplotły i spoiły

go z tą białą, jasnowłosą dziewczyną, miały-by pęknąć, rozwiać się i zostawić go śród ruiny najdroższych marzeń życia, z piersią rozdartą i sercem w łzach zawodu skąpaném? I to dziecię, z piękną twarzą i takiém przejrzystém łagodném okiem, miałoż-by nie pojąć go, nie zważyć na szali przeczuć miłości jego z miłością, jaką mógł jéj dać kto inny? I miałoż-by ono odwrócić od niego swoje słodkie lice i wyciągnąć ręce do drugiego, do obcego, nieznanego, który upodoba ją może jako igraszkę chwili, jako piękne cacko, a nie jak jedyne szczęście i najwyższą nadzieję życia? Nie, to być nie mogło! nie mogło być wedle praw bozkich i ludzkich przypuszczeń, to się nawet myśli jego nigdy nie nasuwało! Długie i pełne niepokoju rozmyślania jego o narzeczonéj kończyły się zawsze przypuszczeniem, że musi ona być chorą.

Nie mylił się; Wincunia była chorą na straszną, śmiertelną nieraz chorobę bezmyślnego, instynktowego pociągu, który graniczy blizko z namiętnością, a tém gwałtowniejszy bywa, im w młodszém i bardziéj dziewiczém zamieszka sercu. Była ona chorą na tę hallucynacyą kobiecego serca, która w pięknéj twarzy mężczyzny każe widziéć piękną duszę, przecudne obrazy ukazuje tam, gdzie są zwodne tylko miraże, szych pokrywa złocistym połyskiem i błyszczy nim jak złotem prawdziwém.

Dziewice młode, czyste a nieświadome życia i stra-

sznych jego tajemnic! jeśli poczujecie na sobie palec téj strasznéj choroby serca, wzywajcie coprędzéj Boga na pomoc i zbrójcie się w cały zasób siły, woli i rozumu, aby odeprzéć potwór nieszczęścia. Bo to, co zwiecie miłością, a co instynktem jest tylko i ślepą siłą natury... to nieszczęście, stokroć większe niekiedy, niż śmierć, bo nieszczęście całego życia, długie konanie w męczarniach zawodu i rozczarowania.

Dopóki w pięknych oczach mężczyzny, z całą świadomością i uznaniem rozumu, pięknéj nie wyczytacie duszy, nie mówcie: „kocham!” bo prędko bardzo, prędko potém zbladłe usta wasze wyszepcą: „cierpię!” Powabna postać i twarz młodzieńcza nie dadzą wam spokoju, ani szczęścia, ani siły na życie, jeśli serce mężczyzny, z którym złączycie przyszłość, będzie zimne, głowa pusta i ramię słabe. Kiedyś, kiedyś poznacie błąd swój i łzami wielkiego żalu opłaczecie zmarnowane swe istnienie, ale już będzie za późno. Wejście na jakąkolwiek drogę życia łatwe, ale odwrót trudny... niepodobny czasem, a ciężko, bardzo ciężko... za jednę chwilę szału... za krótką porę rozkosznych uniesień, długie lata przepędzać w żalu, samotności serca i myśli, w beznadziejnéj rozpaczy. Myślcie o tém, dziewice młode, i strzeżcie się choroby bezmyślnego instynktu, strzeżcie się uledz hallucynacyi serca!

Bolesław mało znał kobiet w swém życiu, nie

wczytał się we wrażliwą ich serc naturę, nie wiedział, jakie tajemnice płomieni kryją się nieraz w piersi dziewiczéj, tak spokojnie oddychającéj na pozór. Narzeczoną swoję uważał za anioła czystości uczuć i myśli, i takim była ona w istocie, ale nie wiedział także o tém, że najniebezpieczniejszy jest każdy zły popęd wtedy, gdy zjawi się u bardzo młodéj i czystéj istoty, bo nie znajduje punktu oparcia, ani w rozumie, ani w doświadczeniu, i tłumiony czystością myśli, roznieca się i wzmaga młodością serca.

Bolesław ani wiedział o istnieniu chorób takich, a zmianę, dojrzaną w narzeczonéj, przypisując słabości fizycznéj, przemyśliwał nad tém, dokąd się udać po lekarzy dla niéj. Wszyscy, których znał w okolicy, byli, w jego rozumieniu, za mało biegłymi, aby im mógł powierzyć swój skarb najdroższy. Gdybyż przynajmniéj wiedział, co jéj było: czy bolała ją głowa, tak pysznie zdobna w srebrzyste włosy? czy ból gnieździł się w téj piersi, w którą on pragnął przelać wszystkie rozkosze ziemi? Daremnie pytał; ona milczała, a tylko patrzyła na niego czasem tak łagodnie i smutnie razem, że serce drżało mu z obawy i żalu.

Nie zawsze jednak Wincunia była taką. Niekiedy odzyskiwała dawniejszą wesołość, nuciła, biegała i szczebiotała, jak dawniéj, i świeże rumieńce znowu na jéj twarz wstępowały; a chociaż były to krótkie tylko błyski, po których bladła znowu i zapadała w dziwne jakieś zadumy, Bolesław jednak pocieszał

się niemi, ilekroć je ujrzał, i uspokojony odchodził, mówiąc do siebie:

— Miłość moja dla niéj przesadza pozory złego. To zapewne lekka słabość, albo dziecinna zmiana humoru! To przejdzie prędko! O, gdyby już prędzéj była ciągle przy mnie, wyleczył-bym ją szczęściem i miłością!

Po takiéj myśli oddawał się pracy i znowu na czas jakiś stawał się spokojnym.

W piérwszych dniach Lipca, po długiéj niebytności, Alexander znowu zawitał do Niemenki. I tym razem Bolesław był nieobecny, bo wyjechał do powiatowego miasta, dla załatwienia jakichś spraw majątkowych. Alexander dowiedział się o tém jego wydaleniu się z okolicy od swego Pawełka, i może umyślnie wybrał dzień ten dla widzenia się z Wincunią. Zapewne sądził, że w nieobecności narzeczonego serce dziewczyny bardziéj jest bezbronne i łatwiéj przyjmie w siebie wrażenia doznane. Może téż szaraczkowy szlachcic, jak nazywał Topolskiego, imponował mu swoją powagą i rozumem, a tém sprawiał przykrość jemu, przywykłemu do królowania mocą swéj pięknéj twarzy i zgrabnéj postaci, wspomaganéj wielką dozą śmiałości. Bądź co bądź, Alexander przybył do Niemenki wtedy, gdy był pewny, że Topolskiego tam nie spotka.

Tym razem jednak nie był tak wesołym, jak wprzódy, owszem, oblókł się cały w wymowną melancholią,

mówił o cierpieniach życia, o tęsknocie, o śmierci, westchnął kilka razy, siedząc obok Wincuni, w końcu powiedział, że zamierza wkrótce na zawsze opuścić okolicę. Gdy to mówił, Wincunia stała na przeciw niego, a usłyszawszy jego słowa, zbladła i oparła się ręką o poręcz krzesła.

Dojrzał bolesne wzruszenie jéj młodzieniec i, przy sposobności, rzekł do niéj z cicha:

— Muszę odjechać, aby zapomniéć... pojadę w świat, bo czuję, że jeśli dłużéj zostanę tu... blizko Niemenki... zginę i złamię sobie życie na zawsze!

Wincunia podniosła na niego wzrok zamglony wzruszeniem i—dziwna rzecz! na twarzy jego dojrzała prawdę. Młodzieniec zapalił się sam przy fajerwerku, który urządził na zapalenie serca dziewczyny. Czy zagorzał w nim ogień prawdziwéj miłości, czy tylko błędny płomyk wrażenia? ani wiedział, ani pytał siebie o to, ani chciał pomyśléć przez chwilę, co jedno, a co drugie znaczy. Opuścił Niemenkę silnie wzruszony; po powrocie do domu, długo chodził po swoim pokoju, a przed oczyma wciąż mu migotała twarz Wincuni. Stanął i trzy razy powtórzył prawie głośno:

— Kocham! kocham! kocham! śliczna, czarująca, zachwycająca dziewczyna!

Potém podniósł rękę z tryumfującym gestem i zawołał:

— O, ale i ona mną zajęta! jeszcze trochę, a To-

polskiemu da harbuza!... cha, cha, cha! — Chodził znowu i znowu stanął.

— Ba! — rzekł — ale co będzie potém? i co z tego wszystkiego będzie?

Kręcił jasny wąsik i zamyślonemi oczyma patrzył w przestrzeń.

— Bałamucić jéj tak długo przecież nie mogę, a porzucić... szkoda, słowo daję! najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedy widziałem! Zresztą, nie jestem zupełnie pewny, czy mię kocha, a jakbym się usunął, Topolski wziąłby ją, jak swoję. O, co na to, to za nic nie pozwolę! Ale jakże zrobić? At, ożenię się i koniec, *vogue la galère!*

Ostatnie słowa były znowu korzyścią, odniesioną z częstego przestawania z panią Karliczową. Powabna wdówka miała zwyczaj wymawiać je w chwili puszczania się na płytkie wody swoich motylkowych miłości. Alexander podchwycił te francuzkie wyrazy i spytał, coby znaczyły. „Niech co chce będzie, a dogodzę mojéj fantazyi", wytłómaczyła czarnooka pani.

— Ożenić się? — powtarzał Alexander — a złota swoboda? miłe kawalerskie życie? Taki-m jeszcze młody!... no, ale jakże inaczéj zrobić? Wincunia śliczna i Topolskiemu jéj nie dam! słowo daję, nie dam!

Po długiém jeszcze rozmyślaniu i chodzeniu po pokoju, Alexander zbliżył się do stolika, na którym

nieustannie stała butelka z ulubionym mu rodzajem wina, podniósł rękę w górę, klasnął palcami i rzekł z determinacyą:

— Ożenię się!

Następnie jednym haustem wychylił kielich, zgasił świecę i usnął jak zabity.

IX.

Bal u dzierżawcy.

Południe zbliżało się, we dworze Adampolskim i na otaczających go polach ruch był od kilku godzin wielki; oboje państwo Jerzowie oddawna krzątali się koło gospodarstwa, a Alexander siedział jeszcze w swoim pokoju przed lusterkiem, głęboko pogrążony w wykończaniu szczegółów swéj toalety. Po wczorajszéj bytności w Niemence spał długo, i w snach musiał snać ciągle widzieć Wincunią, bo, podkręcając przed zwierciadłem jasny wąsik, przygładzając włosy, cichutko wymówił jéj imię z pół figlarnym, pół radosnym uśmiechem. Był bardzo zamyślony, chwilami zdawał się zupełnie zapominać o niedokończonéj toalecie, machinalnie patrzył na twarz swą odbitą w lusterku i, to uśmiechając się, to jakby w wewnętrznym namyśle pokręcając głową, motał sobie coś ciągle i motał na pieszczony wąsik.

Nagle brzęknęły w pokoju klucze i

wiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ją w rękę.

— Dobrze, że mama przyszła — rzekł — mam z mamą do pomówienia.

— Cóż takiego, Olutku? — spytała Snopińska, siadając naprzeciw syna.

— Myślę żenić się — odpowiedział krótko bez wszelkich preliminaryów.

Snopińska klasnęła rękoma, pół z przestrachem, pół z radością.

— Z kimże, moje dziecko? — zawołała.

— Z Wincunią Niemeńską.

— Ależ ona już zaręczona, Olutku.

— W tém i sęk, moja mamo. Że ona mną trochę już zajęta, jestem tego pewny; no, naturalnie, że i ja ją kocham, bo bez miłości pewnie-bym się nie żenił; ale ponieważ jest zaręczoną, ma skrupuły, i o to idzie, aby o nich zapomniała. Bo też, Bogiem a prawdą, nie warto, żeby takie śliczne stworzenie robiło z siebie ofiarę dla takiego szlachciury, jak ten Topolski.

— Już to pewno, mój Olutku — rzekła po chwili namysłu Snopińska — że ty do niéj daleko lepiéj pasujesz, niż Topolski. Patrzyłam na was, jak przeszłéj niedzieli szliście razem z kościoła przez cmentarz, i myślałam sobie właśnie, że śliczna i dobrana z was para, i nie tylko ja tak myślałam, ale i inni to mówili.

Alexander z zadowoleniem pokręcił wąsika; Snopińska mówiła daléj:

— Przytém panna Niemeńska, to wcale niezła partya, ma swój folwark i, jak mówią, pięknie zagospodarzony. Tę część, która należy do jéj ciotki, ojciec odkupił-by dla ciebie i jestem pewna, że nic-by przeciw temu małżeństwu nie miał. Ale jakże zrobisz, żeby zrekuzowała narzeczonego?

— O tém właśnie chciałem pomówić z mamą, trzeba abyśmy wydali bal.

— Bal?— zawołała Snopińska, składając ręce.— Jezus, Marya! a to na co?

— Trzeba abyśmy wydali bal — powtórzył Alexander z powagą — ale to bal, co się zowie. Zrobi to na niéj wrażenie. Ja szepnę jéj do uszka, że zabawa ta na jéj cześć urządzona, blask i gwar odurzą ją i olśnią, w tańcu rozmarzy się, jak to zwykle z panienkami bywa, ja tymczasem oświadczę się i ręczę mamie, że wyjedzie ztąd tak rozkochana, iż jak na drugi dzień pojadę do Niemenki, przyrzecze mi, a Topolskiego zrekuzuje.

— Jakie to w téj twojéj głowie pomysły! — rzekła, zachwycona synem, Snopińska.—Może i masz racyą, ale jakże to będzie? Ja nigdy balu nie wydawałam; i, prawdę rzekłszy, nigdy nawet na żadnym nie byłam; nie mam więc ani wyobrażenia, jak to tam na balu być powinno.

— Niech już mama o nic się nie turbuje, ja sam

wszystko biorę na siebie. Kucharzy i lokajów najmę tych, którzy mieszkają w rezydencyi hrabiny na wypadek jéj przyjazdu; oświetleniem domu i przyjęciem gości sam zarządzę. Przecież znam się na tém, bo nie na jednym balu byłem, i u pani Karliczowéj, i gdzieindziéj.

Snopińska zamyśliła się i machinalnie brząkała kluczami.

— Ależ moje dziecko — rzekła po chwili — to będzie strasznie wiele kosztować!

— Czyż mamcia żałuje pieniędzy dla mego szczęścia? — rzekł Alexander pół żałośnie, pół pieszczotliwie.

— Już to wiadomo, że ja dla twego szczęścia tobym i sama w ogień wskoczyła, ale widzisz, Olutku, co ojciec...

— Ojciec! — podchwycił Alexander — z nim będzie trochę trudna sprawa. No, ale jak my z mamą uweźmiemy się oboje, to wszystko dobrze pójdzie. Ja wiem, że ojciec chce, abym ożenił się; otóż powiem mu, że jeżeli nie z Wincunią, to nigdy z nikim nie ożenię się, a co nawet i nie zupełnie skłamię, bo ta dziewczyna tak mi wlazła w głowę, że ją tylko widzę we śnie i na jawie. Nakoniec i to nasunę ojcu na uwagę, że przecież wezmę niezły posag.

— A niezły, niezły — powtórzyła matka — słychać, że ten Topolski tak pięknie urządził Niemenkę,

że daje ona tyle dochodu, co Adampol, choć pięć razy większy...

— Ot, widzi mama! a jak ja wezmę Niemenkę, to pewno daleko lepiéj jeszcze potrafię ją urządzić, niż Topolski, bo ożeniwszy się i do gospodarstwa wezmę się nie na żarty.

— Dobrze, dobrze, mój Olutku, trzeba dziś będzie o tém wszystkiém pomówić z ojcem. Ale kiedyż to ten bal być powinien!

— Naturalnie, że najstosowniéj będzie na Ś-tą Annę, bo to imieniny mamy, będzie zatém pretext wyborny do zabawy. Trzeba żeby mama przedtém pojechała z wizytami w sąsiedztwo: naprzód do Niemenki, potém do pani Karliczowéj, potém...

— Ja mam oddawać tyle wizyt! — krzyknęła przestraszona Snopińska — moje dziecko, a toż na co?

— Bo inaczéj nikt z dam nie przyjedzie do nas...

— Ależ ja chyba do téj pani Karliczowéj nie pojadę, to taka pani...

— Niepodobna, moja mamo, ja tam bywam tak często! Zresztą, to najbogatsza obywatelka w okolicy i przyniesie nam honor swoją bytnością.

— Ależ mój Olutku, to będzie straszna dla mnie fatyga i subjekcya... ja nie przyzwyczajona...

— Moja mamciu! moja droga mamulku! czyż mamcia nie zrobi tego dla mnie, dla mego szczęścia?

— mówił Alexander, całując matkę po rękach i przymilając się do niéj.

— Ależ zrobię, zrobię, mój koteczku! pojadę wszędzie, gdzie zechcesz, byleby to było dla twego dobra; tylko z ojcem spraw się jakkolwiek — odrzekła Snopińska, całując syna.

W parę godzin po téj rozmowie między matką i synem, pan Jerzy, zaatakowany przez obojga, wykrzykiwał ze zdziwieniem i przestrachem:

— Bal! bal! a co wam do głowy przyszło? w same żniwa bal wydawać? czyście powaryowali oboje! Słuchaj, Anulku, ty sama nie wiész, co gadasz, a ten błazen to prędko cały dom do góry nogami zechce przewrócić!

— Jeżeli papa nie zgodzi się spełnić mojéj prośby, będę bardzo nieszczęśliwy! — pokornie i ze smutną miną rzekł Alexander.

— Nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! — powtórzył pan Jerzy, a oczy jego, strasznie zafrasowane, biegały po wszystkich kątach pokoju.—Czém-że ciebie u licha ten przeklęty bal uszczęśliwi?

— Da mi za żonę kobietę, bez któréj żyć nie mogę — smutniéj jeszcze odparł młodzieniec.

Wiedział, że trafi w słabą stronę ojca; pan Jerzy zmiękł trochę, lubo bronił się jeszcze energicznie. Alexander ukląkł przed nim i zaczął całować go w ręce i kolana.

— Mój ojczulku—mówił—mój papunieczku naj-

droższy, najlepszy! czyż papa tego jedynego, tego ostatniego dobrodziejstwa dla mnie uczynić nie zechce? Ja wiem, że papa już bardzo wiele na mnie wydał, że lepszego ojca na całym świecie niéma, ale niech papa jeszcze ten raz zlituje się nade mną...

Snopińska, stojąc za krzesłem męża, szlochała mu nad uchem.

— Jerzy — mówiła chlipiąc — zgódź się na to, o co ciebie jedyne dziecko prosi! czy ty jesteś tyran jaki, albo co? Czy to moje prośby nic już u ciebie nie warte? A pamiętasz, jak to bywało dawniéj, kiedy to tylko cośmy się pobrali, toś mówił: „o co ty mnie, Anulku, poprosisz, wszystko zrobię!” Tak to dotrzymujesz obietnicy! może to tak dla tego, że ja teraz stara i brzydka, a żeby jaka młoda i ładna kobietka o co cię poprosiła, tobyś zaraz uczynił. O, ja nieszczęśliwa! taka-to nagroda dla mnie za dwudziesto-pięcioletnie z tobą dobre pożycie! Patrz, oto dziecko ledwie nie płacze, tak ciebie prosi... wszak to jedynak, a ty z sobą do grobu pieniędzy nie poniesiesz; zresztą jak ożeni się i weźmie posag, to wróci tobie ten wydatek...

Pan Jerzy krzywił się, marszczył, zatykał uszy palcami, mruczał pod wąsem: w same żniwa! powaryowali, w same żniwa! — ale w końcu rzekł do syna, klęczącego ciągle przed nim:

— No, dość już tego! wstań, Olesiu, masz tę jednę dobrą zaletę, że, jak czego chcesz, to prosisz pokornie.

A ty, Anulku, czegoż płaczesz? wiész przecie, że ja na twoje łzy patrzéć nie mogę! Niech już tam będzie po waszemu; tylko słuchaj, Olesiu, jak ty mi po tym balu nie ożenisz się z panną Niemeńską, to...

— Ożenię się, papunieczku, ożenię się! — zawołał, podskakując Alexander i po kilkadziesiąt razy pocałował ręce ojca. — Taka cudna dziewczyna! Słowo daję! że jak ją papa zobaczy, to sam w niéj rozkocha się, choć pewnie mamie o tém nie powié — dodał figlarnie.

— Oj, ty sowizdrzale! — rzekł pan Jerzy, mimowoli rozśmieszony. — A wieleż tam pieniędzy na ten bal trzeba będzie?

Tu był najdrażliwszy punkt całéj sprawy. Alexander zażądał bardzo wiele. Oprócz wydatków na wiktuały, oświetlenie, najęcie służby, trzeba jeszcze było powozu dla oddawania wizyt, bo nikt przecie nie jeździ bryczką gości na bal spraszać; trzeba było nowych mebli, przynajmniéj do bawialnego pokoju, muzyki z powiatowego miasta etc. Dzierżawca brał się za głowę, ale wnet Alexander przypadał mu do kolan, ukochana Anulka zaczynała szlochać i nazywać go tyranem, a pan Jerzy, zatykając uszy palcami, wołał: no cicho już, Anulku, cicho! niech już będzie muzyka, ale na powóz nie zgodzę się za nic! — Nowe prośby syna, nowe wyrzuty żony. — Niechże już będzie powóz, ale mebli za nic w świecie nie kupię! — protestował oblężeniu.

W targ w targ, dzierżawca przystał na wszystko, z wyjątkiem mebli i, z niesłychanie zafrasowanemi oczyma, nasunąwszy czapkę na uszy, poszedł w pole, mrucząc pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Po odejściu ojca, Alexander klasnął w dłonie i rzekł do siebie:

— Wszystko dobrze! Na meble pożyczę pieniędzy od Szlomy, bo mam u niego kredyt, a ojcu powiem, że je tylko nająłem. Bal będzie pyszny i Wincunia moja, a Topolski zjé harbuza!...

Od owego dnia wszczął się w Adampolu ruch nadzwyczajny. Alexander codziennie gdzieś wyjeżdżał i zwoził do domu meble, prowizye, rośliny wazonowe i t. d. Jednéj rzeczy nie mógł nabyć w całéj okolicy: kinkietów i żyrandoli. Wielce go to bolało i dręczyło. Któż kiedy widział, aby na balu paliły się świece w prostych tylko świecznikach? Już to o żyrandolach nie było co i myśléć, bo te z nazwy zaledwie znane były w sąsiedztwie, a naocznie widzieli je tylko ci nieliczni szczęśliwcy, którzy wnikali niekiedy do wnętrza pałacu niezamieszkałéj rezydencyi hrabiny. Kinkiety znajdowały się w wielkiéj liczbie na ścianach salonów pani Karliczowéj. Alexandrowi przyszło na myśl, aby poprosić uprzejmą dla niego wdówkę o pożyczenie mu tego balowego aparatu. Ale rozmyślił się; czy ambicya wstrzymała go od pożyczenia czegokolwiek u bogatéj sąsiadki, czy nie czuł się w usposobieniu

jechania do niéj, będąc tak żywo zajętym Wincunią; dosyć, że zamknął się pewnego dnia w swoim pokoju i z rozpaczliwą energią wziął się do własnoręcznego wyrabiania kinkietów. Dwa dni toczył i heblował, od rana do późnéj nocy, aż mu pot kroplami z czoła spływał, ale na trzeci dzień kinkiety były gotowe. Składały się one z kilkunastu półkuli, pięknie wyrobionych z orzechowego drzewa, zaopatrzonych w dziurki do wsadzania świec i w osobne kółka, służące do zawieszania całości na gwoździach. W dzień balu półkola te miały być pozawieszane na ścianach i ozdobione wieńcami. Był to pomysł oryginalny, prawdziwie sielski, ale zręcznością wykonania przynosił zaszczyt dobremu smakowi młodzieńca i świadczył raz jeszcze o jego wielkich zdolnościach do mechanicznych robót.

Na dwa tygodnie przed balem, rozpoczęło się oddawanie wizyt sąsiedztwu przez obojga państwa Snopińskich. Ku temu celowi kupioną została kareta hrabiny, która od niepamiętnych już lat stała nieużywana w wozowni i niewiadomo jakim sposobem dostała się na własność komisarzowi hrabiny, Kotowiczowi. Sprzyjaźniony z Kotowiczem, Alexander, wiedział o jéj istnieniu i, choć to była odwieczna landara na stojących resorach i z okropnym murzynem drewnianym w czerwonéj czapce, sterczącym w tyle pudła, kupił ją za małą summę, co wprowadziło w dobry humor pana Jerzego. Alexander kazał zrąbać

murzyna, który wielkim strachem nabawiał spotykanych na drodze żydków, obić wewnętrzne materace nową wełnianą materyą, jako tako oczyścić zczerniałe bronzy; a gdy wszystko już było skończone, odstąpił parę kroków od tak odnowionéj landary i, przypatrując się jéj z głębokim namysłem, rzekł:

— „Jeśli cię kto o imię zapyta, powiedz żeś kareta!” Oto antyk, kiedy antyk! szczególniéj kiedy ten murzyn w czerwonéj czapce stał z tyłu! No, murzyna już chwała Bogu niéma, ale zawsze to Bóg wié, do czego podobne!

Zmarkotniał i znać było po kierunku wejrzenia, że pocieszała go tylko mitra hrabiowska, która, odczyszczona, odświeżona żółtą barwą, jaśniała na drzwiczkach ze spłowiałym lakierem.

— Ha! — rzekł w końcu młodzieniec — cóż robić? kiedy papa na lepszy powóz za nic pieniędzy dać nie chciał. Pani Karliczowa, zresztą, mówiła niedawno, że antyki wchodzą w modę. Powiem wszystkim, że to kareta, którą moja matka do ślubu jechała; będzie to znak, że karety dawno już exystują w naszym rodzie!

Parsknął głośnym śmiechem, i dodał:

— Cóż robić? zawsze to jednak kareta! jak ożenię się, kupię sobie lepszą! naturalnie!

Pewnego pięknego dnia, pani Snopińska w jedwabnéj kraciastéj sukni, którą wydobyła z głębi jakiegoś kufra, w starożytnéj atłasowéj kardynałce, oszytéj

szeroką torsadą, w czepku o fioletowych wstążkach, wsiadła do owéj karety, wciskając na ręce żółte rękawiczki, sprowadzone dla niéj przez syna. Za połowicą wtłoczył się do landary pan Jerzy, w białéj kamizelce i ślubnym granatowym fraku, ze strasznie zafrasowanemi oczyma i z białemi rękawiczkami, które mu syn wetknął w ręce na ganku.

Alexander pomagał tylko rodzicom wsiadać do karety, a sam zostawał w domu, bo jechali oni do Niemenki, a on umyślił tam im nie towarzyszyć. Należało to snać także do jego strategicznych planów. Może zbyt częstém bywaniem w Niemence nie chciał obudzić podejrzeń i uwagi Topolskiego, albo może przydłuższą nieobecnością spodziewał się wzniecić w Wincuni tém żywszą chęć zobaczenia go na balu. Pragnął on niezmiernie widziéć dziewczynę, bo w ostatnich dniach aż pobladł trochę od tęsknoty, ale powstrzymał się i nie pojechał.

Furman krzyknął na konie, które, po kilku wysileniach, zdołały zaledwie ruszyć z miejsca landarę; cały ekwipaż ciężko i zwolna potoczył się od ganku, a pani Snopińska wychyliła się przez okno i zawołała do stojącéj na ganku sieroty, Antosi:

— Pilnuj-że tylko dobrze kluczy!

Pan Jerzy wysadził téż głowę, chciał snać coś polecić Alexandrowi, ale machnął tylko ręką, nic nie powiedział i schował się w głąb' powozu, szepcąc pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Ta sama scena powtórzyła się nazajutrz. Państwo Snopińscy pojechali z wizytą do pani Karliczowéj. Pani Jerzowa, na samę myśl spotkania się z bogatą i światową damą, bladła i nie wiedziała co począć ze swemi rękoma, odzianemi w żółte rękawiczki. Tym razem Alexander nie został w domu. Gdy rodzice wsiedli do karety, on wskoczył na swoję leciuchną najtyczankę i, minąwszy ciężką landarę, popędził w awangardzie, aby znakomitéj swéj w okolicy przyjaciółce oznajmić wizytę rodziców.

Wyjazdy te powtarzały się przez dwa tygodnie prawie codzień. Pan Jerzy był zły i bardzo zafrasowany. Po powrocie z każdéj wizyty, chodził po pokoju, z rękoma w tył założonemi i szeptał pod wąsem:

— I jaż to wszystko muszę robić dla tego błazna, w same żniwa!

Albo powtarzał sobie z wyrzutem:

— Dalibóg zbłaźniłem się! w same żniwa! — Ale zawsze dodawał:

— Może téż ożeni się i da Bóg ustatkuje! w same żniwa!

Pani Snopińska, wróciwszy do domu, zrzucała z siebie co prędzéj kraciastą suknią i atłasową kardynałkę, układała je starannie w kufrze i, odziawszy się w płócienkowy tułubek, biegała z kluczami od śpiżarni do śpiżarni, aby przekonać się, czy w czasie jéj nie-

obecności nie zaszła jaka malwersacya. A Alexander chodził po swoim pokoju, klaskał tryumfalnie w palce i przyśpiewywał:

— Wincunia będzie moja! będzie moja! a Topolski dostanie odkosza!

Jeździł i on z wizytami do młodzieży, zapraszając wszystkich na imieniny matki. Był także w Topolinie. Bolesław zdziwił się trochę niespodziewanemi odwiedzinami, ale gdy dowiedział się, o co idzie, uprzejmie przyjął zaprosiny i przyrzekł, że będzie na zabawie. A kiedy mu jeszcze Alexander powiedział, że zabawa ta ma być urządzoną głównie dla sprawienia przyjemności jego matce i parę razy z czułością odezwał się o niéj, Bolesław pomyślał: ma i on swoję dobrą stronę, kiedy kocha i szanuje rodziców! i przy pożegnaniu serdecznie uścisnął rękę młodzieńca, którego, zwyczajem prawdziwie dobrych ludzi, więcéj żałował, niż potępiał.

W Niemence ruszano się także bardzo. Pani Niemeńska chciała ukochaną swą synowicę pokazać sąsiedztwu w całym blasku jéj piękności, a Wincunia z gorączkowém zajęciem gotowała się do przyszłéj zabawy. Bolesław rad był, że ujrzał ją znowu ożywioną i wesołą i mówił do pani Niemeńskiéj:

— Dobrze, że Wincunia rozerwie się, może też jéj tego trzeba było!

A w duchu dodawał:

— Siedmnasty rok ma swoje prawa! Niech mię Bóg broni, abym się im sprzeciwiał!

I sam przywiózł jéj z powiatowego miasta białą krepową sukienkę, różową szarfę i różany wianek na głowę.

Nadszedł nareszcie dzień Św. Anny, dzień z niecierpliwością oczekiwany przez całe sąsiedztwo. Wnętrze Adampolskiego domu zmieniło się, jakby za dotknięciem rószczki czarnoksiężkiéj. A był to dom wcale nie ciasny, bo służył niegdyś za rezydencyą rodzicom hrabiny: pokoje w nim były obszerne; posadzki, niegdyś piękne, dochowały jeszcze resztek gładkości i połysku; na ścianach, pomalowanych w jaskrawe barwy, ale trwałym staroświeckim sposobem, gdzie niegdzie tylko znaczne były uszkodzenia, ręką czasu dokonane. W bawialnym więc pokoju, na miejscu prostych jesionowych sprzętów, stanęły wcale zgrabne mahoniowe mebelki, kupione sekretnie za pożyczone od Szlomy pieniądze. Pana Jerzego wyrzucono z sypialni i gabinetu, wraz z łóżkiem, parawanem i z staroświeckiém biurkiem, pełném ksiąg rachunkowych, a w obu pokojach ustawiono natomiast stoliki do kart i przekąsek; toż samo stało się z sypialnią pani Jerzowéj, z któréj sztuki szarego płótna, naprzędzione motki i podobno kosz z kurą, wysiadającą na jajach, poszły na tymczasowe wygnanie do pokoiku Antosi w oficynie. Z najobszerniejszego pokoju wyniesiono magiel, kufry z bielizną i deskę do prasowa-

nia, a urządzono z niego salę do tańca. Tam, na świeżo wybielonych ścianach, pozawieszano kinkiety roboty Alexandra i owito je wieńcami z nieśmiertelników i chabru; pod ścianami ustawiono wszystkie krzesła, jakie się dały zebrać w całym domu; u okien urządzono klomby z przesadzonych w wazony kwitnących róż i innych roślin. Inny znów pokój, zwykle pusty, a obszerny, obrócono na salę jadalną; zresztą na posadzkach leżały gdzie niegdzie świeżo kupione dywany, w złym wprawdzie gatunku, ale nowe i kwieciste; po stołach stały lampy, a po całym domu kręciło się kilku najętych lokajów w białych bawełnianych rękawiczkach. Dwóch kucharzy hrabiny sporządzało w kuchni pasztety, torty, lody, limoniady i t. d. Alexander zaś, od rana ubrany, ufryzowany, uperfumowany, biegał z kuchni do kredensu, z kredensu do pokojów, dysponował, poprawiał, ustawiał, czuł się widocznie w swojéj sferze, a żadnéj nie opuścił sposobności, aby nie pocałować w rękę ojca lub matkę i nie przymilić się do nich, czém rozmarszczał czoła i rozpogadzał zakłopotane oczy rodziców, odurzonych i zmartwionych tym, tak niezwykłym dla nich, a tak kosztownym gwarem i zamętem w domu.

Gdy nareszcie, o zmroku, na dziedzińcu Adampolskim zapaliły się kolorowe latarnie, w pokojach zapłonęło mnóztwo świateł, wszystko tam wyglądało dość ładnie i gustownie. Znać było wprawdzie w całém urządzeniu pośpiech, dorywczość, łataninę i oszczędność, nie

było tam owéj łatwéj i bez zarzutu elegancyi domów z dawna przywykłych do podobnych przyjęć; ale też, dzięki gustowi i sprytowi Alexandra, nic nie wydawało się śmieszném, a nawet oczom mieszkańców prowincyi, którzy nic wspanialszego nie widzieli, wszystko mogło się wydać piękném i wykwintném. Muzyka, sprowadzona z powiatowego miasta i złożona z czterech skrzypiec, basetli i klarynetu, umieszczona była w małym pokoiku, przylegającym do sali, w któréj miano tańczyć, przy drzwiach, osłoniętych ponsową firanką i ozdobionych szerokiemi gałęziami bluszczu, pożyczonego z oranżeryi hrabiny.

Zabawa u dzierżawcy była dla całego sąsiedztwa gratką nielada. Poważni ludzie pośpieszyli na preferansa i pogadankę o wiadomościach gospodarskich i gazetowych; matki rade były, że w liczném zebraniu pokażą swe córki; panny drżały na samę myśl o stroju, muzyce i tańcach, a przytém serduszka ich biły, jednéj do tego, drugiéj do owego z młodych sąsiadów; młodzież pośpieszyła też chętnie, bo i ich serca biły, jednego do téj, drugiego do owéj z młodych sąsiadek.

To też zaledwie zmrok zapadł, przeszło sześćdziesiąt osób napełniło zaimprowizowane salony Adampolskiego domu. Przy stolikach kartowych zasiedli niemłodzi dzierżawcy z sąsiedztwa, kilku właścicieli niewielkich folwarków, dwóch czy trzech urzędników z X., a nawet ze trzech komisarzy z admini-

stracyi dóbr hrabiny. W bawialnym pokoju gwarzyły matrony, które przyjechały same jedne, bez córek i kuzynek, a w sali do tańca najrzęsiściéj oświetlonéj i najobficiéj ubranéj w zielone rośliny, migotały powiewne i różnobarwne suknie panien, a za niemi, niby rój motylów za kwiatami, uganiało się kilkunastu młodych ludzi. Matki i ciotki zasiadły pod ścianami, ścigając wzrokiem panny, gwarząc, śmiejąc się i obmawiając, jak to zwykle bywa między wiejskiemi sąsiadkami.

Pod grupą zieleni, utworzoną z mirtów i róż kwitnących, siedziała Wincunia pośród kilku towarzyszek. Skromne lecz gustowne ubranie, blask sztucznego światła i wrażenie, jakie sprawił na nią gwar i tłum ludzi, niezmiernie podnosiły wrodzone jéj wdzięki. Policzki jéj kwitły delikatnym rumieńcem, oczy powlokły się połyskliwym, wilgotnym blaskiem, z za przezroczystéj sukni, lubo uszytéj pod szyję, ukazywały się śnieżne i kształtne ramiona. Jedynym kosztownym klejnotem jéj toalety był sznur drobnych pereł, pamiątka po matce, który po kilka razy otaczał jéj szyję i zsuwał się za krepę sukni.

Za krzesłem Wincuni stał Alexander z rozpromienioną twarzą i, ze znaczącym uśmiechem, przemawiał do niéj co chwila półgłosem.

Lokaje roznosili herbatę, muzyka nie odezwała

się jeszcze, bo z rozpoczęciem tańców oczekiwano na panią Karliczową, która jeszcze nie przybyła.

Nareszcie pod oknami zaturkotały koła karety, jedynéj karety, jaka dnia tego, mimo licznego zebrania, zajeżdżała przed ganek Adampolski, i po pokojach rozszedł się głuchy szmer powtarzających z ust do ust: „pani Karliczowa przyjechała!"

Jako jedynéj bogatéj obywatelki i światowéj kobiety, jaka miała się znaléźć w obecném zebraniu, przybycie jéj było uważane prawie ogólnie za największy honor dla domu i najwspanialszy splendor zabawy.

Alexander ruszył się ze swego stanowiska, lubo, jak się zdawało, niechętnie, i spotkał świetną panią u drzwi sali. Ubrana była bogato, w czarny aksamit i koronki, suknia jéj wlokła się za nią wspaniale i szeleściała miękkiém dotknięciem aksamitu do posadzki, czarne włosy ustroiła koralami, a czoło przysłoniła drobnemi loczkami, niby mgłą ruchomych chmurek lub wężyków. Za nią postępowały dwie pysznie téż ustrojone młode panny, bawiące nieustannie przy niéj dla towarzystwa.

Światowa pani, powitana naprzód głuchym szmerem, poprzedzającym jéj kroki, a potém ogólném milczeniem, wyrażającém ciekawość i admiracyą, stanęła na progu sali, ognistemi swemi oczyma szybko orzuciła całe zebranie, a szyderski, bardzo prędko powściągnięty,

uśmieszek, przebiegł jéj ponsowe i kształtne, ale kapryśnie zagięte usta.

Alexander podawał jéj rękę na powitanie i z pełnym galanteryi ukłonem wymawiał późne przybycie. Pani Karliczowa zaśmiała się głośno i odpowiedziała pół żartem, pół seryo:

— Vous savez, monsieur Oleś, que les grands seigneurs sont toujours tardifs. Rozumiész pan to przysłowie, nie prawdaż? bom ci je kiedyś tłómaczyła.

— Wszystko, co wychodzi z ust pani, pozostaje na wieki wyryte w mojéj pamięci! — wyrzekł pół głosem młodzieniec, prowadząc panią Karliczową do krzesła, ale wzrok jego co chwila biegał ku Wincuni i spotykał się z jéj wzrokiem.

Piękna wdowa zabrała miejsce między żonami dzierżawców i drobnych właścicieli, które przypatrywały się jéj z ciekawością, złączoną ze zmieszaniem.

Zabrzmiała muzyka i tańce zaczęły się od poloneza, który trwał krótko, a po nim rozbrzmiał po całym domu huczny, dziarski i zamaszysty mazur.

Kilkanaście par utworzyło wielkie koło, które, kilka razy obiegłszy salę, rozprzęgło się i rozwiało, a z pomiędzy niego wyskoczyła jedna tylko, piękna i dobrana para i pomknęła po sali śród zwróconéj na nią uwagi ogólnéj. Alexander rozpoczynał mazura z Wincunią, ku wielkiemu zdziwieniu towarzystwa, spodziewającego się ujrzéć w piérwszéj parze najwię-

kszy splendor zabawy, panią Karliczową, ku wielkiemu też zdziwieniu saméj tancerki, która przez to ujrzała siebie wystawioną na powszechną uwagę, obdarzoną piérwszeństwem przed tylu innemi kobietami, pasowaną niejako na królową balu.

A śliczneż im tak było obojgu, lecącym niby w powietrzu, śród rzęsistego światła, z twarzami zwróconemi ku sobie i oblanemi rumieńcem! Przezroczysta suknia dzieweczki unosiła się na niéj, jak śnieżysta chmurka, wianek z drobnych róż drżał na warkoczu, oczy spuszczały się ku ziemi, a z za wiśniowych ust ukazywały się białe ząbki, niby rodzone siostry pereł, które drgały na szyi.

Alexander był młody, zgrabny, pełen życia, pięknie więc tańczył mazura; Wincunia była także młoda, zgrabna, pełna życia, pięknie więc téż tańczyła.

W téj saméj chwili, gdy piękna i pięknie tańcząca para pomknęła na salę, we drzwiach stanął Bolesław, wywołany z dalszych pokojów mazurową nutą, a może nawet chęcią ujrzenia Wincuni. Spojrzał na salę i ścigał wzrokiem snującą się po niéj białą suknią dziewczyny.

Ta wesoła tancerka, płynąca w potoku światła, to dziewczę rozbawione, ręka w rękę biegnące w poskokach z obcym mężczyzną, byłaż-by to jego Wincunia, to ciche dziecię słomianéj strzechy, z białego far-

tuszka karmiące gołębie, jak fijołek pędzące życie w ustroni?

Bolesław ścigał ją oczyma i twarz jego bladła. Zdało mu się, że to nie ona, że jego ukochane dziewczę rozwiało się i umknęło gdzieś daleko, a na jéj miejscu zjawił się ktoś inny, z jéj tylko twarzą i postacią.

On tak przywykł widziéć ją śród ciszy domowéj, latem między zielenią murawy i drzew, zimą przy blaskach kominkowego ognia lub bladém świetle lampy, że teraz, gdy ujrzał ją w gwarze, w podskokach, śród spływających na nią spojrzeń mnóztwa, pod płonącym wzrokiem obcego mężczyzny, serce ścisnęło mu się niewytłómaczonym bólem, tęsknotą za tamtą, za inną Wincunią, za jego czystą, cichą, słodką narzeczoną.

Patrzył jeszcze, patrzył ciągle i zdało mu się, że mglista zasłona, utkana z gwaru, muzyki, twarzy ludzkich i łez, spuszcza się między nim a tańczącą parą: pomiędzy kłębami téj mgły, która mu wzrok zasłaniała, szukał jeszcze Wincuni i nie mógł jéj dojrzéć... widział tylko białą suknią, jasny warkocz, a na nim różowy wianek, ale jéj saméj... nie było...

Po chwili wydało mu się, że ta opona mglista wstępuje w niego samego i czucie jego, myśli, całe życie jego rozdziela na dwie połowy: przeszłość i przyszłość...

Przez jednę sekundę miał objawienie, przeczucia

zastukały do jego serca, widmo nieszczęścia zajrzało w oczy... poczuł taki ból, jakby ta opona, która miała rozdzielić życie jego na dwie połowy, zimną i ostrą sztabą żelaza wsuwała się w jego piersi.

Stał we drzwiach z pochylonèm czołem i zamglonemi oczyma, i nagle ujrzał naprzeciw siebie Wincunię, stojącą obok Alexandra. Z drugiéj strony młodzieńca stała czarnooka i wspaniała pani Karliczowa. Tańczono w mazurze krakowską figurę.

Po skończeniu figury, Alexander mazurowym taktem podbiegł do Bolesława z dwiema kobietami, i wyrzekł:

— Płomień i zefir!—Były to nazwania, wybrane wedle prawideł tańca przez dwie kobiety.

— Nie tańczę — odrzekł Bolesław.

— Pan nie tańczy! — zawołał Alexander z ironicznèm podziwieniem i politowaniem w głosie; zwrócił się do tuż obok stojącego mężczyzny:

— Płomień i zefir — powtórzył.

— Płomień — wyrzekł młody człowiek — a Alexander, z ukłonem oddawszy mu rękę pani Karliczowéj, puścił się w dalszy taniec z Wincunią.

Ona to więc wybrała sobie nazwę zefira.

Bolesław zamyślił się smutnie. Tak, w istocie, ona była przez lat tyle wiośnianym powiewem, który ochładzał jego zmordowane czoło, gdy, strudzony pracą, przychodził pod jéj cichą strzechę; ona była mu tym łagodnym szelestem wiosennego ranka, zwiastu-

jącym pogodny wschód słońca, a po nim rozkoszne, pełne żaru i życia, południe.

A teraz, ten powiew wiośniany, ten zefir słodki, ulatuje od niego i owiewa rozkosznie czoło innego mężczyzny, który ściska dłoń jéj w swéj ręce i w oczach jéj tonie spojrzeniem...

Po-raz drugi, ale silniéj i groźniéj, przeczucie zastukało do jego serca i poznał ból nieopisany, tém silniejszy, że powodów jego dobrze nie rozumiał. Zdawało mu się tylko, że widział, jasno widział, jak mglista opona roztaczała się między przeszłością jego i przyszłością coraz szerzéj... coraz głębiéj...

W tém uczuł czyjąś rękę na swojém ramieniu, i usłyszał mówiący za sobą głos:

— Panie Topolski dobrodzieju! a co tam słychać w gazetach? Pan je czytasz, to i mnie powiedz, bo ja za gospodarstwem o Bożym świecie nie wiem.

Obejrzał się i zobaczył rumianego i przysadzistego dziedzica sąsiedniéj wioszczyny, który stał przed nim, gładząc dłonią potężną łysinę.

Opuścił salę tańca, rozmawiając z sąsiadem o polityce. W koło nich zebrało się po chwili kilku poważnych ludzi, podeszło nawet parę niemłodych kobiet, zasiedli wszyscy w bawialnym pokoju i gawędzili długo przy odgłosach muzyki i gwaru, dochodzących z sali tańca.

Kiedy Bolesław, upatrzywszy chwilę stosowną do

opuszczenia towarzystwa, które się około niego ugrupowało, stanął znowu na progu sali, wrzał w niéj jeszcze w całéj sile dwugodzinny mazur.

Wincunia stała na środku sali otoczona młodymi ludźmi, którzy wszyscy trzymali oczy utkwione w nią, jak w tęczę. Wspięła się na palce, z figlarnym uśmiechem spojrzała wkoło, podniosła rękę, a potrzymawszy ją tak parę sekund, podrzuciła chusteczkę. Zabrzmiał okrzyk kilkunastu głosów i cała młodzież rzuciła się ku szmatce białego batystu, ale Alexander poskoczył najpiérwéj i najzgrabniéj pochwycił chusteczkę, a gdy wszyscy rozstąpili się, z uśmiechem radości ujął podaną sobie rękę Wincuni i znów z nią pomknął po sali. Wkrótce jednak stanęli oboje pośrodku, trzymając się za ręce. Wincunia mu coś powiedziała, a on zawołał:

— Wszystkie pary!

Miało to oznaczać zbliżanie się mazura ku końcowi. W mgnieniu oka sformowało się wielkie koło.

— *Chaine des dames!* — zawołał donośnie Alexander, który przez cały czas dyrygował mazurem.

Pomknęły różnobarwne suknie, i przez chwilę widać było tylko białe ramiona kobiet, wyciągające się ku coraz innemu mężczyznie.

— *Contre-chaine!* — zabrzmiał znowu dźwięczny a donośny głos Alexandra.

Ktoś pomylił się, zrobiło się komiczne zamieszanie, nikt już nie wiedział gdzie ma iść i co robić, tan-

cerze szukali swoich tancerek, tancerki tancerzy. Wincunia zaśmiała się głośno z téj plątaniny, która ją bynajmniéj nie kłopotała, bo Alexander w mgnieniu oka odnalazł ją i był już przy niéj, trzymając ją za rękę. Śmiech dziewczyny, jak odgłos srebrnego dzwoneczka, wyróżnił się śród gwaru innych śmiechów i przypłynął do ucha Bolesława wraz z głosem Alexandra, który, z dziarskim hołupcem puszczając się w taniec, wołał na inne pary:

— *Mazur!*

Jak ona się bawi! — myślał Bolesław, gdy przed nim kilkanaście par szalało w podskokach i hołupcach;—czemuż i ja nie jestem tak wesoły, jak ona?— I piérwszy raz poczuł głęboki rozdźwięk między jéj duchem a swoim, piérwszy raz ujrzał się wobec niéj za poważnym, i niewyraźny głos jakiś szepnął mu do ucha: „tyś człowiek, a ona dziecko!"—Ale dziecko ukochane, dziecko, na którém budowałem tak długo światy mojéj przyszłości! — zawołał w sobie z boleścią, i usłyszał głos Alexandra, wołający:

— *Promenade!*

Podniósł głowę i spojrzał: wszystkie pary sunęły po sali poważnie, jedna za drugą, z szelestem sukien kobiecych i szmerem rozmów, prowadzonych półgłosem. Wincunia szła zwieszona na ramieniu Alexandra, suknia jéj musnęła Bolesława w przechodzie, ale jéj twarz zwrócona była ku młodzieńcowi, który ją

prowadził, mówił do niéj z cicha i patrzył w jéj oczy tak głęboko... tak płomieniście...

— Na kolana! każdy z panów przed swoją damą! — zadyrygował po-raz ostatni Alexander; wszystkie pary stanęły, i wszyscy mężczyzni zgięli kolana.

A naprzeciw drzwi, w których stał Bolesław, Alexander przyklął przed Wincunią; usta jego długim pocałunkiem przylgnęły do jéj ręki, a ze spuszczonych na jego schyloną głowę oczu dziewczyny trysnęły dwie błyskawice i zniknęły wnet za wilgotną mgłą wzruszenia.

Cała krew Bolesława zawrzała na ten widok, twarz jego zapałała rumieńcem, potém zbladła bardzo. Uczynił taki ruch, jakby chciał poskoczyć ku narzeczonéj, ale powstrzymał się i oparł plecami o ścianę, jakby trudno mu było ustać o własnéj sile. W téj chwili cóś go z lekka trąciło.

Obejrzał się i zobaczył lokaja, roznoszącego na tacy limoniadę. Pochwycił szklankę z zimnym napojem, wychylił ją do dna i, przebiegłszy parę pokojów, znalazł się w pustéj prawie sali jadalnéj, w któréj właśnie nakrywano do wieczerzy. Po kilku minutach, samotność i chłodniejsza temperatura pokoju ochłodziły nieco wewnętrzne wzburzenie, jakiego doświadczał, uśmiechnął się nawet i spytał siebie: jaką doń miał przyczynę? Już téż Wincunia, raz przyjechawszy na zabawę, musiała tańczyć; a cóż było dziwnego w tém, że siedmnastoletnie dziewczę ochot-

nie oddało się tańcowi i z przyjemnością tańczyło z najzręczniejszym młodzieńcem, jaki był w zebraniu. Bolesław zawstydził się własnych poczuć. Miałże-bym być zazdrośnym i podejrzeniami męczyć ją i siebie? — pomyślał.—Nie, było-by to niezgodne z wielką i poważną miłością moją dla niéj, z wiarą w jéj przywiązanie do mnie, ze spokojem, jaki każdy człowiek myślący powinien zachowywać w uczuciach i postępkach swoich! — Tak rozmyślał i coraz spokojniejszym się stawał, a jednak czuł, że nie było mu dobrze. Natura jego, głęboka i marząca, nie mogła pogodzić się z takim hulaszczym rozgłośnym tłumem, w jakim znajdował się obecnie. Nie lubiła ona wprawdzie zatapiać się w samolubnym spokoju i otaczać zupełną samotnością, oddzielającą człowieka od reszty świata. Przeciwnie, Bolesław czuł się związanym z ludźmi wielką miłością, którą miał dla kraju i ludzkości, radby więc był zapewne gwarowi i tłumom, ale jakim? Z dumą i radością stanął-by on może w kole, radzącém o sprawach ogólnych, i podniósł-by śmiały głos w obronie tego, co za dobro lub prawdę uważał. Może-by nawet nie raził go dźwięk broni i huk kopyt końskich; ale tańce, szmer słów, pustych jak bańki, a lekkich jak motyle, ale cały ten chaos rozmarzenia, próżności, miłostek i obmów, nie był dla niego.

On od dzieciństwa skąpał się w głębokiéj ciszy pól, owiał go i na wskróś przeniknął uroczysty szmer

gaju, który w długie zimowe noce szumiał nad jego słomianą strzechą i jęczał po załomach domu; surowa i mozolna praca zahartowała mu serce, a myśli szerokie i miłość szeroka, jakiemi okrywał piękny świat Boży i drogi kraj rodzinny, wlały w jego ducha powagę i tę spokojną tęsknicę, co dziwnym wyrazem przeglądała w jego spojrzeniu. Wszelkie radości jego życia były tak głębokie, jak dno morza, i tak ciche jak ono.

Wznosiły się one w jego duchu kryształowemi pałacami marzeń, płonęły purpurą korali, ale nie lubiły wychodzić na jaw i nie umiały wybuchać rozhukanemi falami głośnego wesela.

Źle więc mu było i duszno na Adampolskiéj zabawie, a niewyraźne przeczucia kołatały mu wciąż do serca. Daremnie je odpędzał; przed wzrokiem jego, jak zaklęta, stała wciąż Wincunia z błyskawicami w oczach, z ręką miłośnie opuszczoną ku młodzieńcowi, który ją namiętnie do ust przyciskał.

Po skończonym mazurze, muzyka milczała kilka minut, a po domu rozlewał się tylko to stłumiony, to głośniéj wybuchający szmer rozmawiających głosów. Szmer ten dochodził do uszu Bolesława, niby szum kilku wodospadów, to łagodnie spływających na miękką murawę, to z hukiem rozbijających się o skały. Strojenie instrumentów przeszywało ten odgłos ostremi dźwiękami, jakby żałośliwie odzywającym się niekiedy jękiem śród wesela.

Nagle po całym domu rozbrzmiał wpół wesoły, wpół tęskny, szybki, szalony walc. Dźwięk klarynetu panował nad innemi instrumentami, donośny a smętny, przeciągał tęskne nuty i zdawał się śpiewać o miłości, jéj rozkoszach, szałach jéj i cierpieniach.

Dziwnie to namiętny taniec ten walc! Trudno pojąć, jak zimna Germania mogła być ojczyzną jego. Wsłuchaj się dobrze w jego tony, a usłyszysz w nich całą historyą ziemskich, ale tylko ziemskich rozkoszy. Innego śpiewu w nim nie szukaj. Walc, to przeciwstawienie mazura. W ostatnim tkwi uczucie hulaszcze, szerokie, ale tak otwarte, jak pól rozłogi... tak naiwne, jak serce dziewicze, tak tęskne, jak dusza śniąca wciąż o utraconym raju... W walcu szaleje bezpamiętny, ale ciasny popęd zmysłów, namiętność cielesna z dziką swoją harmonią; w mazurze — młoda para, z podniesionemi czołami, dłoń w dłoni lecąca powietrznym krokiem, zda się tuż, tuż, uleci z nad ziemi w niebiosa: w walcu, dwoje ludzi, spojonych ścisłém objęciem, z głowami pochylonemi ku sobie, kręcących się w szalonym wirze, zda się, że za mgnienie oka ze zmęczenia padnie na ziemię... w pył ziemski... Mazur idealizuje kobietę, czyniąc z niéj napowietrznego anioła, muskającego ludzi w przelocie przezroczą szatą, niby miękkiém skrzydłem, rozpościerającego ramiona, niby anielskie skrzydła do lotu. Walc uziemszcza najczystszą, przerzuca ją

z objęć w objęcia ludzi różnych, nieznanych, rzuca w jéj pierś tony namiętne, jak ziarna burz, które z nich zrodzić się mają.

Bolesław, przechadzając się po osamotnionéj sali jadalnéj, słuchał dolatujących doń rozgłośnie taktów walcowych.

Jakkolwiek wysilał się na spokój i wzywał na pomoc trzeźwą rozwagę, przykre, dotkliwe wrażenie ogarniało go coraz bardziéj. Stanął i rzekł do siebie:

— Co to jest? czuję, że tracę samego siebie i nie wiem, co się ze mną dzieje! Jakieś przeczucia stukają do serca, jakieś mary plączą się po głowie, jakbym legł w gorączce. To źle; poddawać się stanowi takiemu nie należy; ucieknę z tego gwaru, a odzyskam wnet spokój!

W kwadrans potém, bryczka odjeżdżającego Bolesława turkotała na Adampolskim dziedzińcu, a w téj saméj chwili Wincunia, wsparta na ramieniu Alexandra, rozmarzona, obiegała z nim salę w szybkim walcu. Młodzieniec drżącém ramieniem silnie obejmował jéj kibić i z upojeniem w twarz jéj patrzył, ona spuściła zrumienione czoło, a wkoło nich szeptano:

— Piękna para! dobrana para! jakby dla siebie stworzeni!

W istocie było to połączenie młodości z młodo-

ścią, wesela z weselem, marzenia z marzeniem. A śród tańca na sali balowéj, łącznia taka zawsze czarowną, zachwycającą bywa. Czy w życiu codzienném, rzeczywistém, poważném, a nieraz smutném i twardém, ta młodość, to wesele i to marzenie wystarczą za wszystko inne i zastąpią to, czego, mimo nich, w głowach i sercach ludzkich brakuje? Na pytanie to odpowiadają istnienia, w których młodość zbyt prędko mija, wesele w łzach tonie, a marzenia ulatują bez śladu, zostawiając za sobą twardą, nieubłaganą rzeczywistość. Niestety, arena, śród któréj roztacza się życie człowieka, to nie sala balowa; nie ten w niéj odniesie zwycięztwo, kto najzgrabniéj tańczy, ale ten, kto, najmężniejszy, zdoła pochwycić za barki potwory przeciwności, które mu w oczy zajrzą. Drogi życia, to nie woskowane do tańca posadzki; nie ten po nich zajdzie najdaléj, kto z wdziękiem stąpać umié, ale ten, czyj krok śmiały i kto wié, gdzie dąży. Lecz któż o tém wszystkiém myśli śród wiru walca?

Ani Alexander, ani Wincunia nie myśleli o tém; byli młodzi, weseli, rozmarzeni i po walcu usiedli obok siebie, upojeni tańcem i sobą.

Alexander spojrzał w twarz dziewczyny i rzekł z cicha:

— O, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi wolno było mówić do pani zawsze, jak pan Topolski mówił, żegnając panią przed chwilą: do jutra!

Wincunia machinalnie poniosła rękę do silnie bijącego serca, ale wysiliła się na żart i uśmiech.

— Cóż panu przeszkadza — rzekła żartobliwie— przyjechać jutro do Niemenki? W takim razie mógłbyś pan dziś powiedzieć: do jutra!

— Pani żartujesz! — stłumionym głosem wyrzekł Alexander i dodał po chwili milczenia, — mój Boże! a ja panią kocham...

Wincunia siliła się pokryć wzruszenie, które nią całą wstrząsało. Alexander mówił daléj:

— Nie powinienem zapewne mówić pani o tém, bo wiem, żeś już zaręczona... ale milczéć jest nad moje siły. Wyjadę ztąd... ucieknę... zostanę żołnierzem i będę szukał śmierci na piérwszéj wojnie... ale chcę, abyś pani wiedziała...

— Nie jedź pan, ja nie chcę tego, jabym tego nie przeżyła! — zawołała Wincunia prawie nieprzytomnie i łza zawisła na jéj rzęsach. Alexander zadrżał, widocznie z radości, i twarz jego zapałała.

— A więc... — rzekł i nie dokończył; muzyka zdwoiła zapał w téj chwili, brzmiała, szalała, huczała głębokiemi tonami basetli, a dźwięki klarynetu tęskno a namiętnie unosiły się w powietrzu. Alexander zerwał się z krzesła i rzekł do Wincuni:

— Tańczmy!

— Prędzéj! jak najprędzéj! — krzyknął na muzykę, a walc tak szybko rozszalał, że wszystkie pary, nie mogące wydołać przyśpieszonemu tempu, roz-

przęgły się i ustąpiły, a śród nich wypłynęła jedna tylko i okoliła salę z takim pędem i taką lekkością, że zdawała się być unoszona jakąś czarodziejską mocą.

Czarem tym i tą mocą, która ją unosiła, było namiętne upojenie.

— Jak oni mogą tak prędko tańczyć? — z podziwieniem wołano z kilku stron.

— Prześlicznie tańczą!

— Oto para, jakby para!

Pani Karliczowa lornetowała tańczących, a na twarzy jéj malował się wyraz kapryśnego niezadowolenia.

Wincunia i Alexander usiedli znowu obok siebie, odurzeni zawrotem głowy. Młodzieniec pochylił się nad dziewczyną i szeptał jéj prawie do ucha:

— Panno Wincento, jam wieśniak i nie poeta, długo i pięknie mówić nie umiem, powiem ci tylko jedno słowo: bez ciebie żyć mi nie sposób, albo będziesz moją, albo umrę...

W głosie jego dźwięczała prawda, był upojony, rozkochany, wierzył w to, co mówił.

— Czy pani sądzisz, że jestem rzeczywiście taki wesoły, jakim się być zdaję? Nie, pani! byłem takim niedawno jeszcze, to prawda, ale od czasu, gdy cię pokochałem, ciągła mię dręczy tęsknota za tobą. Jedyną pociechą moją bywa myśl, że cię mogę widywać choć rzadko, ale gdy... gdy zostaniesz pani żoną innego, wtedy... pocóż mi będzie życie? Nie za-

dam sobie zapewne śmierci z własnej ręki, bo żal mi rodziców, ale powiedziałem już pani... zostanę żołnierzem i zginę na piérwszéj wojnie...

Na twarzy Wincuni była gra najrozmaitszych uczuć: szczęścia i boleści, zachwycenia i trwogi, dziewiczego wstydu i namiętnego rozmarzenia.

— Boże mój! — szepnęła, pochylając głowę, aby ukryć dwie łzy, które jéj drgały na rzęsach, — Boże mój! cóż mam uczynić?

Schylony nad nią Alexander, posłyszał szept ten i rzekł z zapałem, pełnym gorącéj prośby:

— Powiédz pani jedno słowo, to jedno czarowne słowo, które uniesie mię w niebo szczęścia i zachwytu, powiédz mi pani: będę twoją!

Wincunia zadrżała, spojrzała na młodzieńca, którego oczy ćmiły się łzą błagania i wzniosła spojrzenie w górę, jakby szukała tam swego anioła stróża i błagała go o natchnienie. Po chwili spuściła głowę i rzekła cichutko:

— Panie! ja mam narzeczonego!

— Narzeczonego! — zawołał Alexander z goryczą. — Cóż ztąd? dla czegoż ten właśnie człowiek ma być szczęśliwym? Alboż on więcéj kocha panią ode mnie? O, nie! przysięgam pani, że to niepodobna! On, taki zimny, poważny, cały zatopiony w prozie życia...

Wincunia energicznie podniosła głowę.

— O, alem ja jemu tyle winna! on taki zacny, szlachetny, taki dobry!

Mówiła to z uczuciem i oczy jéj znowu zaszły łzami.

— Cóżem ja winien, że nie znam pani od tak dawna, jak on? — z żalem rzekł Alexander. — Cóżem winien, że nie mogłem dotąd złożyć u stóp twych, pani, dowodów mojéj miłości? Nie przeczę bynajmniéj, że pan Topolski jest bardzo zacnym człowiekiem, ale cóż za zasługa z jego strony, że poświęcał się dla takiego, jak pani, anioła? Poświęcenie! to śmieszne doprawdy, że ludzie nazywają poświęceniem to, co jest najwyższém szczęściem! Ja, pani, jestem bardzo młody, świat i życie uśmiechają się do mnie, a jednak składam u stóp twych całą przyszłość moję, i niéma ofiary, któréj-bym dla ciebie nie poniósł. Dla czegoż ktoś inny ma być szczęśliwym, a ja ofiarą? Jest-że to sprawiedliwém? Jest-że to słuszném? Nie, pani! snać serce twe odtrąca mię i zostaje mi tylko umrzéć...

Gdy mówił ostatnie słowa, spostrzegł, że na drugim końcu sali pani Karliczowa powstała ze swemi towarzyszkami i gotowała się do odjazdu.

— Muszę panią opuścić, aby pożegnać i przeprowadzić do powozu panią Karliczową, która snać chce odjeżdżać — rzekł Alexander do Wincuni; — ciężkie są nieraz obowiązki gospodarza domu, nawet tylko syna gospodarza — dodał z uśmiechem i, powstawszy,

patrzył na Wincunię, jakby żal mu było na krótki moment choćby z nią się rozstawać. Nagle myśl jakaś błysnęła mu w oczach, wyciągnął rękę i zerwał białą różę, kwitnącą w wazonie nad samą prawie głową Wincuni. Podał kwiat zmieszanéj i wzruszonéj uprzednią z nim rozmową dziewczynie i rzekł:

— Weź pani tę różę i zawieź ją do Niemenki, jutro powié mi ona za panią, tak albo nie...

Milczał przez chwilę, potém pochylił się niżéj i dokończył cichym gorącym szeptem:

— Jutro przyjadę do Niemenki; jeśli zobaczę tę różę we włosach pani, znaczyć to będzie, że mówisz mi pani: tak! a jeśli serce twoje powié: nie! rzuć biedny kwiat pod swoje stopy, a gdy zwiędnie, zdeptany przez ciebie, będziesz w nim miała mój obraz...

Rzekłszy to, odszedł, a Wincunia przypięła różę do piersi.

Pani Karliczowa, naciągając białą rękawiczkę i owijając się w koronkowe *entrée au bal*, mówiła do swéj kompanionki:

— Il parait, que le jeune homme est amoureux fou de cette petite fille.

— Est-ce que ça vous dérange? — spytała kompanionka, rzucając skrycie złośliwe spojrzenie na swą pryncypałkę.

— Quelle idée! — zawołała czarnooka pani i zaśmiała się kapryśnym nerwowym śmiechem.

— Pani chce już odjeżdżać! — ozwał się za nią głos Alexandra, w który chciał on wlać ton wyrzutu. Ale nie udało mu się to: głos jego był zimny i ton ściśle tylko grzeczny.

— Mam migrenę i odjeżdżam — odparła pani Karliczowa, nie patrząc na niego i odeszła. Alexander poszedł za nią, ale w milczeniu, ze schyloną głową, myślą widocznie będąc gdzie indziéj.

Wincunia posmutniała i dziwnie się zamyśliła, blada i zadumana usiadła przy ciotce, a zapraszającym ją do tańca odpowiadała, że zmęczona jest bardzo, głowa ją boli i tańczyć więcéj nie może. Co chwila wzrok jéj spuszczał się na białą różę, przypiętą u piersi, i walka sprzecznych uczuć i myśli widoczną była na jéj twarzy.

Zresztą zabawa szła bardzo ochoczo i wesoło. Sam nawet pan Jerzy, który tak rozpaczliwie opierał się był myśli wydania balu i tak gorzko żałował straconych nań pieniędzy i czasu, gdy zobaczył, że całe sąsiedztwo ochotnie i przyjacielsko zjechało się do jego domu, uczuł się wysoko zaszczyconym i poczczonym, wpadł w wyborny humor a frasunek zniknął całkiem z jego oczu. Kiedy dziarski mazur zawrzał był na sali, we wszystkich pokojach zrobiło się huczno, ludno i wesoło, stary dzierżawca chodził od gościa do gościa, całował, ściskał, poił, częstował, przysiadał się do kobiet i nawet pani Karliczowéj,

któréj serdecznie nie lubił, powiedział w rozochoceniu parę komplementów.

A gdy jeszcze przy końcu wieczerzy wszyscy mężczyzni powstali z miejsc z kielichami szampana w rękach, hurmem obstąpili jego ukochaną Anulkę i zawołali: „zdrowie solenizantki!”, pan Jerzy przypomniał sobie dzień swego wesela i ze łzami rozrzewnienia i radości w oczach wyściskał z kolei wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety pocałował w rękę.

Gdy wstawano od wieczerzy, wszystkie usta śmiały się, we wszystkich głowach szumiał szampan i węgrzyn, z sali tańca doszedł odgłos hucznych mazurowych taktów. Pan Jerzy podniósł głowę, jednę rękę oparł na boku i zawołał:

— No panowie! teraz my starzy do mazura! — Posunął ku Wincuni i z poczciwym uśmiechem wyciągnął ku niéj otwartą i ogorzałą rękę. Na tę oznakę widocznéj życzliwości i piérwszeństwa, jaką oddawał jéj ojciec Alexandra, dziewczyna rozjaśniła uśmiechem posmutniałe lice, położyła drobną rękę na grubéj dłoni dzierżawcy i pan Jerzy, tupiąc, podskakując i zdobywając się na ciężkie hołupce, wpadł z nią do sali tańca. Za nimi ruszyło się parami wszystko, co żyło. Dzierżawcy, właściciele, komisarze, urzędnicy, żony ich, siostry, córki i synowie, wszystko to razem puściło się w tany. Zrobił się gwar, tłok, huk nie do opisania. Podpojeni w czasie wieczerzy, muzykanci rznęli z całéj mocy po strunach, basetla

w zdwojonéj gorliwości huczała, gdzie potrzeba i gdzie nie potrzeba, klarynet, tak pięknie popisujący się dotąd, zaczął z lekka fałszować, ale, nic sobie z tego nie robiąc, krzyczał co siły stało, chłopiec kredensowy porwał wielki kocieł blaszany i, stanąwszy za muzyką, począł z całéj mocy uderzać po nim w takt pałką. Z janczarskiemi odgłosami zaimprowizowanego bębna mieszało się tupanie nóg, śmiechy starych głosów, chichot niewiast, hołupce i ochocze wykrzyki młodzieży. Starzy w pląsach prowadzili młodziuchne dziewczęta, młodzieńcy wiedli matrony w czepcach ze zwiędłemi, ale w téj chwili rozpromienionemi twarzami.

— Hulaj dusza! serdeczny taniec objął wszystkich bez wyjątku swojém hulaszczo-tęskném tchnieniem i nie było już tam ani starości, ani troski, ani serc zmęczonych, ani serc złamanych, było tylko wesele porywające, pełne śmiechu i łez rozrzewnienia.

Pomiędzy tłumem hulaszczym przecisnęli się lokaje, niosąc po tanach kielichy z węgrzynem. Pan Jerzy podniósł kielich do góry i krzyknął:

— Panowie, kochajmy się!

Wszyscy rzucili się ku sobie, dźwięknęły kielichy, zabrzmiały pocałunki, wszystkie ramiona otwierały się, wszystkie twarze, zbliżone do siebie, pół śmiały się, pół płakały, lica dziewic kwitły rumieńcami, jak róże ponsowe, a młodzieńcy zbliżali się do swych bohdanek i szeptali im do ucha ciche, gorące:

— Kochajmy się!

Alexander podszedł do Wincuni i, uderzając kieliszkiem o jéj kieliszek, rzekł z głębokim wyrazem:

— Pamiętaj pani o mojéj biednéj róży!

Słońce wschodziło a w Adampolskim domu tańczono jeszcze przy zamkniętych okienicach.

X.

Rozmyślania Wincuni.

Nazajutrz po Adampolskiéj zabawie, światło poranku, tak dobroczynnie wpływające na ludzi, którzy głęboko zżyli się z naturą, uspokoiło wzburzony nocnemi wrażeniami umysł Bolesława. Łajał on siebie nawet wewnętrznie za wczorajsze swe niepokoje, a piękny świat Boży uśmiechnął się doń po dawnemu, wołając do pracy, miłości i nadziei. Bledszy trochę niż zwykle i ze śladami moralnego zmęczenia na twarzy, ale spokojny, a nawet wesoły, pojechał do Niemenki. W drodze mówił do siebie:

— Nocne to były mary i widziadła wyobraźni. Odurzył mię ten gwar, do któregom nie przywykł, rozdrażniło ujrzenie Wincuni w innéj postaci, niż ją dotąd widywać zwykłem. Nadszedł dzień i wszystko jest po dawnemu!

Znalazł panią Niemeńską już przy gospodarstwie i dowiedział się od niéj, że Wincunia bawiła się

wybornie, wróciła zdrowa i teraz śpi jeszcze spokojnie.

— Niechże sobie śpi jak najdłużéj — rzekł Bolesław — potrzebne to po zmęczeniu. Powiedz jéj pani, gdy się obudzi, że byłem tu, przesyłam jéj „dzień dobry" i bardzo rad jestem, że się dobrze bawiła. Odjeżdżam natychmiast i dziś nie będę już w Niemence, bo wprost ztąd jadę do K. na jarmark. Słyszałem, że przywieziono tam w tym roku nasiona sandomierskiéj pszenicy, a chcę sprobować, jak się téż ona uda na naszéj glebie. Zresztą mam jeszcze inne gospodarskie potrzeby, a że drugiego jarmarku nie będzie już w naszych stronach w tym roku, nie odkładam więc i dziś jadę. Wrócę późno, a panie po bezsennéj nocy pewnie wcześnie spać się położycie. Zobaczymy się aż jutro...

Rzekłszy to, pocałował rękę pani Niemeńskiéj z synowską czułością, raz jeszcze poprosił ją, aby oddała od niego „dzień dobry" Wincuni, gdy się obudzi, i odjechał.

Odjechał, minął Niemenkowski dworek i obejrzał się : okno pokoju Wincuni różowiało między zielenią, oświetlone ukośnie padającym promieniem słońca; Bolesław patrzył na nie, a niewyraźny jakiś głos przeczucia wołał mu w sercu : wróć! wróć!

Otworzył usta jakby do wydania rozkazu furmanowi, ale powstrzymał się, uśmiechnął, wzruszył ramionami i rzekł do siebie :

— Prawdziwie zaczynam głowę tracić!

Minął gaj i znowu obejrzał się. Już nie widział dworku, tylko popielaty, ozłocony słońcem dym Niemenkowskich kominów wypływał po-nad drzewa gaju, pochylany łagodnym wiatrem. „Wróć! wróć! strzeż swego skarbu!” — coraz głośniéj wołało przeczucie w sercu Bolesława i wydało mu się, jakby niebezpieczeństwo jakieś groziło jego narzeczonéj.

— Stój! — zawołał Bolesław na furmana, ale po chwili uśmiechnął się znowu i dodał:

— Jedź daléj, a prędzéj!

Bryczka potoczyła się, Bolesław odjechał, śmiał się z siebie w duchu, ze swych obaw i przeczuć, zwał siebie marzycielem; a jednak ciężar jakiś zalegał mu na piersi i był smutny.

W Niemence, po spóźnionym dnia tego obiedzie, cisza zupełna panowała we dworku, bo była to niedziela, nie odbywały się żadne gospodarskie roboty. Pani Niemeńska odmawiała pacierze w ogrodzie.

Wincunia siedziała w swoim pokoiku przy otwartém oknie, wychodzącém na dziedziniec. Żadnéj żywéj istoty nie było wkoło domu, żaden listek nie ruszał się na drzewie; ludzie spoczywali po tygodniowéj pracy, natura, ochłonąwszy z dziennego upału, zaczynała drzemać w przedchwili nocnego snu. Za gęstwiną gaju słońce zstępowało za krwiste obłoki i kilka czerwonawych promieni ślizgało się po murawie podwórza.

Wincunia oparła skroń na dłoni i... nie myślała o niczém. Chaos, zamęt, wir, dziwne dziwy i marzenia plątały się po jéj głowie, a rozwikłać ich nie mogła; w uszach jéj brzmiały oddalone akordy wczorajszéj muzyki, klarynet śpiewał tęsknego walca, przed oczyma stawała wciąż twarz młodzieńca, niby nimbusem otoczona złocistemi włosami, z oczyma błękitnemi jak niebo w południe, a wpatrzonemi w nią tak ogniście... tak marząco. Wincunia przymknęła oczy, aby téj twarzy nie widziéć, ale wdarła się ona pod jéj powieki, klarynet ozwał się tęskniéj, wyraźniéj posłyszała głuchy szmer balowy i uczuła na ręce swojéj dłoń młodzieńca, porywającą ją w bezpamiętny, rozkoszny wir tańca.

Otworzyła oczy i westchnęła.

W téj chwili zdało się jéj, że coś ją miękko muska po włosach. Spojrzała i zobaczyła jednego ze swych ulubionych gołębi, który, bijąc skrzydłami, usiadł na krawędzi okna tuż przy jéj ręce...

Ujęła ptaszka w obie dłonie, gładziła jego białe pióra i łzy puściły się z jéj oczu.

Pomyślała o tém, jak była daleko już od owéj pory, w któréj te słodkie, niewinne ptaki starczyły jéj za zabawę w wolnych chwilach, były celem jéj pieszczot i starań! Gdzież się podział spokój jéj serca? gdzie dziecięca pogoda i przezroczystość myśli? Dla czego teraz siedzi tęskna, rozmarzona, smutna, a w piersi czuje bolesną burzę, a w głowie ma zawrót, co chwila

tryskający łzami? Dla czego nie idzie na murawę dziedzińca karmić gołębie swoje, nucić piosenki wesołe i w ogrodzie przypatrywać się z rozkoszą, jak pod wieczór otwierają się zmęczone dziennym skwarem kielichy kwiatów i piją krople brylantowéj rosy? Dla czego głowa jéj, tęsknych i nieokreślonych dum pełna, cięży i boli, dłonie pałają, a w piersi tak boleśnie, tak pełno jakoś, że zda się serce wnet pęknie i popłynie zeń fala łez i płomieni? Cóż się z nią stało? Jaka moc dziwna splątała spokojny wątek jéj życia? Czy przeszłość była snem tylko? Co się z nią działo co dzieje, co dziać się będzie w téj przyszłości, która tak widną była niedawno, a teraz oblokła się przed nią mgłą zagadek i tajemnic?

Wypuściła z rąk gołąbka, który wesoło frunął w powietrze, a sama oparła znowu skroń na dłoni i myślała.

W myślach jéj stawało się coraz widniéj i wyraźniéj, splątane ich pasma rozwijały się stopniowo, aż z pośród nich wysnuła się i błysnęła promienna niteczka światłości. Wincunia na nić tę opuściła swego ducha, a ona powiodła go w przeszłość.

Ujrzała siebie dzieckiem, biedném dzieckiem, osieroconém po ojcu i matce, biegającém samopas po polach i łąkach bez innéj opieki, jak, dobréj wprawdzie, ale staréj, stroskanéj, nieudolnéj kobiety. Stara strzecha ojcowskiego jéj domu otwierała się i potoki wód niebieskich, wnikając przez nią, oblewały walące

się ściany, na podwórku cicho było i odludnie: ludzie nie pracowali na niém, bydełko nie ryczało; w ogrodzie usychały owocowe drzewa, sterczące nagiemi gałęziami, niby zbliżające się widma szaréj, nagiéj nędzy; pustka i ruina rozkładały się wkoło coraz szerzéj, a co dzień rano i w wieczór stroskana ciotka mówiła do niéj: „dziecko, złóż ręce do paciorka i błagaj Boga, aby cię od nędzy, która się zbliża, uchronił”. Pomiędzy tą ruiną i temi groźbami złéj przyszłości ukazała się postać Bolesława, z uczciwie a po prostu wyciągniętą dłonią męzkiéj pomocy i opieki...

Tu pomknęła daléj nić, wiodąca ducha Wincuni, i przed oczyma jéj inny stanął obraz.

Niemenka wesoła, ludna, zamożna, nowy domek błyszczy jasnemi oknami i złocistą strzechą, na dziedzińcu pracują ludzie ochotni, w oborze ryczy bydło, w stajni rżą dzielne koniki. W ogrodzie zielono, kwiecisto, owoce ciężarem swym pochylają gałęzie drzew, pola uprawne złocą się bujną pszenicą, bławatki kwitną w gęstém życie, żniwiarze żną i śpiewają, a bocian wtóruje im klekotem, stojąc na dachu napełnionéj stodoły. Pomiędzy tém wszystkiém, na koniu, z ogorzałą pogodną twarzą, z wesołém i uprzejmém słowem, przesuwa się postać Bolesława, a co dzień rano i w wieczór ciotka mówi do sieroty, któréj mienie uratowane: „Wincuniu, złóż ręce do pacierza i módl się za niego, bo on mnie, i ciebie ochronił od nędzy!”

Pomknęła znów daléj przewodnia nić ducha i Wincunia inny ujrzała obraz.

Oto długi jesienny wieczór, w pokoju pali się lampa i ogień na kominku płonie i huczy. Wkoło ścian szumi wicher, stuka okiennicami i wstrząsa krzewami gaju, deszcz rzęsistemi kroplami obija się o szyby okien. W pokoju cicho, ciotka z pończoszką w ręku siedzi u kominka, z drugiego końca domu dochodzą niekiedy rozmowy i chichoty dziewuch, kądziel przędzących. Przy lampie siedzi taż sama spokojna, prosta, serdeczna postać Bolesława i przemawia do niéj. Przemawia! ale jakim językiem? takim, jakiego ona nie słyszała dotąd nigdy; językiem wiedzy i światłości, który Bóg rozlał po ziemi ku zachwyceniu serc, wstępujących dopiéro w życie, a ochłodzeniu i wsparciu tych, co już zmęczone ciężką wędrówką.

Ona dotąd umiała tylko pacierz, znała zakątki gaju i kępiny łąki rodzinnéj, widziała tylko las, czerniejący u skraju widnokręgu, i w dziecięcéj nieświadomości myślała, że tym czarnym pasem kończą się światy wszelkie. Aż oto słowami Bolesława wywołane stanęły przed nią światy inne, dalsze, wielkie, i myśl jéj uklękła przed niemi w zdumieniu. Objawił się jéj naprzód Twórca wszystkiego, Bóg. Dotąd wyobrażała go sobie starcem siwobrodym, z gniewném czołem i różdżką, karzącą niegrzeczne dzieci, w prawicy; lękała się go. Objawiony słowami Bolesława, ukazał się jéj duchem niepojętym i nieskończonym, napełniają-

cym sobą przestrzenie, wszechmądrym, wszechmocnym, wszechtworzącym a dobrym, kochającym, litościwym jak najrzewniejsze miłosierdzie. Wpatrzyła się w takiego Boga; zamiast groźby ujrzała w Nim przebaczenie, zamiast różdżki karzącéj, berło sprawiedliwości; przestała się lękać, a zaczęła kochać Boga, modlić się goręcéj i upatrywać go w każdéj gwieździe na niebie i każdym kwiatku na ziemi. Po Bogu odkryły się przed nią różne kraje i narody świata, zobaczyła ich przeszłość, ujrzała świetny szereg wielkich mężów, z sercami gorejącemi duchem ofiary, posłyszała wrzawy wojenne, jęki uciśnionych, wzdychania wyzwolenia pragnących. Łzami z pod serca zrosiła te widzenia swoje, a gdy łzy z oczu otarła, kochała ludzi. Potém znowu i zawsze przez usta Bolesława zabrzmiały w jéj uszach dźwięki cudnéj rodzinnéj poezyi, brzmiące harmonią drogiéj ojczystéj mowy. Myśli Mistrzów-Geniuszów porywały jéj ducha pod gwiazdy, słuchała ich zachwycona, a gdy już wiele słyszała, kochała te ojczyste pola, o których śpiewali poeci, to blade, rodzinne niebo, pod którém oni pieśni swe snuli, i miliony tych drogich, smutnych braci, których cierpienia brzmiały w ich czarodziejskich wyrazach.

Jeszcze raz pomknęła nić świetlana, a za nią pomknął duch Wincuni.

Zobaczyła siebie narzeczoną człowieka, który oddalił od niéj podwójną nędzę głodu i ciemnoty. Kie-

dy piérwszy raz powiedział jéj, że kocha ją, nie już jak ojciec lub brat, ale jak kochanek, serce jéj nie uderzyło wprawdzie przyśpieszoném tętnem, ale poczuła dziwną błogość, ufność, niezmierne przywiązanie do tego zacnego człowieka, który do niéj wyciągał ramiona, miała chwilę objawienia: ukazała się jéj przyszłość pogodna, spokojna, bez trosk i burz, spędzona przy boku tego, który tak dzielnie bronić, tak troskliwie strzedz, tak gorąco kochać ją umiał. Powiedziała: tak! i była szczęśliwa spokojném szczęściem przezroczystéj duszy, którą nic nie wstrząsa, ale która ufna, świeża, pogodna, śmieje się do Bożego świata, na którym jéj tak dobrze, i tuli się do szerokiéj, zacnéj piersi czyjéjś, w któréj przeczuwa wielką dla siebie miłość i wielką cnotę. Lekka jak wietrzyk wiosenny, wesoła jak skowronek, codziennie wybiegała przed dom z piosenką na ustach i witała narzeczonego serdeczném, wyuczoném od dzieciństwa pozdrowieniem. Potém ręka w ręce szli razem przez pola, przez łąki, przez gaj; nad głową jéj leciały i trzepotały skrzydłami gołąbki ulubione; ona szczebiotała radośnie, jak wylatująca z gniazda ptaszyna, a on rozmawiał z nią tak rozumnie, tak słodko, a kochał ją tak bardzo... tak bardzo!...

Tu stanęła niteczka, wiodąca ducha Wincuni, a obraz spokoju i czystéj, spokojnéj miłości migotał u jéj końca przezroczystym blaskiem kryształu. Wincunia uśmiechnęła się do niedawnéj swéj przeszłości,

wyciągnęła ramiona i usta jéj cichutko wyszeptały imię Bolesława.

Ale nagle ognista błyskawica przeszyła mózg jéj i piersi, a przed oczyma stanęła smukła postać młodzieńca; twarz jego, okolona złocistemi kędziory, oczy, to zamglone marzeniem, to skrzące blaskami... Któż on? — pytała siebie dziewczyna — kto on, ten przybysz, który zmącił pogodę moich dni, a w serce wlał mi trwogi, walki i pragnienia, jakich piérwéj nie znałam?

Zamiast promiennéj nici, która dotąd wiodła ducha Wincuni po krainie rozmyślania, zjawiła się nad nią chmurka ciemna, a na niéj w mglistych, mętnych obrazach rysowała się historya znajomości jéj z Alexandrem.

Widywała go ona od dawna, każdéj niedzieli, gdy przyjeżdżała modlić się do kościoła, ale wzrok jéj nie zatrzymywał się nigdy na nim, zaledwie wiedziała, jak wygląda i jak się nazywa; piękny młodzieniec był dla niéj obojętny, jak każdy nieznany, mimochodem spotykany niekiedy człowiek. Aż dnia pewnego, — było to o piérwszych brzaskach wiosennych, — postępowała za ciotką, zmierzającą do furtki cmentarza, myślą biegnąc już naprzód przed Ołtarze, u stóp których wnet modlić się miała; gdy nagle książka modlitwy z rąk jéj się wymknęła i upadła na zroszoną ziemię. Młodzieniec poskoczył, podjął ją i podał właścicielce. Biorąc książkę z rąk jego, podniosła oczy

i spotkała się z jego wzrokiem, po raz piérwszy ujrzała go z blizka i patrzyła na niego kilka sekund. Wypadek ten był zwyczajny, pospolity, ale w jéj wnętrzu stało się coś niezwyczajnego: serce uderzyło śpieszniéj, ręka zadrżała, poczuła zmieszanie, nieokreśloną trwogę jakąś, odeszła śpiesznie; ale, choć się odwróciła, długo czuła na sobie ścigający ją wzrok młodzieńca...

Dnia tegoż po raz piérwszy, od czasu jak ją Bolesław nauczył znać i kochać Boga, źle się modliła; obca, nieznana i zaledwie dojrzana twarz młodzieńca stanęła między nią a ołtarzem, zasłoniła przed nią kapłana, wznoszącego ręce do nieba, i uniosła się w dymie kościelnych kadzideł. Gdy opuszczała kościoł, spojrzeniem szukała już twarzy téj, pragnąc i lękając się ją zobaczyć, i odtąd zawsze już, każdéj niedzieli szukała jéj wzrokiem i każdéj niedzieli źle się modliła. Spowiadała się Bogu z tego, co za grzech miała, pytała siebie i nie umiała odpowiedzieć, zaczęła marzyć, a marzenia jéj niezrozumiałemi dla niéj saméj były. Czyliż kochała już wtedy nieznanego młodzieńca? O! nie; nie była to miłość, był to niewyraźny mglisty instynkt, jedna z tych tajemniczych mocy wewnętrznych, które ogarniają człowieka nagle, a potém wyzywają do walki najszlachetniejsze władze jego ducha.

Młodzieniec przyjechał do jéj domu, serce jéj napełniało się jakiemiś dziwnemi żalami i tęskno-

tami. Straciło spokój, przestawała być wesołą; w głębi sumienia poczuwała się do jakiéjś ciężkiéj winy... ale jaką-by wina ta była... nie rozumiała. Walczyła z nieznaném widmem, które ją obejmowało, nie chciała widziéć młodzieńca, nie wyszła, aby powitać go, gdy przyjechał, nie pojechała do kościoła, ale ujrzała go jednak w domu swym drugi raz i trzeci, nieznane uczucie wzmagało się w niéj, rosło, miewała chwilami wir, zawrót w głowie, przestała całkiem być wesołą, zbladła, unikała narzeczonego. Nareszcie przyszła owa noc tłumu, gwaru, tańca i dokonała reszty. W wirze walca ramię jego objęło jéj kibić, oczy zatonęły w oczach, a słowa, posiłkując się tonami muzyki, oblały ją tchnieniem marzenia i namiętności... i oto teraz...

Cóż teraz?

Kocham — odpowiedziało serce.

Na tę odpowiedź swego serca dziewczyna zadrżała i pełnemi trwogi oczyma patrzyła przed siebie.

Kocham go? — myślała — a tamten... tamten... dobry, serdeczny, tamten przyjaciel mego dzieciństwa, który był mi ojcem, bratem, który pragnie być moim mężem? Czyliż dla niego w sercu mém niéma miłości? Jestem-że potworem, istotą niewdzięczną, nieczułą, bezmyślną?

Położyła na sercu rękę i pytała...

O, nie! dla niéj i tamten człowiek jest drogi, i tamtego ona kocha, ale jakże inaczéj, niżeli pięknego mło-

dzieńca o smukłéj postaci i złocistych kędziorach! Przed jednym z tych ludzi gotowa uklęknąć ze czcią i wdzięcznością; w obec drugiego drży cała ze wzruszenia i rozkoszy!

Z jednym rozstać się trudno, żal, grzech: z drugim, ach! niepodobna... boleść, rozpacz...

Więc cóż uczyni? którego wybierze?

Dłonią cisnęła serce i pytała... pytała...

W téj chwili zamyśloną dziewczynę otoczyły dziwne postacie, które wyroiły się z głębin jéj ducha i poczęły staczać z sobą walkę straszną, zaciętą... Walka ta rozdzierała jéj pierś niewypowiedzianym bólem i zalewała bladą twarz wyrazem cierpienia. Jedna z postaci tych, okryta białą powiewną szatą, lice miała łagodne i na miękkich złocistych włosach wieniec, spleciony z oliwnych gałązek. Była to dobroć. Obok niéj, trzymając ją za rękę, stało poważne sumienie, z obliczem surowém, ale promienistém, z ręką podniesioną ku niebu, niby przypomnieniem Boga, „w koronie Sędziego nad czołem”. Na powiewną szatę dobroci i spokojne lica sumienia spływała łuna ognista: płynęła ona od postaci cudownéj piękności, ubranéj w purpurę, trzymającéj w ręku pęk różanego kwiecia, z wieńcem płomieni na kruczych, rozwianych w nieładzie, włosach. Tą trzecią postacią, była namiętność.

Nad temi trzema zjawiskami unosiły się jeszcze dwa chóry drobnych napowietrznych istot: były to

roje wspomnień i marzeń. Wspomnienia krążyły nad głowami dobroci i sumienia, marzenia otaczały namiętności. Wspomnienia były blade, owinięte mgłą, niewyraźne; marzenia śmiały się cichym, ale rozkosznym śmiechem, śpiewały jak słowiki i skowronki, co chwila kąpały się w ognistym wieńcu namiętności, a wylatując z płomieni, każde z nich wynosiło z nich wonną różę albo gałązkę rozkwitłéj pomarańczy.

Najpiérwsza dobroć głos zabrała:

— Młoda dziewczyno! — wyrzekła — czyliż zechcesz zadać boleść człowiekowi, który dla ciebie tyle uczynił, który cię tak ukochał? Czyliż na to uczył cię on poznawać dobroć Boga, abyś sama własną dobroć wyrzuciła z serca?

— A tamten?! — krzyknęła namiętność — tamten, taki młody, pełen życia i uczuć, czyliż mniéj cierpiéć będzie, jeśli go odrzucisz?

— Ale tamten obcym ci jest, znasz go zaledwie, a temu przyrzekłaś towarzyszyć do grobu i on na tém przyrzeczeniu oparł wszystkie nadzieje swego szlachetnego serca! — ozwało się poważnie sumienie.

— Ty wiész, jak on cię kocha, słyszysz to w jego słowach, widzisz w czynach—szeptała dobroć—on będzie bardzo cierpiał, gdy go odrzucisz!

— O tak! ja tego nie uczynię! — zawołała Wincunia i odwróciła twarz od namiętności.

Ale namiętność wionęła ognistym wieńcem,

a z płomieni wypłynęła przed oczy dziewczyny twarz Alexandra.

— Patrz jaki on piękny! — wołała namiętność — jak on na ciebie patrzy! Czyliż nie widzisz w tém spojrzeniu gorącego serca, poetycznéj, młodzieńczéj duszy? Jakiém marzeniem i jakim ogniem tchną jego słowa... wzniosła i rozwinięta myśl dyktować je musi! A też złociste kędziory! dotknij ich, to jedwab'! Posłuchaj! mówi, że cię kocha, niebo w jego głosie...

Wincunia z zachwytem wpatrzyła się w twarz młodzieńca, w oczach jego dojrzała serce gorące, w słowach dosłyszała myśl wyniosłą i, składając ręce jak do modlitwy, drżącemi usty wyrzekła:

— Kocham!

Ale dobroć oliwną gałązką z wieńca wyjętą zamknęła usta dziewczyny.

— A tamtegoż nie kochasz? — spytała — rozstaniesz-że się z nim bez bólu i zostawisz-że go tęskniącym za tobą przez całe życie może?

Na głos dobroci z za mglistych chmur, jakiemi były owiane, wyroiły się wspomnienia... i otoczyły głowę Wincuni.

— Wspomnij! wspomnij! — wołały — jaki on zawsze był dla ciebie dobry, jak cię uczył, bronił od złych ludzi, pracował dla ciebie, a potém powtarzał ci tyle razy, że jesteś jego szczęściem, słońcem, radością!

Tu z nad głowy namiętności ruszył się rój marzeń i szalonym pędem uderzył we wspomnień chóry.

— Rzuć okiem w przyszłość — śpiewały słowicze głosy — pomyśl, jak ci błogo, radośnie będzie przy boku młodzieńca, dla którego tak żywo uderzyło twe serce! W niego-to wcieliła się dobroć prawdziwa i gorąca miłość, ale w połączeniu z pięknością i młodzieńczém weselem! Tamten, taki poważny, powiedzie cię drogą spokojną wprawdzie... ale jednostajną... bez blasku, ni tęcz... ten po tęczowym moście wprowadzi cię w krainę promieni, gdzie życie upłynie tobie szybko a rozkosznie, jak ta noc balowa...

— Wspomnij! wspomnij! — przerwały wspomnienia — alboż źle ci z nim było kiedy? alboż doświadczyłaś z nim choć jednéj chwili znudzenia lub żalu za czém innném, niż to, coś u jego znajdowała boku? Wspomnij te chwile, w których, razem wpatrując się w gwiaździsty strop nieba, tonęliście w rozkoszném wielbieniu piękności natury, a on wzrok twój wiódł od gwiazdy do gwiazdy, ucząc cię ich imion, jak mian sióstr twych rodzonych. Wspomnij te długie godziny, w których przez usta jego dochodziły do twego serca i wnikały w nie czarowne dźwięki ojczystéj poezyi i te inne, w których rozkładał on przed tobą karty dziejów rodzinnych, abyś, nauczona przez niego wielbić bohaterstwo i odczuwać boleści braci, klękała duchem przed wielką przeszłością i modliła się Bogu, aby przyszłość podobną jéj była! Czy te wy-

sokie uciechy, jakich doświadczałaś wtedy z nim i przez niego, mogą porównać się z temi, jakie ci sprawił tamten śród téj nocy tańca i płochéj zabawy? Spojrz wkoło siebie i wspomnij, kto stworzył dla ciebie ten śliczny, cichy światek, w którym dotąd, jak ptaszyna w swém gniazdku, żyłaś śpiewem, słońcem i poezyą? Kto zbudował ten miły, cichy domek? on; kto ozdobił bluszczem i różami ściany twego pokoju? on także, bo wiedział, że kochasz kwiaty. Kto zawiesił nad twém dziewiczém łóżeczkiem promienne oblicze Matki Boga?... on, bo pragnął, aby ona cię strzegła i aby z ust twoich rano i w wieczór płynęła do niéj czysta i podnosząca modlitwa. Spojrz na te pola, nad któremi teraz zachodzi słońce pogodne, — on je żyznemi uczynił; spojrz w swoję duszę, — on ją wywiódł z krain ciemności...

— O tak! to prawda! — szepnęła Wincunia i dwie łzy rozrzewnienia spłynęły z jéj oczu.

Ale namiętność spuściła znowu przed wzrok jéj skąpaną w płomienistym wieńcu twarz młodzieńca i zawołała:

— Patrz!

Wincunia patrzyła długo, ogień osuszył łzy w jéj oczach, poniosła dłonie do serca i rzekła cicho:

— Kocham!

— Nie prawda! — odpowiedziało sumienie — to, co czujesz; nie jest miłością, to tylko szał, obłęd, zgubny wir, który cię porwał i w którym utoniesz, jeśli

nie rzucisz się w moje objęcia. Miłością prawdziwą jest tylko to uczucie głębokie, spokojne, ufne, które masz dla narzeczonego. Ocknij się, zrozumiéj głos prawdy i posłuchaj sumienia!

— Posłuchaj nas — szepnęły wspomnienia —my tobie powiemy o jego wielkiéj miłości dla ciebie, o twoim spokoju i szczęściu, jakie posiadałaś, póki serce twe nie odbiegało od niego!

— Tak — mówiło sumienie — wtedy tylko byłaś prawdziwie szczęśliwą i prawdziwie czystą!

Dziś, spojrz, co się z tobą stało! Blada, zmęczona, rozmarzona i znękana, słuchasz walki naszych głosów i mocujesz się z sobą boleśnie.

Usłuchaj sumienia, a walka wnet się skończy; wróć do niego, a znowu spokój wstąpi w twoję duszę!

— O, wróć do niego! — powtórzyła dobroć — weź ten biały kwiat, który, gdy wpleciesz w twe włosy, weźmiesz rozbrat z dobrocią i sumieniem, i przystrój nim oblicze Matki Bożéj, które tam z nad łóżka twego tak smutnie teraz spogląda na ciebie!

— Wspomnij! wspomnij! i ofiaruj różę czystéj Maryi! — wołały wspomnienia.

— A razem z kwiatem tym ofiaruj Bogu uczucie, które tobą miota w téj chwili; gdy się go raz wyrzeczesz, zapomnisz o nim i będziesz szczęśliwa.

— Wspomnij! wspomnij! i ofiaruj różę czystéj Maryi! — powtarzał chór mglistych aniołów przeszłości.

I rozstąpiwszy się, dobroć i sumienie ukazały Wincuni białą różę, pochyloną w wodzie.

Dziewczyna rzuciła się ku róży, a oczy jéj utkwiły w obrazie Matki Bożéj, wiszącym nad łóżkiem.

— Wspomnij! wspomnij! i oddaj różę czystéj Maryi! — śpiewał nad nią radosny chór.

Palce Wincuni dotykały już kwiatu, na czole jéj jaśniał blask postanowienia; ale nagle namiętność pochwyciła wyciągnięte jéj ręce i gwałtownie przycisnęła je do serca. I powstało wielkie zamieszanie między walczącemi władzami ducha Wincuni. Marzenia rzuciły się na chóry wspomnień i głuszyły ich głosy swemi słowiczemi śpiewy; namiętność porwała za barki sumienie i, po długiém szamotaniu się, rozproszyła je w mgłę bardzo daleką; dobroć walczyła dłużéj, ale po chwili wionęła także w ognisty wieniec i zniknęła śród płomieni. Wtedy marzenia rzuciły na rój wspomnień pęki kwiatów, które niosły w ręku, a mgliste anioły otrząsły z nich swoje szaty i, płacząc, odleciały za znikającém w oddali sumieniem.

Wincunia została sam-na-sam z namiętnością.

Wtedy purpurowa pani ujęła ją w ramiona, zbliżyła twarz swą do jéj twarzy i przez usta jéj wstępowała do piersi. Wsuwała się w nie, jak żmija ślizka i paląca, a coraz głębiéj zapuszczając się we wnętrze dziewczyny, szeptała jéj słowa pieszczoty i miłości. W końcu Wincunia poczuła, jak płomie-

nisty wieniec rozpaloną obręczą ścisnął jéj serce, zadrżała i, jakby ze snu zbudzona, obejrzała się wkoło.

Cicho było i zmrok zapadał. Biała róża Alexandra stała przed nią i, dotykana wieczornym powiewem, przenikającym przez okno, poruszała listkami, niby błagając młodą dziewczynę, aby ją wplotła w swe włosy.

— Zmrok zapada — szepnęła Wincunia — a jego niéma jeszcze! Może nie przyjedzie?

Na tę myśl trwoga ją ogarnęła i serce ścisnęło się bólem.

— Może go czém zraziłam do siebie? — myślała — może źle tańczyłam? może mu co niemiłego powiedziałam?

Pod gankiem rozległ się turkot kół.

— Przyjechał! — zawołała dziewczyna, porwała się z miejsca i ręce przycisnęła do gwałtowną radością bijącego serca.

Ale zarazem spojrzała na różę i myśl przemknęła przez głowę, że to już chwila ostatnia, stanowcza... zaraz, natychmiast trzeba kwiat ten wpleść we włosy, albo odrzucić go i powiedziéć: nie!

I było jeszcze kilka sekund ostatniéj walki... zakryła oczy dłońmi, nieruchoma, pobladła, drżąca...

Nagle w przyległym pokoju ozwał się głos Alexandra, pytającego sługi, która go spotkała, gdzie są jéj panie.

Na dźwięk tego świeżego młodzieńczego głosu, Wincunia poskoczyła, porwała różę i ręce jéj podniosły się ku warkoczom. W mgnieniu oka była już przy drzwiach, otworzyła je i stanęłą w progu.

Alexander stał o kilka kroków od niéj, orzucił ją spojrzeniem, a przed oczyma jego śnieżny kwiat błysnął śród zmroku nad czołem dziewczyny.

— Z różą! — zawołał i rzucił się ku niéj — więc kochasz mię i będziesz moją! — dodał, ujmując jéj ręce.

— Kocham i będę twoją! — szepnęła Wincunia, a młodzieniec klęczał przed nią i tysiącem pocałunków okrywał jéj ręce.

XI.

Rozmyślania Alexandra.

Alexander wrócił z Niemenki upojony, szczęśliwy. Rodzice, pomimo wielkiego zmęczenia, czekali jego powrotu niecierpliwie i z ciekawością.

— I cóż? — spytał pan Jerzy, gdy Alexander ze zdwojoną, jakby gorączkową czułością, całował go w rękę.

— Jestem przyjęty, papo! — odpowiedział młodzieniec z radością i pewną dumą w głosie.

Oboje Snopińscy radośnie klasnęli w ręce.

— A cóż na to ciotka? — spytał pan Jerzy.

— Z początku była bardzo zakłopotana, gdym ją pokornie a usilnie zaczął prosić o rękę synowicy, wspomniała o Topolskim, o jakiéjś tam dla niego wdzięczności i nawet łzy miała w oczach. Ale Wincunia całowała jéj ręce i mówiła: moja ciociu, inaczéj być nie może, jam panu Alexandrowi już przy-

rzekła! Wtedy uklękliśmy oboje przed nią i pobłogosławiła.

— To chwała Bogu! — zawołał pan Jerzy — gracko spisałeś się chłopcze i choć mi żal trochę Topolskiego, toć jednak pewny jestem, że nic mu się bardzo złego nie stanie. Zanadto jest on rozsądny, aby miał desperować po dziewczynie, a zresztą, jeśli ona jego nie kocha, to i nie wielką miałby z niéj pociechę, bo małżeństwo bez miłości i torby plew nie warte. Podobała mi się szczerze ta twoja Wincunia; ładne to, dobre widać i potulne dziecko, a przy tém posażek panna ma wcale niezły i musi cię bardzo kochać, kiedy dla ciebie takiemu porządnemu człowiekowi, jak Topolski, odmówiła. No, niech Pan Bóg błogosławi, niech Pan Bóg sekunduje.

Alexander klęczał przed rodzicami i ściskał ich kolana. Pani Snopińska pocałunkami i pieszczotliwemi słowy okrywała jedynaka, a pan Jerzy kręcił siwego wąsa, milczał parę minut, potém podniósł syna i rzekł, patrząc nań z powagą i przywiązaniem:

— Słuchaj, Olesiu! Matka cię całuje w téj ważnéj chwili twego życia i płacze: nie dziwota to, bo u kobiet całe serce pokazuje się zawsze w łzach i pocałunkach. Ja zaś, mężczyzna i stary, zgrubiały w pracy, nie zdatny jestem do niewieścich pieszczot i kwileń, niemniéj jednak kocham cię także. Bóg widzi, że kochałem cię może zanadto, gdyś był dzieckiem, a przez to i pobłądziłem w wychowaniu two-

jém. Ale co się stało nie odstanie i daremnie-by teraz było rozwodzić przed tobą żale nad przeszłością. Niechże miłość moja dziś przynajmniéj okaże się tobie w słowach ojcowskiéj przestrogi i nauki...—Otarł nieznacznie łzę, która cisnęła się mu do oka i mówił daléj :

— Żenisz się i dobrze robisz; chciałem tego, bo sam ożeniłem się bardzo młodo z kobietą, którą szczerze miłowałem i do dziś dnia jeszcze miłuję, mimo lat podeszłych. Wiem, co to jest familia, jakie poczciwe uczucia wkłada ona do serca i jak wypędza z głowy niestatek i głupie nałogi. Ty, mój chłopcze, masz dobre serce, spryt niepomierny, pojęcie, jakiém nie każdego Pan Bóg obdarzył, ręce zdatne do wszystkiego, do czego się szczerze wezmą. To są twoje zalety, których ci nikt odmówić nie może. Ale zarazem jesteś wietrzny, bałamut, nie lubisz pracy, a lubisz hulanki, masz pańskie fumy i zachcianki, które biednego szlachcica do torby i kija żebraczego prowadzą. Otóż, dopóki byłeś przy nas, wolny, sam jeden, było to złe, ale mniejsze; teraz, gdy się ożenisz, będzie to złe kapitalne, jeśli, uchowaj Boże, nie przełamiesz go w sobie. Bo uważasz, moje dziecko, ojciec familii to nie puste słowo, owszem, przedstawia ono pełno obowiązków, wyrzeczeń się, prac, które człowiek ponosić musi wtedy, gdy już nietylko sam o własnych siłach żyje na świecie, ale, gdy i inni o jego siłach żyją. Jeżeli pojmiesz i spełnisz te obowiąz-

ki, będziesz miał wielkie uciechy, ani słowa. Ale uciechy te nie będą takiemi, jak te, które dotąd lubiłeś. Nie znajdziesz ich i nie powinieneś ich szukać ani na sali u Szlomy, ani w domu téj wietrznicy, pani Karliczowéj, ani w umizganiu się do panien i wiejskich dziewcząt. Uciechy te, jeżeli na nie zasłużysz, znajdziesz przy boku dobréj i ładnéj żony, którą sam sobie wybrałeś bez żadnego przymusu, na widok dzieci, którem i cię pewnie Pan Bóg obdarzy, w gospodarstwie, z którego ty i familia twoja chleb będziecie jedli, a nadewszystko w spokojności i zadowoleniu własnego sumienia, które mówić ci będzie, że żyjesz, jak uczciwemu człowiekowi żyć przystoi. Takie tylko uciechy ja miałem w życiu mojém, mój chłopcze. W bilard, ani w karty nie grałem, zbytecznego użycia trunków i hulanek wszelkich strzegłem się jak ognia, odkąd pobrałem się z Anulką, do żadnéj innéj kobiety konkurów nie stroiłem. To téż przebyłem życie uczciwie, nie bez trudności, nie bez kłopotów, nie bez potu czoła, o tém wszystkiém jeden Bóg tylko wiedział; ale także i nie bez dni szczęśliwych i wesołych, a bez grzechu krzywdy ludzkiéj i zgryzoty sumienia. Tak i ty zrób, Olesiu: porzuć pańskie fumy i gusta, które dla niebogatego szlachcica wcale są niepotrzebne, porzuć hulanki z młodzieżą pustą, bałamuctwa, a zajmij się szczerze pracą, gospodarstwem, kochaj żonę całém sercem, siedź więcéj w domu, niż za domem, i staraj się, aby na twoje sumienie

nie upadła żadna łza kobiety, która przez miłość dla ciebie wyrzekła się człowieka ze wszech miar zacnego, i tak mało cię znając, powierzyła ci przyszłość. Oto, moje dziecko, ojcowska przestroga, którą ci daję u wstępu twego do nowego życia. Powiedziałem ją nie po salonowemu, nie uczenie, po prostu, ale serdecznie. Przyjm ją od ojca razem z błogosławieństwem, które niech zawsze, w złéj i dobréj doli, ci towarzyszy...

Łzy zatamowały głos starego dzierżawcy; Alexander, rozrzewniony, znowu rzucił się do nóg jego.

— A teraz — rzekł po chwili pan Jerzy — muszę ci téż powiedziéć, Olesiu, jaki fundusz możesz spodziewać się otrzymać ode mnie. Ludzie okrzyczeli mię za bogacza i ty może podzielasz ich zdanie. Otóż mylicie się wszyscy. Bogactwo dzierżawcy zwykle jest tak małe, jak życie jego trudne i praca ciężka.

Trzymam w dzierawie majątek spory, opłaciłem hrabinie za niego za dwa lata z góry, mam porządne inwentarze, to wszyscy widząc, krzyczą: kapitalista! Tymczasem, moje dziecko, całego majątku posiadam 10,000 rubli i to z mozolną zebranych pracą. Mógłbym wprawdzie zebrać więcéj, ale z krzywdą ludzką i złą sławą u ludzi; nie chciałem tego i posiadam tylko tyle, ile sumiennie zarobiłem. Otóż, gdy ożenisz się, odkupię dla ciebie od pani Niemeńskiéj połowę Niemenki, która do niéj należy, dodam ci jeszcze tysiąc rubli gotówką na nowe gospodarstwo i to już bę-

dzie większa połowa całego mego funduszu. Resztę zostawię u siebie, aby nam z Anulką starczyło do końca życia; może coś jeszcze dorobię w obrotach, a co zostanie po naszéj śmierci, rozumié się, ty weźmiesz także, boś nasz jedynak. Tymczasem, licząc z posagiem żony, będziesz miał wcale niezły majątek. Niemenka to ładny folwark, choć nie wielki, i tak wybornie zagospodarowany, że, stosownie do rozległości, dochód daje bajeczny prawie. Gdy więc będziesz miał statek, będziesz miał i dostatek i o to jestem spokojny.

Umilkł pan Jerzy, a na twarzy Alexandra malował się zawód i zdziwienie. Wyraźném było, że cyfry, które wyszły z ust ojca, strąciły go z obłoków; sądził dotąd, że rodzice posiadają przynajmniéj trzy razy większy kapitał. Tak był jednak przejęty różnemi wrażeniami dnia tego, że na razie nie zatrzymał się długo na przykrych myślach, które w nim powstały, i w milczeniu ucałował rękę ojca.

— O dalszych szczegółach twojéj żeniaczki pomówimy potém — rzekł pan Jerzy — a teraz idźmy spać, bo okrutnie zmęczony jestem wczorajszemi hecami i, czekając na ciebie z Anulką, drzemaliśmy już po trochu.

W kilka minut po téj rozmowie, Alexander był już sam jeden w swoim pokoju.

Jak bywa ze spienionemi potokami wody, spadającéj z pod młyńskiego koła, tak było z jego myślami

Jak w téj wodzie lecącéj z pędem i hukiem są perły czystych kropel, piany mętne, kamyki błyszczące, bryzgi błota, przeglądające się w falach, lilie wodne i szare płazy, podnoszące się z dna ruchomego, tak w myślach młodzieńca pieniło się, burzyło, kwieciło, błyskało, szumiało, a z ruchomego dna serca, bryzgał muł brunatny i powstawały mętne poczwarki, utworzone ze złych naleciałości życia.

Z takiego zamętu przypłynął do ust jego wyraz: żenię się!

Wyrzekł to głośno i stanął przelękniony.

Dziwna rzecz! — tak długo o tém myślał, tak się o to gorączkowo starał, a teraz zdjęła go obawa.

W téj chwili odległe jakieś wspomnienie przyniosło mu do ucha echo komicznéj, chórem śpiewanéj przez jego towarzyszy zabaw piosenki: „Wilczysko się ożeniło, uszy opuściło!”

Jął rozmyślać nad treścią téj piosenki.

Dla czego ożeniwszy się wilczysko opuszcza uszy, no, a człowiek naturalnie nos na kwintę spuszcza, bo organizm jego uszu nie skłonny jest do téj manipulacyi?

Dla tego zapewne — myślał Alexander — że póki jest nie żonatym, robi sobie, co chce, bawi się, jak chce, kocha się i bałamuci, z kim chce, a gdy ożeni się, klamka zapada i zamiast: „tak chcę”, musi mówić sobie: „tak powinienem”, zamiast własnéj i nieprzymuszonéj woli ma obowiązki.

Obowiązki? ależ to niewola, przymus, wyrzeczenie się wielu przyjemnych rzeczy!

Obowiązki? gwałtu!

Porwał się z krzesła, schwycił się obu rękoma za głowę i począł biegać po pokoju.

Ale gdy tak biegał, pomyślał sobie znowu:

Ba! ale nie żeniąc się, jakże mieć Wincunię? a ona taka śliczna, cudna! jakie oczy, jakie włosy, jaka dobra, a jak mnie kocha! A i ja ją kocham, dalibóg kocham szalenie!... Ech! czemu to ona nie jest lepiéj jaką wiejską dziewczyną, moglibyśmy się kochać, a jabym został sobie dla tego *liber baron*, jak mówi pani Karliczowa! ale z nią... gdzie tam!... trzeba żenić się i basta! a przytém wziąłby ją ten Topolski, co nawet tańczyć nie umié! Cha, cha, cha! nie umié tańczyć w dziewiętnastym wieku! szkoda by jéj było, uratuję ją od niego! A jak to będzie dobrze, gdy się ożenię! Będziemy sobie mieszkali w Niemence, postawię tam piękny nowy dom, bo naturalnie w takim małym żyć nie sposób, no i do gospodarstwa się wezmę.

Powiadają, że Topolski cudo jakieś zrobił z téj Niemenki, jeżeli on potrafił zrobić jedno cudo, to ja zrobię dwa i będę sobie bogaty...

Bogaty? oj

Stanął i zaczął kręcić wąsik.

Ojciec daje tylko kilka tysięcy! Nie spodziewałem się tego, myślałem, że ma daleko większy ka-

pitał. Gdybym był wiedział, że posiada tak niewielki fundusz, byłbym pomyślał o bogatém ożenieniu się, a mógłbym, mógłbym bogato ożenić się! Już i Józia Siankowska trzy razy większy ma posag od Wincuni, tylko, że strasznie czerwona i ma wielkie ręce! A pani Karliczowa? i ta poszła-by za mnie choć z dziesięć lat starsza ode mnie. Wprawdzie to już za bogata dla mnie pani, ale czego to na świecie nie bywa! Przytém ma ona do mnie taką słabość, że gdybym tylko... Ależ trzydzieści lat, fi! nie, jednak dobrze to, że się ożenię z Wincunią, siedemnaście latek, serduszko takie świeżutkie, jak i twarzyczka! taka śliczna buziulka! ach, serce ty moje! aniołku!

Uśmiechnął się i machinalnie wyciągnął ramiona, jak gdyby widział przed sobą Wincunię. I piękne wtedy blaski przechodziły po jego ruchoméj twarzy, w oczach zajaśniała poezya młodzieńcza, zamgliła się rzewność...

Kocham ją, mówił do siebie, i będę zawsze kochał za jéj miłość dla mnie. O, bo i ona mię kocha, o, kocha! Jak jéj dziś pięknie było z tą białą różą w warkoczu! Boże mój! jakże się obawiałem zobaczyć ją bez tego kwiatka! o jak mię żegnała, jakie rączki miała gorące, i jak jéj oczki błysnęły, gdy mówiła mi: do jutra! o droga moja! śliczna!

Upadł na krzesło i zatonął w marzeniach: wszystko, co w duszy jego było piérwotnie piękném i do-

brém i co zbrukane zostało naleciałościami życia, jakie prowadził, wypływało mu na twarz oczyszczone i opromieniało czoło nimbusem młodzieńczych uczuć.

Nagle zerwał się i zawołał prawie głośno: — Ależ moja złota swoboda! stracę ją! aj, aj, aj! — I zaczął znowu biegać po pokoju.

Piękna rzecz, myślał, siedziéć ciągle w domu, jak ojciec mówił, wyrzec się wszystkiego, co wesołe, co robi przyjemność! Gdybym przynajmniéj był starszy! Ale w tym miesiącu zacząłem dopiéro dwudziesty drugi rok! Tak młodo stracić moję miłą, złotą swobodę! straszne rzeczy! oto wlazłem! Jak będę żonaty, żadna panna już i patrzéć na mnie nie będzie! Czemuż nie jestem przynajmniéj o jakie ośm lat starszy, nie tak bym tego żałował? Żeby to można było dodać sobie wieku! jakby to było dobrze! Ożenił-bym się z Wincunią i nie żałował-bym już swobody. Ech, ta nieznośna młodość!

Znowu odległe echo przyniosło mu do ucha piosenkę o ożenionym wilku i opuszczonych uszach.

Zmarkotniał bardzo.

Et — rzekł po długiém myśleniu — daremnie tylko gryzę się! nie taki dyabeł straszny, jak go malują i żonaty człowiek nie taki niewolnik, jak to niektórzy powiadają. Alboż mało znam żonatych ludzi, którzy prowadzą życie rychtyg takie, jak gdyby kawalerami byli! Przeciwnie, teraz dopiéro wyjdę na

zupełną swobodę, bo będę miał swój dom, swój majątek, swoje stanowisko w towarzystwie. Do tego czasu musiałem o wszystko pytać się i prosić ojca, a choć naprawdę rzadko mi odmawiał, ale za to gderał, gderał, ile wlazło. Prawda, że robił to z dobrego serca, wiem o tém, poczciwy ojciec! Ale zawszeż to była zależność, a jak ożenię się, będę już zupełnym panem mego domu, majątku i postępowania. Wincunia to aniołek! ona nie będzie taka, jak niektóre żony bywają, co to dokuczają mężowi kaprysami i gderaniem. Gdzie tam! to sama dobroć i łagodność! Et wszystko dobrze będzie! Wincunia będzie moją, Topolski weźmie harbuza, będę miał własny dom i majątek, a dla tego swobody mojéj nie stracę! No, już téż trochę jéj stracę... ma się rozumiéć... ale nie zupełnie...

Zaczął nucić piosenkę, w któréj powtarzało się często imię Wincuni i spać się położył.

Ostatni obraz, który ujrzał przed zamknięciem oczu, było dziewczę w różowéj sukni, śród zmroku stojące w progu drzwi i, z rękoma złożonemi w jego dłoniach, mówiące po cichu:

— Kocham i będę twoją!

Wpatrując się w to urocze widziadło, usnął z rozkosznym na ustach uśmiechem.

XII.

Odrzucony.

O dość wczesnéj przedpołudniowéj godzinie, Wincunia stała w swoim pokoju przy tém samém otwartém oknie, przy którém wczoraj długo rozmyślała i walczyła. W twarzy jéj i postawie malowało się silne postanowienie, milczała i wzrokiem prowadziła za ciotką, która żywo i nierównym krokiem chodziła po pokoju. Okulary pani Niemeńskiéj podniesione były na czoło, w ręku trzymała rozpostartą chustkę do nosa, którą machała, gestykulując. Suknia jéj była źle zapięta, czepek ułożony na bok, cała słowem osoba przedstawiała niezmierny niepokój i zakłopotanie.

— O Matko Bozka Ostrobramska! — wołała, nie przestając chodzić—co ja jemu powiem? Jak ja jemu to powiem? Oto nawarzyłaś piwa Wincuniu! Kto to mógł tego spodziewać się? Tyle lat znajomości, przyjaźni i jak tu teraz tego człowieka raptem obu-

chem uderzyć w głowę? Słuchaj, Wincuniu — zawołała, stając nagle przed synowicą — a może ty się jeszcze rozmyślisz? Co?

Wincunia zwolna poruszyła głową i odpowiedziała stanowczo:

— Nie, moja ciociu, gdybym się mogła rozmyśléć, stało-by się to wczoraj.

— A więc sama mu powiedz wszystko, jak przyjdzie — zawołała pani Niemeńska, machając chustką; — wyjdź do niego i powiedz: nie pójdę za pana, bo kocham innego! ot i będzie koniec.

— Nie, ja jemu tego nigdy sama nie powiem, nie mogę, nie mam siły! — zawołała Wincunia, składając ręce.

— Widzisz, a chcesz, żebym ja mówiła. I mnie także trudno! Zdawało się, że będzie łatwo tak sobie powiedziéć jemu: bądź zdrów! i po wszystkiém! Ale gdy już ten moment nadchodzi, to i sama nie wiem co robić, od czego zacząć, w jaki sposób powiedziéć. O Chryste Ukrzyżowany ratuj mię! ja chyba zwaryuję!

Chodziła po pokoju w wielkiém poruszeniu, nagle stanęła przed synowicą i znowu spytała:

— A może ty się jeszcze rozmyślisz, koteczko?

Cierpienie odmalowało się na twarzy Wincuni.

— Ciociu najdroższa! — zawołała — nie zadawaj mi więcéj tego pytania, bo mi od niego serce boli! Ty ciociu nie wiész, ile cierpiałam, ile walczyłam, czyż

sądzisz, że nie cenię Bolesława wysoko? Że nie czuję, iż źle czynię zawodząc go i sprawiając mu boleść? Ależ, mój Boże, nie mogę inaczéj.... nie mogę...

Łzy głos jéj zatamowały, pani Niemeńska podeszła do swéj pieszczoszki i, głaszcząc jéj policzki, rzekła:

— Wiem, wiem koteczko, że i tobie musi to być bardzo przykro i sama także poczuwam się do winy, że dopomogłam do urządzenia tego bigosu. Ślepota! ślepota! trzebaż mi było zapraszać Snopińskiego do Niemenki! Ale czyż mogłam się spodziewać? Byłam pewna, że kochasz Topolskiego i przypuściła-bym, że w nocy słońce zaświeci, jak, że ty z nim kiedykolwiek rozstać się zechcesz. Co bo téż to za człowiek ten Topolski! Drugiego takiego z latarnią na świecie poszukać. Znam ja jego, znam, to brylantowe serce!

Zamyśliła się smutnie staruszka i nieznacznie łzę otarła.

— Ha — rzekła po chwili — poprawiając okulary, może dla tego, aby przed synowicą ukryć łzy, które gwałtem cisnęły się do oczu — ha, cóż robić? stało się! młode twoje serce pociągnęło cię do młodszego i nie dziwota! Snopiński to chłopak, co się zowie, grzeczny, ładny, salonowy, a zdaje się, że przytém i poczciwa dusza. I z nim pewno będziesz szczęśliwa, ja zaś przeciwko niemu nic nie mam,

ani słowa, tylko mi poczciwego Bolesława szkoda. Jak ja mu to powiem, mój Boże, jak ja mu to powiem?...

I znowu chodziła po pokoju w wielkiém zakłopotaniu i zgryzocie.

Nagle Wincunia odskoczyła od okna na środek pokoju i zakryła oczy rękoma.

— Jezus, Marya, a toż co? — zawołała z przestrachem pani Niemeńska. Wincunia cała drżąca pochwyciła ciotkę za rękę i szepnęła:

— Bolesław idzie! jakby zobaczył mię w oknie, zacząłby ze mną rozmawiać. Idź, już idź, moja ciotuleczko.

W istocie Bolesław wszedł na dziedziniec od strony pola: znać wracał już od gospodarstwa. Dwóch chłopaków kręciło się koło studni.

— Héj Adasiu — zawołał na jednego z nich Bolesław — załóż konia do wozu i zawieź beczkę wody żniwiarzom, bo będzie w dzień siarczysty upał.

Skierował się ku gankowi, mimochodem rzucił spojrzenie na okno Wincuni i przyśpieszył kroku.

Pani Niemeńska za głowę się schwyciła.

— Jezus Marya, co ja nieszczęśliwa pocznę? Jak ja jemu to powiem? — powtarzała.

Kroki Bolesława dały się słyszéć w przyległym pokoju.

— Pod Twoję obronę uciekamy się... — zaszeptała pani Niemeńska, stojąc u drzwi — w imię Ojca,

i Syna i Ducha św. — dokończyła, żegnając się i z wyrazem *Amen* na ustach pocisnęła klamkę, wyszła i prędko drzwi za sobą zamknęła. Wincunia została na środku pokoju niema, skamieniała z opuszczonemi rękoma i z cierpieniem na twarzy. Parę razy podnosiła wzrok na święty obraz, wiszący nad łóżkiem, ale dziwna rzecz, powieki jéj wnet opuszczały się, przyciskane ciężarem wstydu i żalu.

— Dzień dobry pani — ozwał się do gospodyni domu pogodny i serdeczny głos Bolesława — oglądałem gospodarstwo w Niemence i zaszedłem do pań; takem się już za paniami stęsknił... — Nagle urwał i zawołał:

— Co to pani? czyś pani nie chora?

Zwiędłe policzki pani Niemeńskiéj zabarwiły się rumieńcem gorączkowéj niespokojności, oczy jéj, pełne łez, z za okularów wpatrywały się w twarz Bolesława.

— Co to jest? — pytał Topolski z wzrastającym niepokojem—gdzie Wincunia? może to ona chora?— Bladość przemknęła mu po czole.

— Nie to, nie, kochany panie Bolesławie — rzekła pani Niemeńska niepewnym głosem — Wincunia nie jest chorą, ale źle z nią jest, bardzo źle!

— A! — krzyknął Bolesław — cóż się z nią dzieje? gdzież ona? niech-że ją zobaczę!

I zrobił krok ku drzwiom Wincuni, ale pani Niemeńska zastąpiła mu drogę.

— Nie idź tam, nie idź, kochany panie Bolesławie — zawołała — oto pójdźmy lepiéj do ogrodu, tam ci wszystko powiem!

Straszne jakieś myśli przesunęły się zapewne po głowie Bolesława, bo twarz jego nabrała posępnego wyrazu.

— Czemuż mi pani tu, zaraz mówić nie chcesz? — spytał stłumionym głosem, ale pani Niemeńska żywo postąpiła ku drzwiom od ogrodu, Bolesław poszedł za nią.

Przeszli połowę alei, milcząc, pani Niemeńska mięła w ręku chustkę od nosa.

— Cóż się stało Wincuni? — ozwał się nareszcie Bolesław, a w głosie jego były tortury zaniepokojonego serca.

— Kochany panie Bolesławie — zaczęła pani Niemeńska, patrząc w ziemię — sama nie wiem doprawdy, jak mam ci powiedziéć o tém, co się stało. Nie gniewaj się na nas... nie bierz nam tego za złe... my wiemy i pamiętamy, ile dla nas uczyniłeś... my szanujemy cię, kochamy, ale widzisz, któż mógł przewidziéć?... Wincunia taka młoda, a to taki ładny i miły chłopiec...

Straciła wątek i nie wiedziała już, co mówić daléj.

Bolesław stanął nagle, i oparł się plecami o drzewo.

— Na miłość Boga, mów pani wyraźniéj!—rzekł z cicha.

— Ha! — zawołała pani Niemeńska zdobywając się na energią — w imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go Amen, niech się dzieje wola Boża, to już i trzeba raz wszystko powiedziéć! Wincunia pokochała się w młodym Snopińskim i wczoraj przyrzekła mu, że za niego pójdzie!

Krótki, głęboki jęk, ozwał się w piersi Bolesława, jakby mu tam coś nagle pękło. Podniósł strasznie bladą twarz i, nieprzytomnemi oczyma, wpatrzył się w panią Niemeńską.

— Co pani mówi? — zapytał — zdaje mi się, żem źle usłyszał!

Pani Niemeńska zlękła się bladości jego i spojrzenia i pochwyciła go za obie ręce.

— Mój dobry, mój złoty, mój kochany panie Bolesławie — mówiła, a łzy biegły z jéj oczu po rozpalonych policzkach—nie martw się, nie desperuj, znajdziesz sobie inną! Wincunia widać za młoda dla ciebie i serce pociągnęło ją do młodszego. Bóg widzi, jakie mi to sprawia zmartwienie, a i ona biedaczka cierpi nad tém bardzo, bo kocha cię jak brata, jak przyjaciela, ale w tamtym rozkochała się i powiada, że żyć bez niego nie może, cóż robić? Serce nie sługa! pójdź, kochany panie Bolesławie, do altany pogadamy o wszystkiém!

Bolesław słuchał z pochyloną na piersi głową,

z oczyma szklano utkwionemi w ziemię. Wyglądał na człowieka, który zupełnie nie rozumié, co się z nim dzieje i nie może odszukać wątku myśli. Automatycznie poszedł za panią Niemeńską do altany i usiedli oboje na ławce.

Ciotka Wincuni, po przełamaniu piérwszych lodów, ośmieliła się i nabrała wymowy. Opowiedziała Bolesławowi cały przebieg znajomości Wincuni z Alexandrem, jak ona nie wiedziała wcale o tém, że dziewczyna była już nim zajęta, jak Wincunia nikomu się nie zwierzała, bo walczyła z sobą, jak właśnie z tego powodu mizerniała, bladła i t. d. Skończyła na opowiedzeniu o wczorajszym wieczorze, jak młody Snopiński przyjechał, oświadczył się, Wincunia mu przyrzekła, a ona nie mogła sprzeciwiać się, widząc wzajemną miłość, dwojga młodych ludzi, tém bardziéj, że Wincunia ma swoję wolę, i swój fundusz, a ona nie jest jéj matką, ale tylko ciotką, która wprawdzie kocha ją jak matka, ale władzy rodzicielskiéj nad nią nie posiada.

Bolesław nie przerywał jéj ani jedném słowem: ręce skrzyżował na piersi, oczy utkwił w ziemię a z twarzy jego nie ustępowała wielka bladość.

Gdy pani Niemeńska umilkła, zaczął mówić zniżonym i trochę przerywanym głosem, nie odrywając wzroku od ziemi:

— Wiadomość, którą otrzymuję od pani w téj chwili, nie znajduje mię całkiem nieprzygotowanego.

Miałem przeczucie... ale brałem je za urojenie... związek mój z Wincunią zdawał się tak ścisły... tak pewny...

— Cóż jest pewnego na tym świecie, kochany panie! — przerwała z westchnieniem pani Niemeńska.

— Cóż jest pewnego na świecie? — powtórzył zwolna Bolesław — ja przecież myślałem, że *to* było pewne, jeżeli jednak Wincunia mię nie kocha... jeżeli to potrzebne do jéj szczęścia...

Zatrzymał się, jakby mu tchu zabrakło.

— Ustępuję z drogi jéj życia! — dokończył, powstając z ławki; zdwojona bladość twarz mu pokryła i znowu plecami oparł się o drzewo.

Pani Niemeńska powstała także i sama już nie wiedziała, co ma mówić. Bolesław ozwał się piérwszy:

— Chciałbym tylko, jako dawny przyjaciel zapytać panią, czy w istocie znajdujesz wybór panny Wincenty trafnym? Czy związek z panem Snopińskim zapewnia jéj przyszłość szczęśliwą?... Jeżeli nie kocha mię... może nie zostać moją żoną, ale dla czegoż ma wychodzić za człowieka, który...

Zatrzymał się i po chwili milczenia dokończył:

— W istocie, pani mię posądzić możesz o chęć obmawiania człowieka, który odebrał mi serce Wincuni... ale... wierz mi pani, że w téj chwili mniéj

czuję stratę osobistych moich nadziei, jak trwogę o jéj przyszłość...

— O, bądź pan pewny, że i ja także... — zaczęła pani Niemeńska.

— Że i pani także dbasz o przyszłość panny Wincenty — przerwał Bolesław — a ponieważ potwierdziłaś wybór, musisz w nim widziéć jéj szczęście... Ja doprawdy, miałbym wiele do powiedzenia o tém, ale w téj chwili nie mam siły... chciałbym widziéć Wincunię i pożegnać się z nią...

— Pójdę powiem jéj o tém — rzekła pani Niemeńska i śpiesznie poszła ku domowi.

Bolesław został w altanie, na jedném miejscu, oparty o drzewo. Twarz jego przybrała całkiem niezwykły wyraz. Po ustach błądził uśmiech gorzkiego szyderstwa, oczy, utkwione w ziemię, płonęły posępnym blaskiem, z którego łatwo można było wyczytać, stopniowe konanie w sercu wielu wiar i nadziei.

Bardzo powolnym krokiem opuścił altanę. Gdy stanął na progu pokoju, piérwszy raz oderwał oczy od ziemi, powieki jego podniosły się z trudnością, jakby je tłoczyła niewidzialna jakaś siła. Spojrzał i zobaczył na środku pokoju stojącą Wincunię, z obwisłemi rękoma i bladą twarzą. Na ten widok stanął jak wryty i długo wpatrywał się w twarz i postać dziewczyny. Im dłużéj patrzył, tém więcéj z ust jego znikał wyraz goryczy i szyderstwa, a okrywał je

głęboki żal, w oczach, zamiast rozpaczy, zajaśniał smutek cichy, a po nad tém, po całéj twarzy rozlała się wielka, bolesna litość.

Wincunia ze zdumieniem patrzyła na niego. Spodziewała się zapewne, że przyjdzie ku niéj rozżalony, pełen goryczy i wyrzutów, a ujrzała go tak samo łagodnym i rzewnie patrzącym na nią jak zwykle, a tylko bladym, tak bardzo bladym, iż zdawało się ani jednéj kropli krwi w twarzy jego nie było.

Nie spuszczając z niéj wzroku, przystąpił do niéj i wziął ją za rękę: poczuła wtedy, że mimo dnia upalnego, ręce jego jak lód były zimne.

— Panno Wincento — ozwał się głosem zniżonym ale spokojnym — czy ciotka pani prawdę mi powiedziała, że...

Usta mu zadrżały, zasunął rękę za klapę surduta i przycisnął nią piersi.

— Że mię pani nie kochasz — dokończył, mocując się z drżeniem głosu.

— Panie Bolesławie — z cicha rzekła Wincunia — ja kocham pana jak brata, jak przyjaciela...

— A jak narzeczonego, jak kochanka kochasz pani tamtego — wyrzekł Bolesław, mocując się z boleścią, aby nie wybuchnęła na zewnątrz.

— Tak — szepnęła Wincunia.

Bolesław wypuścił jéj rękę ze swéj dłoni, pochylił głowę, w oczach jego błysnął znowu posępny wyraz, po ustach przebiegło szyderstwo i na całéj twa-

rzy odbiła się walka świateł i cieniów, które w głębi jego piersi musiały walczyć z sobą. Krótko to jednak trwało: podniósł czoło, bledsze jeszcze niż było wprzódy, wziął obie ręce Wincuni i, patrząc głęboko w jéj oczy, rzekł z dziwną słodyczą i uroczystością w głosie:

— Nigdy pragnienie własnego szczęścia nie miało piérwszeństwa w myślach mych i nadziejach przed pragnieniem szczęścia dla ciebie. Kochałem cię nietylko dla tego, że byłbym sam szczęśliwy, posiadając cię, ale i dla tego, że zdawało mi się, iż ze mną spędzone twoje życie będzie pogodne i szczęśliwe... Powinnaś była wiedziéć o tém... pojąć mię, boć otwierałem przed tobą całą duszę moję... dla czego-żeś nie miała ufności we mnie?... dla czego nie powiedziałaś mi od razu, że serce twoje biegło w inną stronę? Czemu walczyłaś, cierpiałaś, milcząc przede mną? Byłbym już wprzódy ustąpił z drogi twojéj... bez skargi, bez żadnego do ciebie żalu... a tylko możeby rada moja, przyjaźń, doświadczenie zdołały ci otworzyć oczy na niejednę rzecz, któréj nie widzisz... Może przed wiekuistém rozstaniem zdołał-bym uchronić cię od wielu bólów w téj długiéj przyszłości, w któréj obcymi już sobie będziemy...

Zatrzymał się; zdawało się, że był bardzo zmęczony mówieniem i że na dalsze sił mu i głosu zabrakło. Uczynił jednak szybkie wysilenie i rzekł jeszcze:

— Wincuniu, daruj mi pytanie, jakie ci uczynię; może nie delikatném je znajdziesz... aleć przecie jam twój przyjaciel od lat dawnych, a chwila to dla mnie tak uroczysta i wielka, że z pamięci mi schodzą formy i zwyczaje... Powiedz mi: czyś dobrze poznała człowieka, któremu powierzasz swą przyszłość? Czy pewną jesteś, że będziesz z nim zupełnie szczęśliwą?

Najwyższe zdumienie odmalowało się na twarzy Wincuni. Jakto? ten człowiek, odrzucony przez nią tak nagle, ten człowiek tak głęboko przez nią w serce zraniony, nie ma dla niéj ani jednego wyrzutu, ani jednéj skargi, a zamiast tego, myślą swą zatopiony w bólu, troszczy się jeszcze o jéj szczęście, o niém mówi, o nie pyta? Przypomniała sobie słowa ciotki: „to brylantowe serce!” i głębokie przywiązanie, rzewna, wdzięczności pełna cześć, zdjęły ją dla tego, z kim rozstawała się na zawsze. Sama nie wiedząc, co czyni, obie ręce położyła na jego ramionach, jak dawniéj bywało, i patrzyła mu w twarz pełnemi łez oczyma.

— Jakiś ty dobry! jakiś ty zacny! — wyszeptały jéj usta.

Błyskawiczny promień radości oświecił zbladłą twarz Bolesława.

— Wincuniu! jedyna moja! — zawołał, i zapominając o wszystkiém, porwał ją w objęcie i przycisnął do piersi. Ale trwało to kilka zaledwie sekund;

ramiona jego rozpadły się, na twarz wystąpił wyraz powrotu do strasznéj rzeczywistości.

— Panno Wincento — rzekł po chwili milczenia — wejdź w samę siebie i odpowiedz na moje pytanie. Pytam cię, jako przyjaciel, drżący o przyszłość twoję: czy znasz dobrze, gruntownie, czy znasz duszę człowieka, z którym chcesz się połączyć? Czy nie łudzą cię pozory? Czy uczucie, jakie cię ku niemu wiedzie, jest prawdziwe i trwałe? czyś dobrze zbadała samę siebie?

Wincunia długo milczała pod wpływem zmieszanych uczuć i myśli, potém wyrzekła zwolna i stanowczo:

— Kocham go!

Drżenie przebiegło po całém ciele Bolesława.

— Kochasz go, pani — rzekł zniżonym głosem— tak, to słowo wiele mówi! Czy wszystko? nie zawsze... ale nie pora dla mnie i nie miejsce tu moje, abym pani dłużéj robił przedstawienia i pytania zadawał. Żegnam panią! przestaniemy widywać się, ale ja nie przestanę być twoim przyjacielem... nigdy... Niech Bóg cię strzeże i da ci taką przyszłość, o jakiéj ja śniłem z tobą i dla ciebie...

To rzekłszy, wypuścił rękę Wincuni, którą trzymał w swéj dłoni i powoli skierował się ku drzwiom. Wincunia patrzyła na niego z takiém rozrzewnieniem, że aż graniczyło to z boleścią. Gdy ujął za klamkę drzwi, wyciągnęła ręce i zawołała z żalem:

— Bolesławie!

Zwrócił ku niéj twarz, ale wykrzyk młodéj dziewczyny nie sprowadził na niego najmniejszego błysku nadziei lub radości. Wszystkie siły jego moralne wyczerpały się w niezmiernéj walce, którą musiał staczać z sobą, rozmawiając z Wincunią; popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i wyszedł.

Wincunia upadła na najbliżéj stojące krzesło i w głos zapłakała.

Bolesław szedł ścieżką, przez gaj do Topolina wiodącą, tą samą ścieżką, którą przebywał tyle razy z myślą pogodną i sercem pełném nadziei. Dobrze wyrzekła pani Niemeńska: „cóż jest pewnego na tym świecie”. Nad głową Bolesława ptaki świergotały na wyścigi, roje motyli zrywały się z leśnéj gęstwiny ku słońcu, kawałki błękitnych obłoków ciekawie zaglądały w głąb' gaju, — wszystko było piękne, kwieciste, śpiewające, słoneczne, jak przed tygodniem, miesiącem, rokiem, kilku laty, i tylko w sercu człowieka zmieniło się: burze w niém grały szalone, obalające wszystko, co na saméj głębi jego zakorzeniło się i rozrosło, zrywając struny, które dotąd śpiewały pieśni miłości, zdmuchując puchy nadziei, a na ich miejsce rozściełając lodową oponę zawodu, zwątpień, goryczy, bezbronnych żalów. Trudno-by odgadnąć, o czém myślał Bolesław, idąc przez gaj, i czy nawet myślał o czémkolwiek, bo oczy jego i twarz powlekały się coraz bardziéj wyrazem martwéj bierności,

w którą na czas jakiś zapada człowiek, dotknięty niespodzianym ciosem. Wyglądał, jak ktoś uderzony w głowę nagle i ogłuszony uderzeniem. Szedł powoli z głową zwieszoną na piersi, a stopy jego z taką trudnością odrywały się od ziemi, jakby do każdéj z nich przywiązaną była ciężka kula żelazna. Tak wszedł na ganek swego domu; nie spostrzegł Krzysztofa, który wyszedł na jego spotkanie; drzwi od ganku i sieni zostawił, idąc, na oścież otwarte, jakby mu brakło sił do ich zamknięcia, i wszedłszy dopiéro do swego pokoju, zamknął drzwi za sobą. Po chwili, zdziwiony niezwykłym wyrazem twarzy swego pana, Krzysztof widział, jak nagle spuściły się rolety w obu oknach sypialni Bolesława. Okna te wychodziły na północ, słońce więc nie wnikało przez nie, ale musiał go razić sam blask dzienny.

Ubiegło kilka godzin, cisza zupełna panowała w domu, pora obiadowa minęła dawno. Stara kucharka dreptała niecierpliwie po kuchni, gderząc na Krzysztofa, że obiadu nie podaje panu, a u niéj wszystko przestoi się i zepsuje. Krzysztof kręcił siwego wąsa i mruczał ze zdziwieniem:

— Co się jemu stało?

Podszedł do drzwi sypialni i posłuchał. Cicho tam było zupełnie.

— Śpi, czy co? — szepnął i wzruszył ramionami, bo bardzo się zadziwił. Jako żywo, nikt nie widział, aby Bolesław kładł się spać we dnie. Krzy-

sztof zaczął chodzić po przyległym pokoju, stukać i przesuwać z hałasem sprzęty. Nic nie pomagało. Pokręcił wąsa z niecierpliwością i zaczął chodzić pod oknami. Rolety spuszczone nie pozwalały dojrzéć, co się działo w pokoju. Chodzenie i chrząkanie Krzysztofa nie pomagało.

— Jakieś licho w tém jest! — szepnął stary sługa — może zachorował?

Przestrach odmalował się na twarzy poczciwca; podszedł znowu do drzwi sypialni; położył rękę na klamce, ale zawahał się.

— Może czém tak bardzo zajęty? może to sekret jaki?... jak wejdę, to przeszkodzę i podpatrzę... to będzie nie pięknie!

Schylił się więc do dziurki od klucza i, przyłożywszy do niéj usta, rzekł dość głośno:

— Proszę pana do stołu.

Nie było odpowiedzi, cicho i cicho. Krzysztof donośniéj jeszcze powtórzył wezwanie na obiad, ale i tym razem żaden odgłos nie odpowiedział mu z głębi zamkniętego pokoju. Pociągnął wąs tak silnie, że aż mu parę siwych włosów w palcach zostało, odszedł parę kroków i znowu wrócił do drzwi. Spojrzał przez otwarte okno,— słońce miało się już ku zachodowi.

Staremu na płacz się zbierało, sam nie wiedział, co mu wypadało uczynić.

Nagle pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł pan Andrzéj. Krzysztof rzucił się ku niemu.

— A, chwała Bogu, że pan przyjechałeś! u nas jakaś bieda!

Czoło pana Andrzeja więcéj niż zwykle było sfałdowane, w oczach jego malowało się zmartwienie.

— Gdzie twój pan, Krzysztofie? — spytał półgłośno z wyraźnym niepokojem.

— Przyszedł z Niemenki około południa, zamknął się w swoim pokoju, spuścił rolety w oknach i ani się odzywa, choć stukałem i prosiłem na obiad. Czy tylko nie chory?

Silniejsza jeszcze obawa ukazała się na twarzy pana Andrzeja. Postąpił żywo i nagle otworzył drzwi sypialni Bolesława. Spojrzał i zbladł trochę, zwrócił się do Krzysztofa, rzekł doń cicho, aby odszedł, sam zaś postąpił na przód. W głębi pokoju, napełnionego pół zmrokiem, stał Bolesław, plecami oparty o ścianę, profilem zwrócony do drzwi, przez które wchodził pan Andrzéj. W ręku trzymał pistolet, z lufą podniesioną w górę. Otwór broni zdawał się patrzéć na niego czarném, przepaścistém okiem, a on zatapiał w nim wzrok, powleczony mętnym wyrazem wpół nieprzytomnéj rozpaczy.

Nie słyszał otworzenia się drzwi i kroków wchodzącego.

Pan Andrzéj położył rękę na jego ramieniu. Bolesław nie podniósł głowy; zdawało się, że nie mógł oderwać wzroku od tego przepaścistego oka zabójczéj broni, które w samę twarz mu patrzyło.

— Co to robisz? — ozwał się pan Andrzéj głosem, który drżał trochę.

Bolesław nie odpowiedział jeszcze i nie odwrócił oczu od lufy pistoletu.

— Co to robisz? — powtórzył pan Andrzéj pewniejszym i surowym głosem — kogo to chcesz zabić tą bronią?

Usta Bolesława zadrżały.

— Naprzód jego, potém siebie — rzekł zwolna, nie zmieniając postawy ni kierunku spojrzenia.

Pan Andrzéj stał się tak samo prawie bladym, jak Bolesław. Silniéj oparł dłoń na jego ramieniu i wyrzekł uroczyście a surowo:

— Bolesławie! a sumienie twoje?

Bolesław zadrżał i piérwszy raz podniósł spojrzenie, powleczone mgłą nieprzytomnego bólu.

— Co? —wyrzekł z cicha—co mówiłeś?

— Przypomniałem ci sumienie — jeszcze surowiéj rzekł pan Andrzéj.

Bolesław patrzył na niego kilka sekund, mgła we wzroku jego rozstępowała się, a myśl przytomna przedzierała się przez nią z trudnością.

— Sumienie — powtórzył zwolna — sumienie! ależ ja nie chcę, aby ona była nieszczęśliwą... niech lepiéj on nie żyje...

— Kto ci dał prawo wydawać wyrok śmierci na bliźniego? — spytał pan Andrzéj, surowy i przenikliwy wzrok topiąc w jego twarzy.

Milczenie trwało kilka sekund; Bolesław opuścił rękę, broń trzymającą.

— Ale własném życiem mam prawo rozrządzić— ozwał się i silnie zacisnął palce około rękojeści pistoletu.

— Jest-żeś pewny, że nic już użytecznego nie zdziałasz na świecie? Możesz-że przewidzieć, że ta kobieta, przez którą cierpisz, nigdy już téj przyjaznéj ręki potrzebować nie będzie? Czy zadanie życia kończy się tam, gdzie kończy się szczęście? — pytał pan Andrzéj.

Bolesław spuścił oczy pod surowém jego wejrzeniem.

— Czy zadanie życia kończy się tam, gdzie się kończy szczęście? — powtórzył i przesunął rękę po czole, jakby chcąc zebrać rozpierzchłe myśli.

— Rzuć to! — ozwał się raz jeszcze pan Andrzéj, wskazując pistolet.

Była chwila milczenia, a potém dał się słyszéć stuk wypadającéj z ręki Bolesława broni.

Pan Andrzéj wyciągnął do niego dłoń otwartą, Bolesław przyjął ją, uścisnął i w milczeniu upadł na najbliżéj stojące krzesło.

— Wiem o wszystkiém, co cię spotkało — rzekł pan Andrzéj—przyjechałem dziś do Adampola i opowiedziano mi o tém, co zaszło w czasie méj nieobecności. Wiedziałem, że będziesz cierpiał i przybyłem, aby pomódz ci nieść ciężar boleści.

— Zdaje mi się, że umrę — rzekł Bolesław i opuścił czoło na dłonie.

Pan Andrzéj położył rękę na jego pochylonéj głowie i rzekł z powagą:

— Nie umrzesz. Tacy ludzie, jak ty, nie mogą i nie powinni umierać z miłości dla kobiety, ani z żalu po niéj.

Mówiąc to, podniósł roletę i otworzył okno, — potok światła i powietrza wpłynął do pokoju.

Milczeli kilka minut i patrzyli na siebie, potém Bolesław wyciągnął rękę do pana Andrzeja i rzekł głosem pełnym wdzięczności:

— Zbawiłeś mię!

XIII.

Cichy żal.

Pan Andrzéj na kilka tygodni został u Bolesława. W piérwszych dniach nie spuszczał z niego uważnych oczu; zdawało się, że był nawskróś przejęty obawą, aby człowiek, w którym tyle dobrego widział, nie ugiął się i nie złamał pod spadłą nań boleścią, i położył sobie za zadanie podtrzymać, wzmocnić w nim siły moralne w czasie najboleśniejszéj walki, jaką staczać z sobą musiało to serce, tak głęboko zranione i zawiedzione.

— Jest to chwila przesilenia w życiu twém—mówił do Bolesława — możesz z niéj wyjść na zawsze rozbolałym, osłabłym i upadłym na duchu, albo olbrzymem męztwa i panowania nad sobą. Wybieraj!

Koniec lata oblókł się chmurami. Sierpień był chłodny, dżdżysty i posępny; zeschłe liście opadały z drzew i albo żółtym kobiercem słały się do stóp gaju, albo, gnane wiatrem, rozpraszały się po polach, ni-

by symbole ludzkich nadziei i radości, ręką losu niszczonych i rozpraszanych.

Pewnego chmurnego ranka, siedzieli obadwa u okna; Bolesław zamyślonym wzrokiem ścigał szare kłęby dymu, które, wilgocią parte z nad dachu, włóczyły się po ziemi w fantastycznych kształtach i rozpościerały w powietrzu mglistą oponę. Pan Andrzéj patrzył na niego badawczo i uważnie, a po chwili położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

— Rad jestem z ciebie, Bolesławie! spokojnie cierpisz, to znak, że cierpienie nie złamie twych sił moralnych.

— Alboż może i powinno być inaczéj? —odrzekł Bolesław.

— Bywa jednak inaczéj — rzekł pan Andrzéj — a bywa z ludźmi, którzy widnokrąg swój biorą za koniec świata, nie pojmują, nie mają dość mocy serca i umysłu, aby pojąć, że osobiste bóle i szczęście, to wyjątkowe, przelotne chwile w życiu człowieka, a całe życie jest nieprzerwanym ciągiem prac i powinności, którego ani radości, ani cierpienia przerywać nie powinny. Ciasno, ciasno ci ludzie patrzą na ten świat bardzo szeroki; nie widzą, nie kochają, i nie czczą nic oprócz siebie; gdy więc ich serce zaboli, krzyczą: świat się wali! i padają bez siły, w konwulsyach, które były-by śmiesznemi, gdyby nie wzbudzały litości.

Bolesław milczał, ale smutnemi swemi i rozumnemi oczyma uważnie patrzył w twarz mówiącego.

— Wewnętrzne uczucia każdego człowieka warstwami układają się w sercu jego — mówił daléj pan Andrzéj.— Jedne z tych warstw są wielkie i nieśmiertelne, jako duch ludzki; inne ruchome, utworzone przez naleciałości życia. Zamiłowanie w nauce, pracy, działaniu jakiémkolwiek, litość nad cierpieniami biednych i pragnienie przyniesienia im pożytku: oto są warstwy uczucia trwałe, nigdy nie zdradzające, które, jak tarcza nieprzenikliwa, odpierają od piersi człowieka rozpacze, zwątpienia, złamania się duchowe. Miłości osobiste, pragnienie rozkoszy życia, przywiązanie do jednostek, to warstwy uczuć niższe, ruchome, które wprawdzie mogą w danym razie zamienić się w opokę o tryskających ożywczych źródłach, ale które najczęściéj rozpadają się pod ciosami losu, rozwiewają wichrami przeciwności, ulegają zmianom, mocą saméj nawet ruchoméj natury ludzkiéj. Nie na nich więc budować gmach życia! ale na tamtych, na wielkich. Jeśli ostoją się, tém lepiéj, jeśli rozpadną się w żgliszcza, to już nie padać razem z niemi, ale iść daléj po tamtym gruncie, utworzonym z dyamentów wielkich miłości i pojęć, ręka w rękę z cierpieniem, ale i z okiem utkwionem daléj, daléj niż ciasny, najbliższy, osobisty widnokrąg.

Bolesław słuchał i nic nie mówił, ale znać było, że całą duszą wsiąkał w siebie słowa pana Andrzeja. Na bladéj twarzy jego rozlewała się powaga skupionéj myśli, w oczach osiadł smutek spokojny, taki, któ-

ry nie rozrywa piersi ludzkiéj konwulsyami rozpaczy, nie rozpływa się w łzach i skargach, tylko osiada w duszy jak dno dyamentowe, mające służyć piedestałem wielkich myśli i energicznych czynów.

I płynęły w Topolinie dni spokojne, poważne, uroczyste niemal. Prace rolnicze nie ustawały w nim ani na chwilę, cichy i porządny dworek pogodnie wyglądał nawet z pośród mgły domowéj. Bolesław nie ustawał pracować, uważano tylko, że mówił, o ile mógł, jak najmniéj; dźwięk jego głosu stał się niższym o jednę nutę i między brwiami zaczynała rysować się zmarszczka, któréj wprzódy nie było. W mgliste i chłodne wieczory siadywali obaj z Andrzejem przy kominkowym ogniu i rozmawiali z sobą półgłosem długo, bo aż za północ niekiedy.

Tchnienie rzewnéj poezyi i poważnych myśli rozlewało się wkoło tych dwóch ludzi, z których jeden przeszedł już ciężkie próby życia, drugi przebywał dopiéro ciemne wrota cierpień, mające go wprowadzić w świątłą krainę męztwa i czynu. Tchnienie to owiewało i przenikało nawskróś Bolesława; w piersi jego, nad krwawą warstwą świeżego bólu, rozkładała się i wznosiła coraz szerzéj warstwa tych miłości i pragnień, o których mówił mu pan Andrzéj.

— I czém-że są bóle człowieka wobec ogromu boleści dziejowych? — rzekł raz Bolesław, zamykając książkę i wzrokiem zamyślonym patrzył w przestrzeń. Stopniowo oczy jego zaczynały przybierać tę samę

szczególną cechę, jaką posiadał wzrok pana Andrzeja. Gdy zamyślał się, spojrzenie jego biegło w dal, zdawało się przebijać ściany domu, mijać otaczające pola i patrzéć gdzieś daleko, daleko, w przestrzeń jakąś, która odkrywała się przed jego duchem smutna a piękna. O czém myślał, co czuł Bolesław, gdy tak patrzył? Odgadnie i zrozumié ten tylko, czyje oczy tak samo patrzéć umieją...

Był spokojny, zupełnie spokojny na zewnątrz. Cichy, serdeczny żal, który przeniknął go nawskróś, odkąd rozstał się z głęboko ukochaną kobietą, objawiał się niekiedy wielką bladością twarzy, zadrżeniem ust, zmarszczką między brwiami wyciśniętą tłumionym bólem, ale nigdy jękiem lub skargą.

Raz tylko coś niby skarga wyszło z ust jego. Siedział przed kominkiem zamyślony, a pan Andrzéj przy świetle lampy czytał list, otrzymany przed chwilą. Skończył czytanie i rzekł:

— Muszę wracać do domu; synowie mię wzywają. — Bolesław podniósł głowę.

— Synowie? — powtórzył — a prawda! masz synów! właśnie w téj chwili myślałem, że ja ich nigdy miéć nie będę.

Powiedział to spokojnie, ale sama spokojność ta była tak smutną, że panu Andrzejowi łza w oku stanęła.

— Niech czyny twe będą twymi synami — odpowiedział po chwili.

Kiedy pan Andrzéj opuszczał Topolin, Bolesław rzekł do niego:

— Odegrałeś w mém życiu rolę sumienia, podałeś mi rękę, gdym stał nad przepaścią i zaciągnąłem względem ciebie wieczny dług wdzięczności.

Pan Andrzéj długo nań patrzył z rozrzewnieniem i odpowiedział:

— Spłacisz dług ten z lichwą, jeśli zostaniesz na zawsze człowiekiem... takim, jakich nam trzeba!

Pożegnali się długim, milczącym uściskiem ręki i słowem: do zobaczenia!

Gdy w oddaleniu umilkł turkot bryczki, uwożącéj pana Andrzeja, Bolesław usiadł w cichym pokoju swoim i zadumał się tęskno... smętnie.

Samotnym pozostał i takim miał już pozostać na zawsze; wiejska ustroń jego zmieniła się w pustelnią, do któréj nigdy nie miały zawitać uśmiechy szczęścia, ni gwary wesela. Spojrzał na swoje książki, które, rozstawione na półkach, zdawały się patrzéć na niego w poważném milczeniu, i pomyślał, że miały mu być one jedynemi towarzyszkami życia, z których czerpać będzie odtąd pociechę w tęsknotach serca i wsparcie na żywot pracy. Rzucił okiem przez okno i zobaczył ciche blade obłoki, a u skraju widnokręgu iskrzał złotem i purpurą szeroki pas zachodzącego słońca. Puścił wzrok po wysokości sklepienia i myślał, że przyszłość jego cała będzie jako te obłoki bez burz i mgły, ale bez słońca téż i bez błękitu, a dopiéro

u końca jéj, na wzór świetnego dnia zachodu, przyjdzie chwila, ozłocona spokojem sumienia i rwaniem się ducha ku lepszym światom, chwila śmierci. A jako ta fioletowa obsłona chmur zapada za lasy ciemne, tak duch jego zsunie się z ziemskiéj powierzchni kędyś... kędyś w nieznane przestrzenie wieczności, gdzie pracownikowi wolno będzie wytchnąć po trudach, a przeniesione cierpienia otrzymają w nagrodzie wieniec spokoju.

Twarde życie pracy i obowiązków i skonanie uświetnione spokojném w przeszłość spojrzeniem, oto wszystko, co mu przeznaczoném na téj ziemi było. Gdzież są jego o ziemskiém szczęściu marzenia? Rozwiały się jako mgła. Gdzież ta urocza postać kobiety, o którą oparł on tyle gorących a szlachetnych nadziei? W objęciu innego. Niższą warstwę jego wewnętrznych uczuć zburzył i rozproszył los; pozostała mu wyższa, szeroka, wielkich miłości i pojęć, jakie nosił w piersi. Z nią więc i dla niéj tylko żyć mu odtąd przyjdzie, ale gdy nadejdzie chwila skonania, komuż ją w spadku zostawi? Kto po nim przejmie miłość jego dla kraju i ludzi, i wytrwałość w pracy, w imię ich prowadzonéj? Nikt. Żyć on będzie samotnym i umrze bezdzietnym. Marzenia jego dawne, drogie marzenia o ojcowstwie, stanęły przed nim w całym blasku, w oczach zadrżały ognie żałości, ale wnet w sercu ozwały się słowa pana Andrzeja: — niech czyny twe będą twymi synami!

A jednak, myślał, tamten, wybrany przez nią, młody a już zepsuty, kochający tylko siebie, jak szych błyszczący zewnętrzną tylko pozłotą, posiadł tę kobietę, którą on tak bardzo kochał; świat przyklasnął mu pewnie, zowiąc go zręcznym i mądrym, i dni jego radośnie popłyną śród rodzinnego ciepła i gorących rozkoszy życia! Dla czego tak było? Czemu los lepszą dolę rzucił temu, który jéj nie wart, ani jéj uszanować potrafi, a wydziedziczył tego, który gotował się do niéj z taką siłą serdeczną, z takiém podniesieniem ducha? I zapytał Bolesław słowami Hioba: „Czemu grzeszny zemrze w swéj obfitości, nie znając trosk; prawy umrze smutny i obu zaniosą do ciemnego grobu?” Zwiesił głowę i umysł jego począł błąkać się po rozdrożu zwątpień, graniczących z rozpaczą; w uchu brzmiało nieustannie drżące bólem bez granic pytanie Hiobowe: Kto mi powróci dawne moje czasy?

Nagle od krwawego pasa zachodu strzeliły uwolnione z pod chmur promienie słoneczne, milionem iskier zapełniły powietrze i potok ognistego światła rzuciły w zmęczone cierpieniem oczy Bolesława. W téj chwili zdało mu się, że ma objawienie, że przysłoniona świetną tarczą słońca, owinięta szatą płomieni, stanęła na krańcu widnokręgu niepojęta, niezmierzona, tajemnicza postać Jehowy, i z głębi chmur purpurowych grzmiała ku niemu słowami, wyrzeczonemi niegdyś do sarkającego na dolę swą Hioba: „kto śmié moje przesądzać wyroki? Kto im słowy

uwłacza pustemi? Był-żeś wtedy, gdym stawił zrąb ziemi? Wiész, kto mierzył, jak ma być szeroki? Wiész, kto trzymał wtedy sznur mierniczy? Jak postawił węgieł budowniczy? Był-żeś w kraju, gdzie gaśnie blask słońca? Obejmał-żeś ty świata kończyny? Wiedział-żeś, kiedy przyjdziesz w gości na tę ziemię? Kiedyć weźmie blada śmierć? Jaką drogą piorun mój uderza? Kto wyroki me wstrząsać się waży?")

Bolesław zakrył oczy dłonią i w pokorze uchylił głowę przed niezbadanemi wyrokami przeznaczeń. Tak, myślał, któż zbada wyroki światem rządzące i ludźmi? Któż mi powié, dla czego odebraną mi została cząstka ziemskiego szczęścia, a oddana innemu? Wszak losy ludzkie płynąć muszą na ziemi w tak logicznie związanym łańcuchu, jak płyną w przestrzeni światów miliony. Wszystko, co się dzieje, musi miéć przyczynę swoję i cel: nic się bez nich nie dzieje, nic ślepym trafem nie jest. Może grzeszny otrzymuje w udziale szczęście dla tego, aby go ono podniosło i uleczyło z grzechu, a sprawiedliwemu dostaje się w udziale cierpienie, aby wzmógł się i rozszerzył duch jego? Jakie posiadam prawo żądania, abym ja właśnie był szczęśliwym, a nie kto inny? Alboż wiem, że szczęście moje jest koniecznóm ogniwem do utworzenia tego łańcucha, który się losami społecznemi nazywa? Nie jest-że przeciwnie? Nie byłoż koniecznóm i zbawiennóm, abym cierpiał, a kto inny cie-

szył się? Gorycz i skargi na los nie są-ż pychą i zarozumiałością człowieka, który myśli, że świat dla niego, nie on dla świata istnieje? Starać się osięgnąć szczęście, szukać go, zdobywać, każdy ma prawo; ale gdy ono umknie i zniknie z oczu, jest-że rozumnie i sumiennie kogokolwiek lub cokolwiek o to oskarżać?

Długo w ten sposób Bolesław pytał myśli swéj i sumienia, a gdy podniósł głowę, zmrok już napełniał pokój, za oknem cicho szumiał gaj, pochylany wiatrem jesiennym, po bladém sklepieniu włóczyły się ciemne obłoki, łamiąc się i rozdzierając w tysiące fantastycznych kształtów, a w dali... nad pasem odległych lasów, tam, kędy przed godziną Bolesław w złotym zachodzie słońca widział symbol pogodnéj śmierci sprawiedliwego, jaśniała jedna wielka gwiazda.

Szmaty chmur ciemnych płynęły do gwiazdy téj, niby okręty z rozwiniętemi żaglami ku światłéj latarni, port zwiastującéj: oczom Bolesława poszarpane chmury wydały się mnóztwem serc rozdartych i pokaleczonych w żegludze życia, a na złotém licu gwiazdy wyczytał on wyraz: Wieczność.

Z bladéj i zmęczonéj twarzy jego zniknął wszelki ślad goryczy i zwątpienia, a rzewna jego dusza spoczęła na twardém, ale podnoszącém wezgłowiu mężnéj rezygnacyi.

Koniec części piérwszéj.

Spis Rozdziałów.